

Agatha Christie

Po pogrzebie

After the funeral

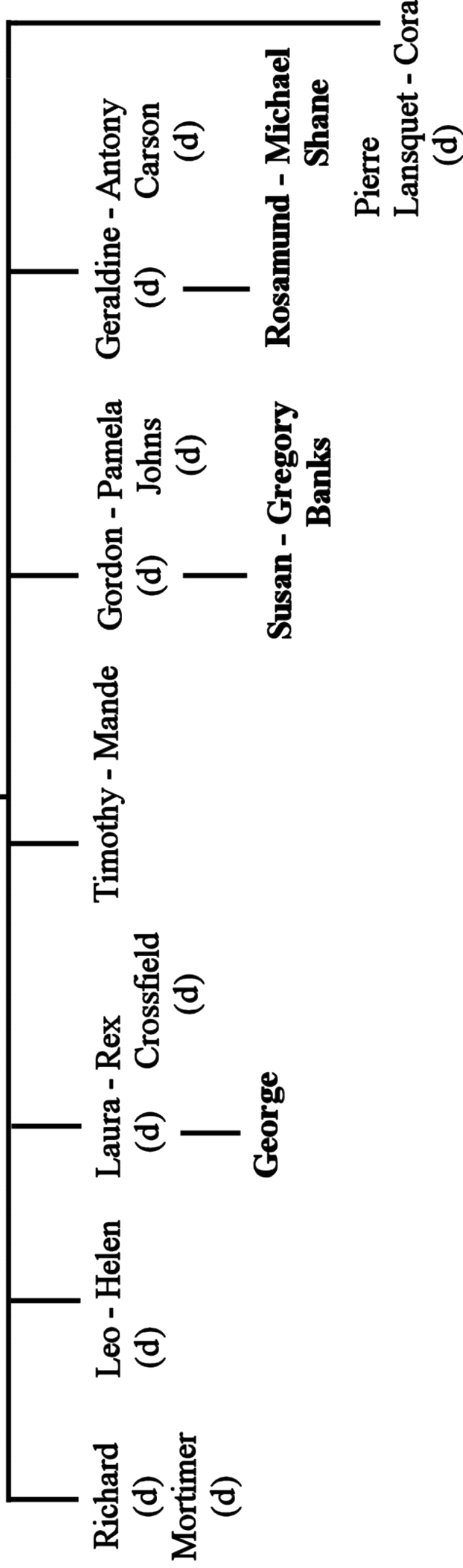
Tłumaczyła: Anna Rojkowska

Wydanie oryginalne: 1956

TMN

*Jamesowi, na pamiątkę szczęśliwych
dni spędzonych w Opactwie*

Cornelius Aberneithe - Coralie Bassington



Drzewo genealogiczne Abernethie'ów

Czcionką pogrubioną oznaczono obecnych na pogrzebie Richarda Abernethie'ego

Rozdział pierwszy

I

Stary Lanscombe dreptał od pokoju do pokoju podciągając rolety i zerkając od czasu do czasu zmrużonymi, łzawiącymi oczyma za okno.

Wkrótce powinni wrócić z pogrzebu. Lanscombe zaczął się ruszać trochę szybciej. Zostało mu jeszcze tyle okien!

„Enderby Hall” to duży wiktoriański dom w neogotyckim stylu. W każdym pokoju wisiały spłowiałe zasłony z brokatu lub aksamitu. Gdzieś tam ściany nadal obite były jedwabiem, który jednak po tylu latach zupełnie stracił kolor. W salonie urządzonym na zielono wisiał portret Corneliusa Abernethie’ego. Dla niego właśnie zbudowano „Enderby Hall”. Mężczyzna na portrecie miał ciemną brodę agresywnie sterczącą do przodu. Ręką opierał się o globus — nie wiadomo, czy tę pozę przybrał na własne życzenie, czy też była to symboliczna koncepcja artysty.

Comelius Abernethie patrzący z portretu zawsze sprawiał na Lanscombe’em wrażenie silnego mężczyzny i stary służący odczuwał zadowolenie na myśl, że nigdy go nie spotkał. Osobiście wolał pana Richarda. To był dobry pan. I zmarł tak nagle, chociaż przyznać trzeba, że od jakiegoś już czasu lekarz bywał częstym gościem w tym domu. Pan Richard właściwie nigdy nie wrócił do siebie po śmierci syna.

Staruszek potrząsnął głową i pospieszył do Białego Buduaru. To straszne, to naprawdę straszne! Taki silny i zdrowy mężczyzna! Nikt by nie uwierzył, że spotka go taki koniec. I do tego pan Gordon zabity podczas wojny. Jedna śmierć po drugiej. W smutnych czasach żyjemy. Pan tego nie przeżył. A jeszcze tydzień temu wydawał się w dobrej formie.

Trzecia roleta w Białym Buduarze nie chciała się zwinąć. Utknęła w połowie drogi. Za słabe sprężyny, ot co, pomyślał Lanscombe. I rolety są już stare, jak zresztą wszystko w tym domu. A w dzisiejszych czasach trudno o naprawę. Teraz potrafią tylko potrząsać głową i mówić, że mechanizm jest przestarzały. Jak gdyby nowe rzeczy były lepsze od starych! Sam wie najlepiej. Większość to tandeta, rozpada się w rękach. Ani materiał nie jest dobry, ani wykonanie takie jak kiedyś.

Nie poradzi sobie z roletą, jeśli nie przyniesie drabinki. Nie lubi wspinać się na drabinę, cierpi na zawroty głowy. A może dać sobie spokój? W końcu to nie ma znaczenia, ponieważ okna Białego Buduaru nie wychodzą na ulicę i wracający z pogrzebu goście niczego nie zauważą. Poza tym pokój i tak jest obecnie prawie nie używany. Biały Buduar zawsze należał do pani domu, tymczasem „Enderby” już od dawna nie miało pani. Jaka szkoda, że pan Mortimer nie ożenił się. Zamiast poślubić jakąś miłą panienkę, usatkwować się i płodzić dzieci, cały czas jeździł do Szkocji na polowania, a w zimie na narty do Szwajcarii. W „Enderby” już od dawna nie było dzieci.

Lanscombe zaczął wspominać dawne czasy, które pamiętał jasno i wyraźnie, o wiele wyraźniej niż ostatnie dwadzieścia lat. Teraz pamięć go zawodziła i trudno mu było przypomnieć sobie, kto przyjechał, jak wyglądał i co robił. Ale dawne dni pamiętał dokładnie.

Pan Richard był dla swojego rodzeństwa bardziej ojcem niż bratem. Gdy umarł ojciec, miał dwadzieścia cztery lata, i natychmiast musiał zająć się prowadzeniem interesów. Co dzień rano szedł punktualnie do pracy, utrzymywał cały dom i nigdy niczego nie brakło. To był naprawdę szczęśliwy dom. Oczywiście, wybuchały kłótnie i bijatyki pomiędzy dziećmi, więc opiekunki miały pełne ręce roboty. Lanscombe zawsze nimi trochę pogardzał. Były zbyt bojaźliwe. Za to panienki odwagi miały w nadmiarze. Szczególnie panienka Geraldina. A panienka Cora, chociaż dużo młodsza, niewiele jej ustępowała. Teraz panicz Leo nie żyje i panienka Laura także, a panicz Timothy jest inwalidą. Panienka Geraldina umarła gdzieś za granicą, panicz Gordon zabity na wojnie. Panicz Richard, chociaż najstarszy, okazał się najsilniejszy z całego rodzeństwa. Wszystkich przeżył — no, może nie wszystkich, został jeszcze Timothy i panienka Cora, która poślubiła tego okropnego artystę. To już dwadzieścia pięć lat, odkąd ją widział. Była ładną dziewczyną, gdy wyjechała z tym artystą, a teraz tak się zmieniła, że z trudem ją poznał. Przytyła i zaczęła się „artystycznie” ubierać. Jej mąż był Francuzem, lub prawie Francuzem, a wiadomo że małżeństwo z Francuzem nigdy nikomu na dobre nie wyszło. Ale panienka; Cora zawsze była... nieco prostoduszna, jak to się mówi. W każdej rodzinie znajdzie się taka osoba.

Ona go pamiętała. „A oto Lanscombe” — wykrzyknęła na jego widok. Ucieszyła się ze spotkania. W dawnych czasach dzieci bardzo go lubiły. Podczas przyjęcia, zawsze wkradały się do spiżarni, a on dawał im galaretkę i Charlotte Russe, której nie zjedli goście. Wszyscy znali starego Lanscombe’a, a teraz mało kto go pamięta. Dla młodych jest po prostu starym kamerdynerem, który od dawna służy w rodzinie. Sami obcy — pomyślał, gdy przyjechali z okazji pogrzebu — i do tego jeszcze nieporządnie wyglądają.

Nie pani Helen, naturalnie. Ona jest inna. Odkąd się pobrali, panicz Leo często z nią przyjeżdżał. To prawdziwa dama. Odpowiednio się ubiera i czesze i wygląda na damę. I mąż zawsze bardzo ją lubił. Szkoda, że nigdy nie mieli dzieci...

Lanscombe otrząsnął się z zamyślenia. Jak może tak stać i dumać o przeszłości, skoro jest jeszcze tyle do zrobienia? Na parterze wszystkie rolety były już podciągnięte, powiedział więc Janet, by posprzątała sypialnię. On, Janet i kucharka byli wcześniej w kościele na nabożeństwie pogrzebowym, po którym zamiast do krematorium udali się do domu, aby posprzątać i przygotować obiad. Oczywiście, nie zdążą podać nic gotowanego. Będzie kurczak, szynka, ozorki i sałatka, a potem suflet cytrynowy i szarlotka. Na początek gorąca zupa; musi przypilnować, żeby Marjorie miała wszystko gotowe, kiedy przybędą. Na pewno wrócą lada chwila.

Lanscombe szybkim truchtem przeszedł przez pokój. Obojętnie popatrzył na portret nad kominkiem — odpowiednik portretu w salonie. Przedstawiona na nim kobieta, pomimo atlasów i pereł, robiła wrażenie osoby skromnej. Łagodne rysy, różowe usta, włosy z przedziałkiem na środku — krótko mówiąc kobieta bez pretensji. Najbardziej godne uwagi było jej imię — Coralie.

Przez ponad sześćdziesiąt lat plastry na odciski i specyfiki do stóp marki Coral cieszyły się powodzeniem. Nikt nie wie, czy plastry na odciski tej firmy były lepsze niż inne; najważniejsze, że wszyscy je kupowali. Dzięki nim właśnie powstał ten neogotycki pałacyk otoczony ogrodami, dzięki nim synowie i córki Corneliusa mieli z czego żyć i dzięki nim Richard Abernethie, zmarły trzy dni temu, zostawił duży majątek.

II

Marjorie, kucharka, ofuknęła Lanscombe'a, gdy ten zajrzał do kuchni, by przypomnieć jej o obiedzie. Marjorie miała zaledwie dwadzieścia siedem lat i była przeciwieństwem kogoś, kogo stary kamerdyner mógłby zaakceptować w tej roli. Brakowało jej godności i nie miała poszanowania dla jego pozycji. Ponadto często zdarzało jej się mówić o domu „to stare mauzoleum” i narzekać na ogromną powierzchnię kuchni, zmywalni i spiżarni. Powtarzała, że dnia nie starczy, aby to obejść. W „Enderby” była od dwóch lat i nie odeszła tylko dlatego, że po pierwsze dobrze zarabiała, a po drugie że pan Abernethie doceniał jej kuchnię. Gotowała naprawdę dobrze. Tuż koło Marjorie stała teraz Janet i pokrzepiała się filiżanką herbaty. Pokojowa, niemłoda już kobieta, lubiła wprawdzie posprzeczać się z Lanscombe'em, ale razem z nim tworzyła zwarty front przeciwko młodszemu pokoleniu, reprezentowanemu przez kucharkę. Czwartą, osobą w kuchni była pani Jacks, która przychodziła czasem do pomocy, i która teraz rozwodziła się z lubością nad pogrzebem.

— Był naprawdę piękny — mówiła wciągając w nozdrza zapach herbaty z filiżanki. — Dziewiętnaście samochodów, pełen kościół. Kanonik pięknie odprawił nabożeństwo. I taki ładny dzień na pogrzeb. Biedny pan Abernethie, niewielu takich jak on zostało na świecie. Wszyscy go szanowali.

Na zewnątrz zawył klakson i pod dom podjechał samochód. — Oto są — wykrzyknęła pani Jacks odstawiając filiżankę.

Marjorie zapaliła gaz pod garnkiem z zupą. Stara kuchnia węglowa, pamiętająca czasy królowej Wiktorii, stała obok zimna i bezużyteczna, jak ołtarz przeszłości.

Samochody podjeżdżały jeden po drugim, wysiadali z nich ludzie w żałobie i dość niepewnie kierowali swoje kroki do Zielonego Salonu, gdzie w kominku płonął ogień mający odegnać chłód jesiennego dnia i ogrzać zmarzniętych żałobników.

Do pokoju wszedł Lanscombe z kieliszkami sherry na tacy.

Pan Entwhistle, najstarszy współwłaściciel spółki Bollard, Entwhistle, Entwhistle i Bollard, firmy szanowanej i z tradycjami, stał zwrócony tyłem do kominka i ogrzewał się. Wziął kieliszek sherry i bystrym spojrzeniem ogarnął towarzystwo. Nie wszystkich znał osobiście, chciał więc dobrze się im przyjrzeć i ocenić. Przed pogrzebem nie było czasu na dokładne poznanie rodziny.

Najpierw Lanscombe. Starzeje się i ręce mu się trzęsą — pomyślał. — Nic dziwnego, zbliża się do dziewięćdziesiątki. Dostanie ładną rentę. Nie będzie musiał o nic się martwić. Bardzo przywiązany. Dziś nie ma już takiej służby jak dawniej. Same pomoce domowe i opiekunki do dzieci pożałuj Boże! Smutny jest ten świat, może dobrze, że biedny Richard umarł przedwcześnie. Nie bardzo miałby po co żyć.

Dla siedemdziesięciodwuletniego prawnika śmierć w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat była doprawdy przedwczesna. Pan Entwhistle wycofał się z praktyki dwa lata temu, ale — będąc wykonawcą testamentu Richarda Abernethie'ego jednego ze swoich najstarszych klientów, a równocześnie przyjaciela — zdecydował się na tę podróż na północ.

Mając w pamięci postanowienia testamentu, oceniał rodzinę.

Oczywiście, dobrze znał Helen, żonę Leo. Czarująca osoba, którą lubił i szanował. Spojrzał na nią z aprobatą. Stała koło okna, w czarnej sukni. Dobrze jej było w tym kolorze. I ciągle miała zgrabną figurę. Lubił jej wyraziste rysy, twarz otoczoną linią poprzetykanych siwizną włosów i oczy, niegdyś porównywane do chabrów, nadal intensywnie niebieskie. Ile lat miała Helen? Przypuszczał, że pięćdziesiąt jeden lub dwa. To dziwne, że po śmierci Leo nie wyszła drugi raz za mąż. W końcu była atrakcyjną kobietą. Aha, podobno bardzo byli do siebie przywiązani.

Spojrzenie prawnika powędrowało do Maude, żony Timothy'ego. Nigdy jej dobrze nie znał. W czarnym nie było jej do twarzy, powinna nosić tweedy. Duża, rozsądna kobieta, potrafiąca radzić sobie w życiu. Zawsze była dobrą, oddaną żoną. Opiekowała się mężem, dogadzała mu — może trochę za bardzo. Czy Timothy'emu rzeczywiście coś dolegało? Pan Entwhistle przypuszczał, że jego choroba to tylko hipochondria. Richard Abernethie też tak uważał. „Oczywiście, w dzieciństwie miał słabe płuca — mawiał — ale teraz pewnie nic mu nie jest”. No cóż, każdy musi mieć jakieś hobby. Hobby

Timothy'ego to całkowicie go absorbujące własne zdrowie. Czy żona dała się na to nabrać? Raczej nie, ale — jak większość kobiet — nigdy się do tego nie przyznała. Timothy zapewne jest dobrze sytuowany; zawsze wydawał niewiele, ale dziś, przy takich podatkach, dodatkowe pieniądze zapewne się przydadzą. Prawdopodobnie od wojny musiał znacznie obniżyć poziom życia.

Teraz prawnik przeniósł swoją uwagę na George'a Crossfielda, syna Laury, która niegdyś wyszła za mąż za podejrzanego osobnika, o którym nikt wiele nie wiedział. Sam o sobie mówił, że jest maklerem. Młody George pracował w biurze prawniczym, zresztą o niezbyt dobrej opinii. Przystojny młodzieniec... ale było w nim coś z cwaniaka. Nie mógł mieć dużo pieniędzy, bo Laura nie potrafiła ich nigdy dobrze zainwestować. Gdy zmarła pięć lat temu, prawie nic nie zostawiła. Była ładną, romantyczną kobietą, ale kompletnie nie miała głowy do pieniędzy.

Wzrok pana Entwhistle'a zatrzymał się na dwóch dziewczynach. Która jest która? Ach tak, ta, co przygląda się woskowym kwiatom na malachitowym stoliku to Rosamund, córka Geraldine. Urodziwa dziewczyna, nawet piękna, ale o niezbyt mądrym wyrazie twarzy. Aktorka. Teatr czy coś takiego. Wyszła również za aktora, bardzo przystojnego. I pewnego swej atrakcyjności — pomyślał prawnik, który był uprzedzony do zawodowych aktorów. — Ciekawe, skąd pochodzi jego rodzina i co to za ludzie. Potępiająco spojrzął na czarującego jasnowłosego mężczyznę, Michaela Shane'a.

Weźmy Susan, córkę Gordona. Byłaby znacznie lepszą aktorką niż Rosamund. Ma osobowość. Być może nawet trochę za silną. Susan stała blisko i pan Entwhistle przyglądał jej się ukradkiem. Ciemne włosy, orzechowe, prawie złote oczy, urocze, trochę jakby nadąsane usta. Obok niej stał mąż, zdaje się, że pomocnik aptekarza w aptece. Doprawdy, pomocnik aptekarza! W czasach młodości pana Entwhistle'a dziewczęta nie wychodziły za mąż za mężczyzn stojących za ladą. Ale dzisiaj, oczywiście, nie zwracają uwagi na to, kim jest ich narzeczony. Młody mężczyzna z bladą, nijaką twarzą i piaskowymi włosami najwyraźniej czuł się nieswojo. Pan Entwhistle zastanawiał się nad tym przez chwilę i w końcu doszedł do wniosku, że przyczyną jest prawdopodobnie przemęczenie spowodowane spotkaniem tylu krewnych żony na raz.

Na koniec pan Entwhistle zostawił sobie Corę Lansquenet. Postąpił słusznie, ponieważ Cora pojawiła się w rodzinie ostatnia. Gdy urodziła się, matka zbliżała się już do pięćdziesiątki i nie przeżyła swojego dziesiątego porodu (troje z jej dzieci zmarło w dzieciństwie). Biedna Cora! Zawsze była zbyt wysoka, niezdarna i popełniała gafy. Mówiła głośno rzeczy, których nie powinna była mówić. Starsze rodzeństwo traktowało Corę z wyrozumiałością, wybacząc jej słabości i tusząc gafy towarzyskie. Nigdy nikomu nie przyszło do głowy, że mogłaby wyjść za mąż. Nie była zbyt pociągająca, a wyraźne awanse czynione przez nią młodym mężczyznom odwiedzającym dom powodowały ich pospieszną ucieczkę. Wtedy, przypominał sobie Entwhistle, zjawił się Pierre

Lansquenet, pół-Francuz, którego spotkała w szkole plastycznej, gdzie uczyła się bardzo poprawnego malowania kwiatów akwarelami. Pewnego razu po przyjściu do domu oznajmiła, że chce wyjść za niego za mąż. Richard Abernethie nie wyraził zgody na małżeństwo. Nie podobał mu się Pierre Lansquenet; podejrzewał, że ten młody człowiek szuka po prostu bogatej żony. Podczas gdy on zajmował się badaniem przeszłości wybranka, Cora uciekła z domu i młodzi szybko się pobrali. Małżonkowie przez większość czasu przebywali w Bretanii i Kornwalii oraz innych miejscach odwiedzanych zazwyczaj przez artystów. Lansquenet był bardzo złym malarzem i miał niezbyt miły charakter, lecz Cora zawsze była bardzo do niego przywiązana i nigdy nie przebaczyła rodzinie odrzucenia jej męża. Richard w końcu przyznał siostrze hojny zasiłek, z którego — jak był przekonany pan Entwhistle — żyła razem z mężem. Prawnik wątpił, czy Pierre Lansquenet kiedykolwiek coś zarobił. Nie żył już od dwunastu lat, może dłużej. A wdowa po nim, otyła kobieta odziana w wymyślną, czarną suknię przybraną niezliczoną ilością czarnych koralików, przyjechała dziś do domu, w którym spędziła, dzieciństwo. Wszędzie wchodziła, wszystkiego dotykała i wykrzykiwała z radości, gdy znalazła coś, z czym wiązały się jakieś wspomnienia. Nawet nie udawała żalu po śmierci brata. Ale w końcu, pomyślał Entwhistle, Cora nigdy nie udawała.

Do pokoju wszedł Lanscombe. Ściszonej głosownie do okazji głosem oznajmił:
— Obiad podany.

Rozdział drugi

Po doskonałej zupie i wędlinach, do których podano *chablis*, atmosfera nieco się poprawiła. Nikt tak naprawdę nie czuł głębokiego żalu po Richardzie, ponieważ nikt nie utrzymywał z nim bliskich związków. Zachowywali się, oczywiście, ze stosowną powagą (z wyjątkiem Cory, która najwyraźniej dobrze się bawiła), ale teraz, gdy spełniono już to, czego wymagało od nich dobre wychowanie, poczuli, że mogą normalnie porozmawiać. Pan Entwhistle nawet ich do tego zachęcał. Jako człowiek przywykły do takich sytuacji najlepiej wiedział, kiedy dać sygnał powrotu do normalnego życia.

Po posiłku Lanscombe podał kawę w bibliotece. Wyczucie podpowiadało mu, że nastał czas, by przejść do interesów, innymi słowy: by odczytać testament. A biblioteka, z dużą ilością książek i aksamitnymi zasłonami, miała odpowiednią atmosferę. Lanscombe podał zatem kawę i wyszedł zamykając drzwi.

Wymieniono kilka bezładnych uwag po czym wszyscy zaczęli patrzeć na pana Entwhistle'a. Ten spojrzął na zegarek i zagaił:

— Muszę zdążyć na pociąg o wpół do czwartej.

Okazało się, że i inni chcieli na niego zdążyć.

— Jak państwo wiedzą — rzekł — jestem wykonawcą testamentu Richarda Abernethie'ego...

— Nie wiedziałam — przerwała mu Cora. — Naprawdę? Czy coś dla mnie zostało?

Nie po raz pierwszy prawnik odczuł, że Cora zbyt chętnie zabiera głos. Zganiwszy ją wzrokiem, ciągnął:

— Aż do zeszłego roku testament Richarda Abernethie'ego był bardzo prosty. Pomijając kilka niewielkich legatów, zostawił wszystko synowi, Mortimerowi.

— Biedny Mortimer — westchnęła Cora. — Paraliż dziecięcy to straszna rzecz.

— Nagła i tragiczna śmierć Mortimera była dla Richarda ogromnym ciosem. Przez kilka miesięcy nie mógł się pozbierać. Wspomniałem mu wtedy, że powinien napisać nowy testament.

— Co stałoby się, gdyby nie zrobił nowego testamentu? — spytała Maude Abernethie. — Czy przesłoby wszystko na Timothy'ego jako najbliższego krewnego?

Pan Entwistle już otworzył usta, by wygłosić wykład na temat najbliższego pokrewieństwa, ale rozmyślił się i rzekł:

— Richard posłuchał mojej rady i sporządził nowy testament. Przede wszystkim jednak postanowił poznać bliżej młode pokolenie.

— Zupełnie jak w ogłoszeniu! — wykrzyknęła Susan ze śmiechem. „Wysyłamy na zamówienie. Jeśli jakość nie odpowiada Państwa wymaganiom, przyjmujemy zwroty w terminie do dwóch tygodni”. Najpierw przyjrzał się George'owi, potem Gregowi i mnie, a na końcu Rosamund i Michaelowi.

— Nie powinnaś tak mówić, Susan — zaprotestował ostro Gregory Banks, rumieniąc się na twarzy. — „Na zamówienie” — też coś!

— Ale o to chodziło, prawda, panie Entwistle?

— Czy coś dla mnie zostawił? — powtórnie spytała Cora.

Prawnik odchrząknął i rzekł:

— Wyślę wszystkim państwu kopie testamentu. Teraz mogę go odczytać, jeśli państwo chcą, lecz sądzę, że z powodu terminologii prawniczej może się wydać niejasny. Krótko mówiąc, pomijając pomniejsze legaty i większy zapis dla Lanscombe'a, całość majątku, bardzo zresztą znacznego, ma zostać podzielona na sześć równych części. Cztery z nich, po opłaceniu podatku, przypadają bratu Richarda Timothy'emu, siostrzeńcowi George'owi Crossfieldowi, bratanicy Susan Banks, i siostrzenicy Rosamund Shane. Pozostałe dwie części mają być oddane w depozyt i dochód z nich ma być dożywotnio wypłacany pani Helen Abernethie, wdowie po Leo, i siostrze, pani Corze Lansquenet. Po ich śmierci kapitał zostanie podzielony pomiędzy czterech głównych beneficjentów lub ich potomstwo.

— Dochód, to miło z jego strony — powiedziała Cora z nieskrywanym zadowoleniem. — Ile?

— Trudno mi od razu powiedzieć. Oczywiście, dużo pochłonie podatek spadkowy...

— A w przybliżeniu?

Pan Entwistle pojął, że musi zaspokoić ciekawość Cory.

— Prawdopodobnie około trzech do czterech tysięcy rocznie.

— Boże! — wykrzyknęła Cora — pojedę na Capri.

— Richard okazał się naprawdę bardzo hojny — westchnęła Helen Abernethie. — Doceniam jego słabość do mnie.

— Bardzo panią lubił — przyznał prawnik. — Leo był jego ukochanym bratem i po jego śmierci pani wizyty podtrzymywały go na duchu.

— Nie wiedziałam, że był tak chory — rzekła Helen. — Przyjechałam zobaczyć się z nim krótko przed śmiercią. Chociaż wiedziałam, że Richard jest chory, to jednak nie zdawałam sobie sprawy, że tak poważnie.

— Cały czas był poważnie chory — powiedział pan Entwhistle — ale nie chciał, aby o tym mówić. Sądzę, że nikt nie spodziewał się, że tak szybko umrze. Z tego co wiem, nawet lekarz był zaskoczony.

— Zmarł nagle w domu, tak było napisane w gazecie — wtrąciła Cora kiwając głową. — Wtedy wydało mi się to zastanawiające.

— Dla nas wszystkich to był szok — powiedziała Maude. — Strasznie rozstroiło to mojego męża. Cały czas powtarzał: „Tak nagle, tak nagle”.

— Ładnie to zatuszowano, prawda? — zauważyła Cora.

Jak za pociągnięciem sznurka, wszyscy odwrócili się w jej kierunku i patrzyli na nią ze zdumieniem. Pani Lansquenet bardzo się zmieszała.

— Myślę, że macie rację — rzekła pospiesznie. — Absolutnie macie rację. To znaczy... na nic się to nie przyda... to znaczy nie ma po co... tego rozgłaszać. Wyniknęłyby same nieprzyjemności. To powinno zostać w rodzinie.

Twarze patrzących na nią osób wyrażały całkowity brak zrozumienia.

— Doprawdy, Coro — powiedział prawnik — chyba nie wiem, co masz na myśli.

Cora Lansquenet zdziwiona spojrzała na otaczającą ją rodzinę.

— To, że on został zamordowany, czyż nie? — odparła.

Rozdział trzeci

I

Znalazłszy się w przedziale pierwszej klasy pociągu do Londynu, pan Entwhistle oddawał się rozmyśleniom nad niezwykłą uwagą uczynioną przez Corę Lansquet. Oczywiście, Cora była nie zrównoważona, dość głupia i od dziecka miała żenujący zwyczaj rozgłaszania nieprzyjemnych prawd. To znaczy... nie chciał użyć słowa „prawda”, raczej powinien powiedzieć „wygłaszania krępujących stwierdzeń”.

Powrócił w myślach raz jeszcze do chwili po tej nieszczęsnej uwadze. Potępiające i zdumione spojrzenia zgromadzonych uświadomiły Corze znaczenie tego, co przed chwilą powiedziała.

Maude wykrzyknęła: „Doprawdy, Coro”, George: „Droga ciociu Coro”, a ktoś jeszcze inny zapytał: „Co właściwie masz na myśli?”

Cora, zawstydzona, przekonana o potworności oskarżenia, zaczęła się niezgrabnie tłumaczyć.

— Och przepraszam, naprawdę nie myślałam... oczywiście, to głupie, ale z tego, co mi powiedział... naturalnie wiem, że wszystko jest w porządku, ale ta śmierć była taka nagła... Proszę, zapomnijcie, że cokolwiek powiedziałam. Nie chciałam, naprawdę... Wiem, że zawsze mówię nie to, co trzeba.

Po chwili zamieszanie się uspokoiło i zaczęto omawiać podział osobistego majątku Richarda. Dom wraz z zawartością miał być wystawiony na sprzedaż. O gafie Cory zapomniano. W końcu Corę zawsze uważano za strasznie naiwną, a nawet trochę niedorozwiniętą. Nigdy nie wiedziała, co się mówi, a czego się nie mówi. Gdy miała dziewiętnaście lat, nie miało to takiego znaczenia, ale *enfant terrible* w wieku prawie pięćdziesięciu lat to zdecydowanie szokujące. Występować z niewygodnymi prawdami...

Pan Entwhistle poczuł się wytracony z równowagi. Po raz drugi przyszło mu do głowy to niepokojące słowo: prawda. Dlaczego było tak niepokojące? Ponieważ za żenującymi wypowiedziami Cory kryła się zawsze prawda. Dlatego były żenujące.

Choć pulchna czterdziestodwuletnia kobieta mało była podobna do niezdarnej dziewczyny, którą pamiętał — to jednak pewne cechy pozostały: lekkie, jakby ptasie

nachylenie głowy w momencie, gdy wypowiadała jakąś szczególnie oburzającą uwagę. Miało się wrażenie, że z zadowoleniem czeka na reakcję. W taki właśnie sposób Cora skomentowała kiedyś figurę pomocnicy kucharki. „Mollie z trudem dosięga stołu, taka jest gruba. Od jakiegoś miesiąca czy dwóch. Ciekawe, od czego tak przytyła.”

Corę oczywiście szybko uciszono; Abernethie'owie byli bardzo wiktoriańscy. Pomocnica kucharki natychmiast zniknęła z domu, następnego dnia przeprowadzono dochodzenie, w wyniku którego pomocnikowi ogrodnika nakazano „uczynić z Mollie porządną kobietę”, a młodej parze podarowano mały domek.

Odległe wspomnienia... ale nie bez związku...

Pan Entwhistle zastanowił się nad przyczyną swojego niepokoju. Co było takiego w wypowiedzi Cory, że jego umysł nie mógł o tym zapomnieć? Przypomniał sobie dwa zdania: „Z tego, co powiedział” oraz „Ta śmierć była taka nagła”.

Najpierw prawnik zaczął rozpatrywać drugą uwagę. Tak, śmierć Richarda była, w pewien sposób, nagła. Rozmawiał o zdrowiu Richarda z nim samym i z lekarzem. Lekarz mówił wyraźnie, że nie ma co oczekiwać długiego życia. Jeśli pan Abernethie będzie na siebie uważał, to może pożyje jeszcze dwa lub trzy lata. Może dłużej, ale to mało prawdopodobne. W każdym razie lekarz nie przewidywał nagłego pogorszenia.

No cóż, słowa doktora się nie sprawdziły... ale lekarze sami twierdzą, że trudno jest przewidzieć indywidualną reakcję organizmu. Zdarzają się nagłe wyleczenia w beznadziejnych przypadkach i śmierć w przededniu całkowitego wyleczenia. Dużo zależy od witalności pacjenta, od jego chęci wyzdrowienia.

A Richard Abernethie, choć był mężczyzną silnym i energicznym, nie miał po co żyć.

W ostatnim półroczu jego jedyny żyjący syn, Mortimer, zachorował na paraliż dziecięcy i zmarł w ciągu tygodnia. Jego śmierć była wielkim wstrząsem, tym bardziej, że Mortimer nigdy nie chorował, był silny i wysportowany. Wkrótce miał zaręczyć się z uroczą dziewczyną. Wiązały się z nim wszystkie nadzieje ojca. Zamiast spełnienia tych nadziei przyszła tragedia. Odtąd dla Richarda przyszłość nie niosła ze sobą nic interesującego. Jeden syn zmarł w dzieciństwie, drugi w wieku młodzieńczym. Nie miał wnuków. Nie miał spadkobiercy nazwiska i ogromnej fortuny. Kto miał przejąć po nim interesy?

Entwhistle wiedział, że martwiło go to ogromnie. Jedyny jego brat był inwalidą. Pozostało jeszcze następne pokolenie. Choć Richard nic na ten temat nie mówił, prawnik wiedział, że pragnął zostawić wszystko jednemu spadkobiercy, chociaż byłyby zapewne i niniejsze zapisy. Dlatego w ciągu ostatniego półrocza Richard zaprosił do siebie kolejno siostrzeńca George'a, potem bratanicę Susan z mężem, siostrzenicę Rosamund z mężem i szwagierkę, żonę Leo. Spomiędzy trojga pierwszych chciał znaleźć spadkobiercę. Helen Abernethie została zaproszona, ponieważ ją lubił, a może chciał z nią

skonsultować swoje postanowienie, bowiem Richard zawsze bardzo wysoko cenił jej zdrowy rozsądek i zmysł praktycyzmu. Pan Entwhistle przypomniał sobie również, że w ciągu ostatnich miesięcy Richard wybrał się w odwiedziny do brata, Timothy'ego.

Rezultatem tych zabiegów był testament, który prawnik wiozł teraz w teczce. Równy podział majątku. Z czego wniosek, że Richard zawiódł się na siostrzeńcu i dziewczętach, a co najmniej na ich mężach.

Z tego co Entwhistle wiedział, nie zaprosił do siebie siostry, Cory — i to znowu przypomniało prawnikowi o niepokojącej konkluzji: „Z tego, co powiedział...”

Co takiego powiedział Richard Abernethie? I kiedy? Jeśli Cora nie była w „Enderby”, zatem Richard musiał pojechać do tej wioski w Berkshire, gdzie miała dom. A może napisał to w liście?

Pan Entwhistle zmarszczył brwi. Oczywiście, że Cora była głupia. Łatwo mogła coś źle zrozumieć, przekręcić. Ale warto byłoby wiedzieć, jak brzmiało to, co przekręciła.

Przyszło mu do głowy, czy by nie wypytać pani Lansquet. Byle nie działać za szybko, nie sprawić wrażenia, że jest to ważne. Mimo wszystko chciałby wiedzieć, co takiego powiedział jej Richard, że wystąpiła z tym niesłychanym stwierdzeniem: „On został zamordowany, czyż nie?”

II

Kawałek dalej w tym samym pociągu, w przedziale trzeciej klasy, Gregory Banks mówił do swojej żony:

— Ta twoja ciotka musi być kompletnie nienormalna.

— Ciotka Cora? Tak, zdaje się, że zawsze była... prostoduszna.

— Naprawdę nie powinno jej się pozwalać mówić takich rzeczy — rzekł siedzący naprzeciwko George Crossfield. — Rozpoczną się plotki.

Rosamund Shane, w skupieniu malująca usta w kształt łuku Kupidyna, mruknęła:

— Nie sądzę, żeby ktokolwiek zwrócił uwagę na to, co ona mówi. Te dziwaczne suknie i dżetowe ozdóbki...

— Uważam, że nie wolno jej na to pozwolić — powtórzył George.

— W porządku, kochanie — zaśmiała się Rosamund odkładając szminkę i przyglądając się z satysfakcją własnemu odbiciu w lusterku — to jej zabroń.

— Myślę, że George ma rację — włączył się nieoczekiwanie jej mąż. — Tak łatwo dać powód do plotek.

— No i co z tego? — spytała Rosamund. — Mogłoby to być zabawne.

— Zabawne??? — odezwał się chórek czterech głosów.

— Morderstwo w rodzinie — to podniecające.

Gregory Banks, nerwowy i niezbyt szczęśliwy młody człowiek, pomyślał, że pomijając urodę, kuzynka Susan przejawia pewne podobieństwo do ciotki Cory.

— Jeśli go zamordowano — ciągnęła Rosamund — kto to mógł zrobić? — Popatrzyła po kolei na wszystkich zgromadzonych w przedziale. — Jego śmierć zdarzyła się akurat wtedy, kiedy wszyscy potrzebowaliśmy pieniędzy. Michael i ja nie mamy już ani grosza. Mickowi zaproponowano bardzo dobrą rolę w teatrze w Sandbourne, ale musi na nią trochę poczekać. Teraz będziemy mieli kupę forsy. Będziemy mogli zacząć coś własnego... Jest taka sztuka, już o tym myślałam, że wspaniałą rolą...

Nikt nie słuchał monologu Rosamund. Wszyscy rozmyślali o najbliższej przyszłości.

O mały włos wszystko źle by się skończyło — myślał George. — Teraz mogę oddać te pieniądze i nikt się nie dowie. A mogło być kiepsko.

Gregory zamknął oczy i oparł się wygodnie. Uciekł z niewoli.

— Oczywiście bardzo mi żal wuja Richarda — rzekła Susan. — Ale w końcu naprawdę był już stary, Mortimer umarł i nie miał po co żyć. Byłoby straszne, gdyby musiał żyć rok po roku jak inwalida. O wiele lepiej, że zmarł szybko i bez tego całego zamieszania.

Jej oczy zmiękły, gdy spojrzała na twarz męża. Uwielbiała Grega. Niejasno czuła, że jemu na niej zależy mniej niż jej na nim, ale to tylko wzmacniało jej uczucie. Greg należał do niej, gotowa jest zrobić dla niego dosłownie wszystko...

III

Maude Abernethie, przebijając się do kolacji w „Enderby” (miała wyjechać dopiero następnego dnia) zastanawiała się, czy powinna zostać dłużej i pomóc Helen w sprzątanii i przeglądaniu osobistych rzeczy Richarda. Mogły być listy... Wszystkie ważne dokumenty zapewne zabrał pan Entwhistle. Właściwie powinna jak najszybciej powrócić do męża. Timothy tak się denerwował, kiedy jej dłużej nie było. Miała nadzieję, że nie będzie się złościł z powodu testamentu, że będzie zadowolony. Oczywiście wiedziała, że spodziewał się większości majątku Richarda. W końcu był jedynym żyjącym Abernethie’em. Richard mógł mu całkowicie zaufać, zająłby się młodymi. Maude bała się, że Timothy nie będzie zadowolony... A to tak źle wpływa na jego trawienie. Poza tym kiedy był zły, reagował zupełnie niewspółmiernie do przyczyny. Może powinna powiedzieć o tym doktorowi Bartonowi? Timothy chyba bierze za dużo tych pigułek na sen. A jak złościł się, kiedy zaproponowała, że weźmie buteleczkę i będzie mu sama dawać. A przecież one mogą być niebezpieczne, sam doktor Barton tak powiedział. Człowiek robi się senny i zapomina, że już je zażył... bierze więc jeszcze raz.

I wtedy wszystko może się zdarzyć. Z buteleczki ubyło z pewnością więcej niż powinno... Timothy'emu nie można wierzyć, jeśli chodzi o lekarstwa. Nie słucha jej. Czasami naprawdę nie wiadomo, jak z nim postępować.

Westchnęła i uśmiechnęła się. Na pewno teraz będzie łatwiej. Weźmie się za ogród...

IV

Helen Abernethie siedziała przy kominku w salonie czekając na Maude. Rozglądała się, przypominając sobie dawne dni spędzone tu z Leo i z innymi. To był szczęśliwy dom. Ale taki dom jak ten potrzebuje ludzi. Dzieci i służby, i wspólnych posiłków, i buzującego w zimie ognia. Było tu smutno, gdy mieszkał w nim jeden stary człowiek, który stracił syna...

Ciekawa była, kto go teraz kupi. Czy zrobią z niego hotel, jakiś zakład, a może dom studencki? Taki był teraz los tych ogromnych domów. Nikt ich nie kupował na mieszkanie dla siebie. Może „Enderby” zostanie zburzone, a na jego miejscu powstaną inne budynki? Smutno jej się zrobiło na tę myśl, więc odsunęła ją od siebie. Nie powinna rozmyślać nad przeszłością. Ten dom, szczęśliwe dni tu spędzone, Richard i Leo — to wszystko było dobre, ale należało do przeszłości. Teraz, z tym, co otrzymała od Richarda, nie będzie musiała sprzedawać willi na Cyprze i będzie mogła zrobić to, co zaplanowała. Jak dużo zmartwień przyczynił jej ostatnio brak pieniędzy... podatki, złe inwestycje... Teraz dzięki spadkowi zmartwienia się skończyły.

Biedny Richard. Łaska boska, że zmarł spokojnie we śnie. „Zmarł nagle dwudziestego drugiego” — to chyba o tym mówiła Cora. Cora naprawdę przekroczyła wszystkie granice! Zresztą zawsze taka była. Helen pamięta, jak spotkała ją kiedyś za granicą wkrótce po ślubie z Pierre'em Lansquenetem. Tego dnia Cora zachowywała się wyjątkowo głupkowato, kręcąc tą swoją głową i wygłaszając autorytatywne sądy o malarstwie, szczególnie o malarstwie własnego męża. Musiał się na pewno źle czuć. Nikt nie lubi, gdy jego żona robi z siebie takiego durnia. A Cora była durniem! Oczywiście, nie była to jej wina, a ten mąż też nie traktował jej zbyt dobrze.

Wzrok Helen spoczął na bukietach woskowych kwiatów stojących na malachitowym stoliku. Tam siedziała Cora, gdy czekali na wyjazd do kościoła. Cały czas coś wspominała i była tak zachwycona, że tyle pamięta, że całkowicie zapomniała o przyczynie, dla której się zebrali.

A może — pomyślała Helen — ma w sobie po prostu mniej hipokryzji niż reszta z nas?

Cora nigdy nie zachowywała konwenansów. Weźmy chociażby sposób, w jaki wyskoczyła z tym stwierdzeniem: „On został zamordowany, czyż nie?” Te twarze wokół niej, zaskoczone, zbulwersowane, wstrząśnięte! Taka różnorodność ekspresji...

I nagle, przypominając sobie ten obraz, Helen zmarszczyła brwi. Coś się nie zgadzało...

Coś... czy ktoś?

Czy chodzi o wyraz czyjejś twarzy? O coś — jak by to powiedzieć — czego nie powinno na niej być?

Nie wie... nie może sobie przypomnieć... ale na pewno było w tym coś nie tak.

V

W tym samym czasie w bufecie na stacji Swindon kobieta w żałobie, obwieszona sznurami dżetowych koralików, jedząc bułeczki i popijając herbatę rozmyślała o przyszłości. Nie nękało jej przeczucie nieszczęścia. Była szczęśliwa.

Te podróże z przesiadkami są takie męczące. Z pewnością łatwiej byłoby dostać się do Lytchett St. Mary przez Londyn, ale więcej by to kosztowało. Ach, przecież teraz wydatki nie grają roli. Ale musiałyby podróżować razem z rodziną, być może rozmawiać z nimi w czasie jazdy. Za duży wysiłek.

Nie, lepiej jechać z przesiadkami. Te bułeczki są naprawdę wyśmienite. To straszne, jaki głodny jest człowiek po pogrzebie. Zupa w „Enderby” była doskonała, suflet też.

Jacy oni są wszyscy kołtuńscy... i jacy hipokryci! Jak na nią patrzyli, gdy powiedziała o morderstwie! Dobrze, że to powiedziała. Pokiwała głową z zadowoleniem. Tak, dobrze zrobiła.

Spojrzała na zegarek. Pięć minut do odjazdu. Dopiła herbatę, niezbyt zresztą dobrą. Skrzywiła się.

Chwilę siedziała pogrążona w marzeniu... Uśmiechnęła się jak szczęśliwe dziecko. Nareszcie dobrze się bawi. Robiąc plany na przyszłość wsiadła do podmiejskiego pociągu.

Rozdział czwarty

I

Pan Entwhistle noc miał bardzo niespokojną. Rano czuł się tak zmęczony, że postanowił nie wstawać.

Siostra, która prowadziła mu dom, przyniosła śniadanie na tacy i wyjaśniła mu dokładnie, jaki to był fatalny pomysł jechać na północ Anglii w jego wieku i w tym stanie zdrowia.

Pan Entwhistle odpowiedział, że Richard Abernethie był jego starym przyjacielem.

— Pogrzeby — rzekła siostra z głębokim niezadowoleniem — są śmiertelnie niebezpieczne dla ludzi w twoim wieku. Jeśli nie będziesz miał więcej starania o swoje zdrowie, skończysz tak nagle jak Abernethie.

Prawnik drgnął usłyszawszy słowo „nagle”. Nic nie odpowiedział. Dobrze wiedział, dlaczego go ono tak poruszyło.

To, co powiedziała Cora Lansquenet, było oczywiście niemożliwe, ale chciałby wiedzieć, dlaczego w ogóle przyszło jej to do głowy. Musi pojechać do Lychett St. Mary i zobaczyć się z nią. Powie, że Cora musi podpisać jeszcze jakieś dokumenty dotyczące spadku. Nie ma potrzeby uświadamiać jej, że w ogóle zainteresował się tą głupią uwagą. Ale musi pojechać i się z nią zobaczyć jak najszybciej.

Skończył śniadanie, oparł się o poduszki i zabrał się za czytanie „Timesa”. Było to bardzo uspokajające zajęcie.

Za piętnaście szósta wieczorem zadzwonił telefon. Dzwonił James Parrot, ze spółki Bollard, Entwhistle, Entwhistle i Bollard.

— Słuchaj — rzekł pan Parrot. — Właśnie miałem telefon z policji z miejscowości Lychett St. Mary.

— Lychett St. Mary?

— Tak. Zdaje się... — Parrot się zawahał — że chodzi o panią Corę Lansquenet. Czy ona nie była przypadkiem jednym ze spadkobierców Abernethie'ego?

— Owszem. Widziałem ją wczoraj na pogrzebie.

— To ona była na pogrzebie?

— Tak. O co chodzi?

— No cóż — rzekł przepaszającym tonem pan Parrot. — Ona... to naprawdę nie-słychane... została zamordowana. — Ostatni wyraz pan Parrot wyrzekł z wyraźną dez-aprobata. Uważał, że takie słowo w spółce Bollard, Entwhistle, Entwhistle i Bollard nie powinno nigdy paść.

— Zamordowana?

— Tak... obawiam się, że to prawda. To znaczy nie ma wątpliwości.

— Jak policja nas znalazła?

— Jej towarzyszka, gospodyni czy kimkolwiek ona była... panna Gilchrist. Policja zapytała ją o najbliższych krewnych lub doradców prawnych. Panna Gilchrist nic nie wiedziała o krewnych ani nie знаła ich adresów, ale znała nasz. Więc zaraz się skontaktowali.

— Dlaczego podejrzewają, że została zamordowana?

— Chyba nie ma wątpliwości. Użyto siekiery czy czegoś takiego... to bardzo brutalna zbrodnia.

— Coś ukradziono?

— Wydaje się, że tak. Wybite okno, powyciągane szuflady, zginęło kilka ozdóbek. Ale policja nie jest do końca przekonana. Uważają, że to jest trochę... teatralne.

— Kiedy się to stało?

— Pomiędzy drugą a wpół do piątej po południu.

— Gdzie była ta gospodyni?

— Pojechała do Reading wymienić książki w bibliotece. Wróciła koło piątej i znalazła panią Lansquenet już martwą. Policja pytała, czy wiem, kto mógł ją zamordować. Powiedziałem, że nic mi o tym nie wiadomo.

— Tak, oczywiście, miałeś rację.

— To musiał być jakiś wiejski półgłówek... spodziewał się, że znajdzie coś cennego, a potem stracił głowę i zabił ją. Co o tym myślisz? Zgadzasz się ze mną?

— Tak, tak — przytaknął pan Entwhistle, najwyraźniej myśląc o czymś innym.

Parrot na pewno ma rację. Właśnie to musiało się zdarzyć... Ale, niestety, pamiętał głos Cory mówiącej z ożywieniem: „On został zamordowany, czyż nie?” Cora zachowała się głupio, jak zresztą zawsze. Narażała się, głośno mówiąc niepożądaną prawdę...

Prawda... znów to przekłete słowo...

II

Pan Entwhistle i inspektor Morton oceniali się nawzajem wzrokiem.

Pan Entwhistle, jak zwykle dokładnie i metodycznie, przedstawił inspektorowi wszystkie ważniejsze fakty związane z Corą Lansquenet. Jej wychowanie, małżeństwo, wdowieństwo, pozycję finansową i krewnych.

— Timothy Abernethie, jej jedyny żyjący brat i najbliższy krewny, jest samotnikiem i inwalidą i nie może opuścić domu. Upoważnił mnie do działania w jego imieniu.

Inspektor skinął głową. To szczęście, że ma do czynienia z tym starszym prawnikiem. Poza tym miał nadzieję, że prawnik pomoże mu rozwiązać tę sprawę, która zaczynała się komplikować.

— Z tego, co powiedziała panna Gilchrist, zrozumiałem, że pani Lansquet w przeddzień swojej śmierci pojechała na północ, na pogrzeb starszego brata.

— Tak jest. Ja też tam byłem.

— Czy zachowywała się normalnie? Nie zauważył pan nic dziwnego? Nie była przygnębiona?

Pan Entwhistle uniósł brwi udając zdziwienie.

— Czy wszystkie osoby, które mają wkrótce zostać zamordowane, zachowują się dziwnie? — zapytał.

Inspektor uśmiechnął się smutno.

— Nie myślę o przecuciu ani niczym takim. Po prostu szukam czegoś... czegoś odbiegającego od normy.

— Chyba pana nie rozumiem — powiedział pan Entwhistle.

— To nie jest prosta sprawa, panie Entwhistle. Powiedzmy, że ktoś poczekał, aż panna Gilchrist wyjdzie z domu, obserwował ją, jak szła do przystanku autobusowego, po czym wziął siekierę leżącą koło szopy, wybił nią okno kuchenne, wszedł do domu, na pięterko, i napadł na panią Lansquet zadając jej sześć czy osiem ciosów. — Pan Entwhistle aż się wzdygnął. — Tak, to była brutalna zbrodnia. Następnie morderca wyciąga kilka szuflad, zabiera kilka drobiazów, wartych może dziesięć funtów, i wychodzi.

— Ona leżała w łóżku?

— Tak. Zdaje się, że późno wróciła z podróży, była zmęczona i bardzo podniecona. Chyba coś odziedziczyła, prawda?

— Tak.

— Źle spała i obudziła się z okropnym bólem głowy. Wypiła kilka filiżanek herbaty, wzięła jakiś środek uśmierzający ból i powiedziała pannie Gilchrist, żeby nie przeszkadzać jej aż do obiadu. Potem nie czuła się wcale lepiej i wzięła dwie tabletki nasenne. Panią Gilchrist wysłała autobusem do Reading, by wymienić książki w bibliotece. Kiedy ten człowiek się wdarł, była senna albo już spała. Łatwo mógł ją zastraszyć albo zakneblować i wziąć, co chciał. Siekiera, specjalnie wniesiona do domu, to już trochę za dużo.

— Może chciał ją postraszyć? — zasugerował pan Entwhistle. — A kiedy zaczęła stawiać opór, wtedy...

— Lekarz twierdzi, że nie ma śladów walki. Wszystko wskazuje na to, że kiedy została zaatakowana, leżała na boku i spokojnie spała.

Pan Entwhistle poruszył się niespokojnie na krześle.

— Czasem słyszy się o brutalnych i bezsensownych morderstwach — zauważył.

— I prawdopodobnie to również zaliczymy do tej kategorii. Oczywiście szukamy jakichś podejrzanych osób, które się kręciły po okolicy. Jesteśmy przekonani, że to nikt z miejscowych. Wszyscy mają alibi. Większość ludzi była wtedy w pracy, a jej domek leży na uboczu. Każdy mógłby bez trudu dostać się tam niespostrzeżenie. Wokół wioski jest mnóstwo ścieżek. Niestety, ranek był wtedy piękny, od dawna nie padało, więc jeśli ktoś przyjechał samochodem, ślady i tak nie zachowałyby się.

— Myśli pan, że morderca przyjechał samochodem? — spytał ostro pan Entwhistle.

Inspektor wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Mówię tylko, że ta sprawa jest dziwna. Na przykład to. — Rzucił na stół garść przedmiotów: broszkę w kształcie koniczyny z perełkami, broszkę z ametystami, krótki sznurek pereł i bransoletę z granatami.

— To zabrano z jej domu. Znaleźliśmy to w pobliskich krzakach.

— Tak... to naprawdę ciekawe. Być może złoczyńca przestraszył się tego, co zrobił...

— Może. Ale wówczas najprawdopodobniej zostawiłby wszystko w jej pokoju... Oczywiście panika mogła go ogarnąć już po opuszczeniu sypialni, ale przed furtką.

— Lub, jak pan sugeruje, biżuteria została zabrana, by zafałszować ślady — zauważył spokojnie pan Entwhistle.

— Tak, jest parę możliwości... Oczywiście mogła to zrobić ta Gilchrist. Nigdy nic nie wiadomo w wypadku dwóch kobiet razem mieszkających... kłótnie, nienawiści, namiętności... To też bierzemy pod uwagę. Ale to mało prawdopodobne. Wszyscy twierdzą, że stosunki między nimi były przyjazne. — Inspektor na chwilę zawiesił głos. — Czy według pana nikt nie mógł skorzystać na jej śmierci?

— Tego nie powiedziałem.

Inspektor Morton spojrział na niego z uwagą.

— Myślałem, że głównym źródłem dochodu pani Lansquet była pensja wyznaczona jej przez brata i nie miała nic na własność.

— To prawda. Jej mąż zmarł jako bankrut, a z tego co o niej wiem, z dzieciństwa i lat późniejszych, byłbym zdziwiony, gdyby coś zaoszczędziła. Dom jest wynajmowany, nie należy do niej, a meble nawet przy obecnych cenach nie są dużo warte. Artystycznie malowane i podrabiane na wiejskie. Ten, komu je zapisała, nie wzbogaci się. Oczywiście jeśli w ogóle napisała testament. Nic na ten temat nie wiem, nie widziałem jej przez wiele lat.

— To co pan miał teraz na myśli? Bo jestem przekonany, że coś pan miał.

— Tak. Chciałem być precyzyjny.

— Czy chodzi panu o zapis w testamencie, o którym pan wspominał? Czy miała możliwość tym rozporządzać?

— Nie, nie w tym sensie, o jakim pan myśli. Nie mogła rozporządzać kapitałem. Teraz, po jej śmierci, zostanie on podzielony pomiędzy pozostałych pięciu beneficjentów Richarda. Właśnie to miałem na myśli. Że wszyscy pięcioro automatycznie zyskają na jej śmierci.

Inspektor był zawiedziony.

— A już myślałem — rzekł — że znajdziemy tu coś interesującego. No cóż, nie widzę osoby, która miałaby motyw, aby zabić ją w ten sposób. Wydaje się zatem, że to jakiś wariat., jeden z tych młodocianych kryminalistów, których się teraz tak namnożyło. Pewno stracił głowę, rzucił biżuterię pod krzak i uciekł... Musiało tak być. Chyba, że zrobiła to ta szacowna współmieszkanka, panna Gilchrist. Ale muszę przyznać, że to wydaje się mało prawdopodobne.

— Kiedy znalazła ciało?

— Dopiero koło piątej. Wróciła z Reading autobusem o czwartej pięćdziesiąt. Do domu weszła frontowymi drzwiami, poszła do kuchni i nastawiła czajnik na herbatę. Z pokoju pani Lansquenet nie dobiegał żaden dźwięk, ale panna Gilchrist myślała, że ona jeszcze śpi. Potem dostrzegła wybite okno kuchenne; szkło pokrywało całą podłogę. Jeszcze nic nie podejrzewała, myślała, że wybił je jakiś chłopiec bawiąc się piłką albo strzelając z procy. Weszła na górę i delikatnie zajrzała do pokoju pani Lansquenet, żeby sprawdzić, czy śpi, czy też podać jej herbatę. No a jak tam zajrzała, straciła głowę, zaczęła krzyczeć i pobiegła do najbliższego sąsiada. To, co mówi, jest logiczne, a ani w jej pokoju, ani w łazience, ani na ubraniu nie było śladów krwi. Nie, sędzę, że panna Gilchrist nie miała z tym nic wspólnego. Lekarz przybył na miejsce o wpół do szóstej i ustalił, że śmierć nastąpiła najpóźniej o wpół do piątej, a najprawdopodobniej bliżej drugiej. Wygląda na to, że morderca czaił się koło domu czekając na wyjście panny Gilchrist.

Twarz prawnika przebiegł szybki skurcz. Inspektor Morton ciągnął:

— Jak sędzę, zechce pan zobaczyć się z panną Gilchrist?

— Rzeczywiście myślałem, żeby to zrobić.

— Cieszyłbym się. Myślę, że powiedziała nam wszystko, co wiedziała, ale nigdy nie można być pewnym. Czasem w zwykłej rozmowie coś może się przypomnieć. Panna Gilchrist jest taka... trochę staropanińska, ale całkiem rozsądna i praktyczna. Była bardzo pomocna. — Po krótkiej przerwie dodał: — Ciało jest w kostnicy. Jeśli pan chce je zobaczyć...

Pan Entwistle zgodził się, ale bez entuzjazmu.

Po kilku minutach stał przed śmiertelnymi szczątkami Cory Lansquenet. Farbowana grzywka, sztywna od krwi, kleiła się do czoła. Pan Entwistle zagryzł wargi i odwrócił spojrzenie.

Biedna mała Cora. Jak niecierpliwie wczoraj oczekiwała, żeby dowiedzieć się, czy brat jej coś zostawił. Jakie miała plany na przyszłość! Mając te pieniądze mogłaby zrobić tyle rzeczy...

Biedna Cora... Jak krótko trwała jej radość.

Nikt nie skorzystał na jej śmierci, nawet brutalny napastnik, który uciekając porzucił zrabowane rzeczy. Pięć osób dostanie po parę tysięcy więcej, ale to, co już mieli, było przypuszczalnie i tak aż nadto na ich potrzeby. Nie, nie tu należy szukać motywu.

To dziwne, że na dzień przed swą śmiercią myślała o morderstwie.

„Został zamordowany, czyż nie?”

To śmieszne, że tak powiedziała. Śmieszne. Zbyt śmieszne, by wspominać o tym inspektorowi Mortonowi.

Oczywiście, jak zobaczy się z panną Gilchrist...

A jeśli panna Gilchrist, choć to mało prawdopodobne, będzie wiedziała, co Richard powiedział Corze?

„Z tego, co powiedział...” — co takiego powiedział?

— Natychmiast muszę się zobaczyć z panną Gilchrist — rzekł do siebie pan Entwhistle.

III

Panna Gilchrist była szczupłą kobietą o przekwitłej już urodzie i szpakowatych włosach. Jej twarz bez wyrazu przypominała jedną z tych twarzy, jakie często spotyka się u kobiet po pięćdziesiątce.

Panna Gilchrist bardzo ciepło przywitała pana Entwhistle'a.

— Tak się cieszę, że pan przyszedł — powiedziała. — Naprawdę prawie nic nie wiedziałam o rodzinie pani Lansquenet i, oczywiście, nigdy przedtem nie byłam zamieszana w morderstwo. To takie straszne!

Pan Entwhistle nie wątpił, że panna Gilchrist nigdy nie była zamieszana w morderstwo. Jej reakcja przypominała mu zachowanie jego współnika z firmy.

— O morderstwach się czyta — mówiła — choć nawet to niezbyt chętnie robię. Przeważnie są takie plugawe.

Podążając za nią do salonu, pan Entwhistle rozglądał się uważnie. Czuł wyraźny zapach farby. Dom był zatłoczony nie tyle meblami, ile obrazami, przeważnie ciemnymi olejami, które zajmowały całe ściany. Prawnik zauważył również kilka akwareli i jedną czy dwie martwe natury. Mniejsze obrazy ulokowane zostały we wnęce przy oknie.

— Pani Lansquenet kupowała je na aukcjach — wyjaśniła panna Gilchrist. — Bardzo to lubiła, biedaczka. Chodziła i wszystko oglądała. Obrazy są teraz tanie jak

barszcz. Nigdy za żaden z nich nie zapłaciła więcej niż funta, czasami tylko parę szylingów i twierdziła, że zawsze jest szansa dostania czegoś wartościowego. Uważała, że ten włoski prymityw może być wart dużo pieniędzy.

Pan Entwhistle spojrział podejrzliwie na zachwalany włoski prymityw. Cora nigdy nie nauczyła się niczego o obrazach — pomyślał. — Niech zjem własny kapelusz, jeśli któryś z tych bohomazów wart jest choćby pięć funtów.

— Oczywiście — pospiesznie rzekła panna Gilchrist zauważywszy jego reakcję — ja też się nie znam, choć mój ojciec był malarzem... ale nie bardzo uznanym. Sama malowałam trochę akwarelami w dzieciństwie i dużo o malarstwie słyszałam, więc pani Lansquenet była zadowolona, że może porozmawiać o malarstwie z kimś, kto ją rozumie.

— Lubiała ją pani?

Głupie pytanie, skarcił sam siebie. Czy może powiedzieć „nie”? Cora musiała być bardzo męcząca na co dzień.

— Lubiałam — powiedziała panna Gilchrist. — Bardzo dobrze się nam żyło. Pod pewnymi względami pani Lansquenet była jak dziecko. Mówiła wszystko, co jej przyszło do głowy. Chyba nie zawsze miała rację...

O zmarłej nie można powiedzieć: „Była dokumentnie głupia” — pomyślał pan Entwhistle i powiedział: — Nie była z niej intelektualistka.

— Nie... chyba ma pan rację. Ale nie brakowało jej sprytu. Czasami mnie naprawdę zdumiewało, jak potrafiła dopiąć swego.

Pan Entwhistle z zainteresowaniem spojrział na pannę Gilchrist. Pomyślał, że ta z pewnością nie jest głupia.

— Mieszkała z nią pani od kilku lat, prawda?

— Trzy i pół.

— Była pani jej współmieszkanką i... opiekowała się pani domem?

Stało się jasne, że prawnik dotknął delikatnego tematu. Na policzki panny Gilchrist wypłynął rumieniec.

— Och, tak. Trochę gotowałam — bardzo lubię gotować — odkurzałam i wykonywałam lżejsze prace. Oczywiście nic ciężkiego. — Z tonu panny Gilchrist przebijała niezłomność w tej kwestii. Pan Entwhistle, który nie miał pojęcia, jakie to są te cięższe prace, wydał z siebie pomruk, mający wyrażać całkowitą aprobatę i zrozumienie.

— Do cięższych prac przychodziła z wioski pani Panter. Regularnie dwa razy w tygodniu. Widzi pan, nie mogłabym być słu ż ą c ą. Gdy moja herbaciarnia upadła... taka klęska... to wszystko przez wojnę. Wspaniałe miejsce. Nazywała się ta herbaciarnia „Pod Wierzbą” i cała zastawa miała niebieski wzorek z gałązek wierzby... naprawdę śliczna. Miałam naprawdę dobre ciasta. Zresztą zawsze dobrze piekłam... Powodziło mi się całkiem niezłe aż do wojny, dopóki nie zaczęły się kłopoty z zaopatrzeniem. Wtedy zban-

krutowałam. Straciłam zainwestowane pieniądze, które ojciec zostawił mi w testamencie, i musiałam rozejrzeć się za jakimś zajęciem. Nigdy nie nauczyłam się żadnego zawodu, więc było to dość trudne. Najpierw poszłam do jednej pani, ale ona okazała się niegrzeczna i apodyktyczna, potem pracowałam trochę w biurze, ale nie lubiłam tej pracy, i w końcu spotkałam panią Lansquet. Od początku pasowałyśmy do siebie — a na dodatek jej mąż był artystą i w ogóle. — Panna Gilchrist przerwała zadyszana i po chwili dorzuciła: — Tak mi brakuje mojej herbaciarni. Przychodzili tam tacy mili ludzie!

Patrząc na pannę Gilchrist, pan Entwhistle nagle doświadczył uczucia, jak gdyby już ją gdzieś spotkał. Przypomniał sobie niezliczone szacowne kobiety spotykane w „Bursztynowych Kotach” „Niebieskich Papugach”, „Pod Wierzbami” i w „Zacisznych Zakątkach”, wszystkie skromnie odziane w niebieskie, różowe lub pomarańczowe fartuchy, przyjmujące zamówienia na herbatę i ciastka. To był świat panny Gilchrist — szynkowa herbaciarnia w starym stylu i odpowiednia do lokalu klientela zaliczająca się do „lepszego towarzystwa”. Pan Entwhistle pomyślał, że w tym kraju muszą być setki pannen Gilchrist o łagodnych twarzach, rzadkich szarych włosach i ustach wyrażających upór.

Panna Gilchrist mówiła dalej:

— Nie powinnam się tyle rozwodzić nad sobą. Policjanci byli naprawdę mili i wyrozumiali. Naprawdę mili. Z kwatery głównej przyjechał inspektor Morton, bardzo rozsądny człowiek. Znalazł mi nawet nocleg u pani Lake w dole ulicy, ale powiedziałam „nie”. Uważałam za swój obowiązek zostać w domu i przypilnować rzeczy pani Lansquet. Zabrali — panna Gilchrist przełknęła ślinę — ciało, pokój zamknęli i inspektor powiedział, że przez całą noc w kuchni będzie pełnił dyżur policjant z powodu tego wybitego okna. Na szczęście dziś rano wstawiono szybę. Co to ja mówiłam? Ach tak, więc powiedziałam, że nic mi się nie stanie we własnym pokoju... ale muszę się przyznać, że drzwi zabarykadowałam komodą, a na oknie postawiłam duży słój z wodą. Nigdy nic nie wiadomo, to mógł być maniak... w końcu się słyszy o takich rzeczach...

Panna Gilchrist zatrzymała się na chwilę i prawnik natychmiast to wykorzystał.

— Znam już główne fakty — rzekł. — Inspektor Morton już mi je przedstawił. Ale czy nie mogłaby pani sama opowiedzieć mi o tym?

— Oczywiście, panie Entwhistle. Wiem, co pan czuje. Informacja policyjna jest tak bezosobowa, prawda? Oczywiście, ma to swój sens.

— Przedwczoraj pani Lansquet wróciła z pogrzebu — odpowiedział pan Entwhistle.

— Tak, pociąg przyjechał dość późno. Zamówiłam jej taksówkę, jak mnie o to prosiła. Biedactwo, była bardzo zmęczona, to całkiem naturalne, ale ogólnie biorąc miała dobry humor.

— Rozumiem. Czy mówiła coś o pogrzebie?

— Tylko trochę. Podałam jej filiżankę gorącego mleka... nic więcej nie chciała, a ona powiedziała, że kościół był pełen, że było mnóstwo kwiatów... aha, i że żałuje, że nie spotkała swojego drugiego brata... Timothy'ego, nie myłę się?

— Tak, ma na imię Timothy.

— Więc mówiła, że nie widziała go od dwudziestu lat i miała nadzieję, że go tam spotka, ale rozumie, że w tych okolicznościach nie mógł przyjechać, ale była tam jego żona, i że nigdy nie zносиła Maude... Przepraszam, panie Entwistle... wymknęło mi się, nie chciałam...

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi — pocieszył ją prawnik. — Nie jestem z rodziny. Tak mi się wydawało, że Cora i jej szwagierka nigdy się za bardzo nie lubiły.

— Powiedziała, o ile pamiętam: „Zawsze wiedziałam, że Maude stanie się apodyktyczna i wścibska”. A potem poczuła się bardzo zmęczona i postanowiła od razu iść do łóżka. Przyniosłam jej termofor i od razu poszła do sypialni.

— Nic więcej nie powiedziała?

— Nie miała przecucia, jeśli o to panu chodzi. Jestem tego pewna. Była w bardzo dobrym nastroju, pomimo zmęczenia i... tego nieszczęścia w rodzinie. Spytała mnie, czy nie chciałabym pojechać” na Capri. Oczywiście powiedziałam, że byłoby to cudowne, że nigdy o tym nawet nie marzyłam, a ona na to: „Pojedziemy tam”. Po prostu. Zrozumiałam, że brat musiał jej zapisać coś w testamencie, chociaż nic o tym nie wspomniała.

Pan Entwistle skinął głową.

— Biedactwo. Dobrze przynajmniej, że miała przyjemność robienia planów.
— Panna Gilchrist westchnęła i mruknęła zawiedziona: — Teraz już chyba nigdy nie pojedę na Capri...

— A następnego dnia rano? — podsunął jej pan Entwistle, nieczuły na rozczarowania panny Gilchrist.

— Następnego dnia rano pani Lansquenet nie czuła się dobrze. Wyglądała okropnie. Powiedziała mi, że prawie nie spała. Miała koszmary. „To dlatego, że wczoraj pani się przemęczyła” — powiedziałam jej, a ona przytaknęła. Śniadanie zjadła w łóżku i leżała do południa, ale przy obiedzie powiedziała mi, że nie była w stanie zasnąć. „Jestem niespokojna — mówiła — cały czas myślę o różnych rzeczach i robię plany.” A potem stwierdziła, że weźmie pigułki na sen i spróbuje przespać się po południu. Chciała, żebym pojechała autobusem do Reading i wymieniła książki w bibliotece, ponieważ obie skończyła czytać w pociągu i chce coś nowego. Zazwyczaj dwie książki starczały jej na tydzień. Zaraz po drugiej wyszłam i to był ostatni raz, kiedy... — Panna Gilchrist zaczęła pociągać nosem. — Musiała wtedy spać. Na pewno nic nie słyszała i inspektor zapewnił mnie, że nie cierpiała... Mówił, że prawdopodobnie zabił ją pierwszy cios. O Boże, nie mogę o tym myśleć!

— Niech się pani uspokoi. Nie mam zamiaru więcej pani o to pytać. Chciałem tylko usłyszeć, jaka była pani Lansquenet przed tą tragedią.

— Całkiem naturalna. Proszę powiedzieć krewnym, że pomimo nie przespanej nocy była szczęśliwa i myślała o przyszłości.

Następne pytanie pan Entwhistle zadał po krótkim namyśle. Chciał je tak sformułować, aby nic świadkowi nie sugerować.

— Czy nie wspominała szczególnie któregoś ze swych krewnych?

— Nie, chyba nie — odparła panna Gilchrist z namysłem. — Oczywiście oprócz tego, że nie spotkała się z bratem Timothyem.

— Czy nie mówiła o śmierci brata? O... o przyczynie śmierci?

— Nie.

Twarcz panny Gilchrist nie zdradzała wzmożonej czujności. Pan Entwhistle był pewien, że panna Gilchrist zdradziłaby się, gdyby Cora wspomniała, że podejrzewa morderstwo.

— Chyba był od jakiegoś czasu chory — rzekła niepewnie. — Chociaż muszę powiedzieć, że jego śmierć mnie zdziwiła. Wyglądał tak zdrowo.

— Pani go widziała? Kiedy? — spytał szybko prawnik.

— Gdy przyjechał zobaczyć się z panią Lansquenet. To było... jakieś trzy tygodnie temu.

— Zatrzymał się tutaj?

— Nie, przyszedł tylko na obiad. Zupełnie niespodzianie. Pani Lansquenet nie oczekiwała go. Zdaje się, że była jakaś kłótnia rodzinna. Nie widzieli się od wielu lat, jak mi powiedziała pani Lansquenet.

— To prawda.

— Spotkanie z bratem bardzo ją przygnębiło. Prawdopodobnie wiedząc, jak jest chory...

— Wiedziała, że jest chory?

— Tak, dobrze to pamiętam. Zastanawiałam się wtedy — ale nikomu o tym nie mówiłam — czy pan Abernethie nie cierpi na rozmiękczenie mózgu. Pamiętam, że moja ciotka...

Pan Entwhistle przerwał dywagację.

— Czy zaczęła pani podejrzewać rozmiękczenie mózgu po czymś, co powiedziała pani Lansquenet?

— Tak. Powiedziała coś takiego: „Biedny Richard. Bardzo postarzał się po śmierci Mortimera. Cierpi na manię prześladowczą, to typowe na starość. Te wszystkie opowiadania o tym, że ktoś chce go otruć.” I widzi pan, ja to rozpoznałam. Moja ciotka, ta o której wspomniałam, była przekonana, że służba próbuje zatruć jej pożywienie i w końcu jadła tylko gotowane jajka, ponieważ twierdziła, że nie da się zatruć jajka

w środku. Pozwalaliśmy jej robić, co chciała, ale nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby to zdarzyło się dzisiaj. Teraz jajka są taką rzadkością, a jak się pokażą, to przeważnie zagra niczne, i gotowanie ich jest naprawdę ryzykowne.

Pan Entwhistle nie słuchał opowieści o ciotce. Czuł wzrastający niepokój. W końcu, kiedy panna Gilchrist umilkła, zapytał:

— Sądzę, że pani Lansquenet nie traktowała tego poważnie?

— O nie, wiedziała, o co chodzi.

Ta uwaga również zaniepokoiła prawnika, choć nie w tym znaczeniu, jakie nadała jej panna Gilchrist.

Czy naprawdę Cora wiedziała, o co chodzi? Nie wtedy, naturalnie, ale później? Czy nie wiedziała aż za dobrze?

Pan Entwhistle wiedział, że Richard Abernethie nie cierpiał na manię prześladowczą. Umysł miał w pełni sprawny. Był trzeźwym człowiekiem interesu i choroba nie pozbawiła go tej cechy.

To bardzo dziwne, że powiedział coś takiego swojej siostrze. Ale może też Cora czytała między wierszami i dopowiedziała sobie to, co Richard dał jej tylko do zrozumienia?

Cora, pomyślał pan Entwhistle, w wielu wypadkach odznaczała się głupotą. Nie potrafiła wyrobić sobie właściwego sądu, była niezrównowazona, ale posiadała też — jak dziecko — umiejętność trafiania w samo sedno.

Nie wypytywał dalej panny Gilchrist. Prawdopodobnie i tak więcej nie wie. Zapytał tylko, czy pani Lansquenet zostawiła testament, i dowiedział się, że owszem, jest złożony w banku.

Wręczywszy pannie Gilchrist niewielką sumę pieniędzy na pokrycie bieżących kosztów i zapowiedziawszy, że wkrótce się z nią skontaktuje, zaczął się żegnać. Poprosił jeszcze, by na czas szukania nowej pracy pozostała w domu Cory. Panna Gilchrist była bardzo wdzięczna i powiedziała, że nie boi się tu mieszkać.

Nie udało mu się jednak wyjść, zanim panna Gilchrist nie oprowadziła go po całym domu i nie pokazała obrazów Pierre'a Lansqueneta zebranych w małej jadalni. Pan Entwhistle aż się wzdrygnął na ich widok. Były to głównie akty, wykonane bez szczególnych umiejętności, ale za to zachowujące wierność szczegółom. Musiał również podziwiać namalowane przez Corę małe obrazki olejne przedstawiające malownicze porty.

— Polperro — powiedziała z dumą pana Gilchrist — Byliśmy tam w ostatnim roku i panią Lansquenet zachwycała malowniczość tej miejscowości.

Pan Entwhistle, podziwiając Polperro ukazane z południowego zachodu i północnego zachodu, i z innych kierunków, całkowicie zgodził się z opinią, że pani Lansquenet była tym miejscem zachwycona.

— Pani Lansquet przyrzekła zostawić mi swoje obrazy — powiedziała z nadzieją panna Gilchrist. — Tak mi się podobają. Na tym nawet widać fale uderzające o brzeg. Jak pan myśli, jeśli o tym zapomniała, to czy mogłabym dostać jeden z jej obrazów na pamiątkę?

— To się z pewnością da załatwić — rzekł łaskawie prawnik, po czym pożegnał się i poszedł na rozmowę z dyrektorem banku. W planach miał jeszcze spotkanie z inspektorem Mortonem.

Rozdział piąty

I

— Widzisz, jaki jesteś zmęczony — powiedziała panna Entwistle oburzonym tonem, jaki kochające siostry przyjmują w stosunku do braci, którym prowadzą dom. — Nie powinienesz robić tego w twoim wieku. Chciałabym wiedzieć, co cię to w ogóle obchodzi. W końcu jesteś na emeryturze.

Pan Entwistle spokojnie odparł, że Richard Abernethie był jednym z jego najstarszych przyjaciół.

— Był, ale już nie żyje. Dlatego nie widzę powodu, dla którego miałbyś mieszać się do rzeczy, które nic cię nie powinny obchodzić. W końcu zaziębisz się na śmierć w tych przeciągach w wagonach. I do tego morderstwo! Nie rozumiem, po co cię w to wciągali.

— Porozumieli się ze mną, ponieważ znaleźli w domu list przeze mnie podpisany, w którym informowałem Corę o pogrzebie.

— Proszę, jeden pogrzeb po drugim... to mi coś przypomina. Aha, dzwonił jeden z tych cennych Abernethie'ów... chyba Timothy. Skądś w Yorkshire, i też w sprawie pogrzebu! Powiedział, że zadzwoni później.

Wieczorem rzeczywiście zadzwonił telefon. Gdy go odebrał, usłyszał głos Maude.

— Dzięki Bogu, nareszcie pana znalazłam. Timothy jest w okropnym stanie, wiadomość o Corze strasznie go przygnębiła.

— To zrozumiałe.

— Co pan powiedział?

— Że to całkiem zrozumiałe.

— Chyba tak — Maude nie była przekonana. — Czy ona naprawdę została zamordowana?

(„Został zamordowany, czyż nie?” — spytała Cora. Tym razem nie było wątpliwości.)

— Tak, to prawda.

— Siekierą, tak jak podają gazety?

— Tak.

— Nie do wiary — rzekła Maude — że siostra Timothy'ego, jego własna siostra, mogła zostać zabita siekierą.

Panu Entwistle również wydawało się to niepojęte. Życie Timothy'ego było tak spokojne, iż czuło się, że jego krewni powinni niejako się do tego dostosować.

— Obawiam się, że takie są fakty — powtórzył spokojnie pan Entwistle.

— Tak się martwię o męża. To źle na niego wpływa. Teraz zdołałam położyć go do łóżka, ale cały czas nalegał, bym namówiła pana na przyjazd tutaj. Chce wszystko wiedzieć. Czy będzie publiczne przesłuchanie, kto powinien na nie pojechać, kiedy będzie pogrzeb, ile jest pieniędzy, czy Cora życzyła sobie kremacji, czy zostawiła testament...

— Tak, zostawiła testament — przerwał jej pan Entwistle. — Na wykonawcę wyznaczyła Timothy'ego.

— Och, obawiam się, że Timothy nie będzie mógł się tego podjąć.

— Wszystkim zajmie się nasza firma. Testament jest bardzo prosty. Wszystkie własne obrazy i broszkę z ametystem zostawiła swej współmieszkance, pannie Gilchrist, a całą resztę — Susan.

— Susan? Dlaczego jej? Nie wierzę, żeby ją choć raz spotkała... a w każdym razie nie od czasu, gdy Susan była jeszcze małym dzieckiem.

— Przypuszczam, że ponieważ doszło do niej, iż małżeństwo Susan nie bardzo podobało się rodzinie.

— Gregory jest o wiele lepszy niż Pierre Lansquenet — parsknęła Maude. — Oczywiście wychodzenie za mąż za kogoś, kto sprzedaje w sklepie, byłoby za moich czasów nie do pomyślenia... ale apteka jest o wiele lepsza niż sklep z pasmanterią. Poza tym Gregory wygląda całkiem porządnie. — Umilkła, a po chwili zapytała: — Czy to znaczy, że Susan przypadnie dochód przeznaczony przez Richarda dla Cory?

— Nie. Kapitał zostanie podzielony zgodnie z instrukcjami Richarda. Całą własność Cory stanowi kilkaset funtów i meble. Gdy zostaną zapłacone długi a meble sprzedane, wątpię, czy Susan otrzyma więcej niż pięćset funtów. Oczywiście, najpierw będzie przesłuchanie. W następny czwartek. Jeśli Timothy się zgadza, wyślemy na nie młodego Lloyda, by wziął w tym udział w imieniu rodziny. Obawiam się, że ze względu na... okoliczności sprawa może nabrać rozgłosu.

— To straszne. Czy złapali mordercę?

— Jeszcze nie.

— To musiał być jakiś wariat, z tych, co chodzą po wsiach i mordują. Policja jest taka nieudolna.

— Nie, to nieprawda — zaprotestował pan Entwistle. — Proszę nawet przez chwilę tak nie myśleć.

— No cóż, to takie dziwne. I fatalne dla Timothy'ego. Nie mógłby pan tu przyjechać? Byłabym bardzo wdzięczna. Myślę, że Timothy by się uspokoił, gdyby pan rozproszył jego wątpliwości.

Pan Entwhistle zastanawiał się przez chwilę. Zaproszenie nie było całkiem wbrew jego myśli.

— Może ma pani rację — odparł. — Poza tym będę potrzebował podpisu Timothy'ego na pewnych dokumentach. Tak, myślę, że to dobry pomysł.

— Wspaniale. Ulżyło mi. Kiedy pan przyjedzie? Jutro? Zostanie pan na noc? Najlepiej dojechać pociągiem o 11.20 z St. Pancras.

— Niestety, będę musiał przyjechać popołudniowym pociągiem. Rano mam coś do załatwienia.

II

George Crossfield powitał pana Entwhistle'a serdecznie, ale z niejakim zdziwieniem.

— Właśnie przyjechałem z Lychett St. Mary — powiedział wyjaśniająco prawnik, choć niczego to nie wyjaśniało.

— To naprawdę chodzi o ciotkę Corę? Czytałem o tym w gazetach, ale nie mogłem uwierzyć. Pomyślałem, że musiał to być ktoś inny o tym samym nazwisku.

— Lansquenet to nie takie popularne nazwisko.

— Oczywiście że nie. Przypuszczam, że po prostu nie chcemy wierzyć, że ktoś z naszej rodziny mógłby zostać zamordowany. Wygląda na podobną sprawę jak ta miesiąc temu w Dartmoor.

— Naprawdę?

— Tak. Te same okoliczności. Dom oddalony od innych. Dwie starsze kobiety mieszkające razem. Pieniądzy zabrano tak mało, że zbrodnia się... nie opłacała.

— Wartość pieniędzy to sprawa względna. Liczy się potrzeba — zaznaczył pan Entwhistle.

— Tak, chyba ma pan rację.

— Jeśli rozpaczliwie potrzeba komuś dziesięciu funtów, wówczas piętnaście to już nadmiar. I odwrotnie, jeśli potrzeba stu funtów, czterdzieści pięć to gorzej niż nic. A jeśli potrzeba tysiąca, wówczas nie wystarczą setki funtów.

— Powiedziałbym, że w dzisiejszych czasach przyda się każda suma pieniędzy — powiedział George z błyskiem w oku.

— Ale nie zawsze jest koniecznością. A liczy się właśnie konieczność.

— Czy ma pan na myśli coś konkretnego?

— Och, nie. — Zawiesił głos na chwilę, po czym rzekł: — minie trochę czasu zanim testament zostanie zrealizowany; czy nie chciałbyś otrzymać zaliczki?

— Przyznam się, że chciałem poruszyć ten temat. Byłem dziś rano w banku w sprawie debetu i odesłałem ich do pana. Sprawę załatwiłem pomyślnie.

Pan Entwhistle zauważył błysk w oku George'a i natychmiast rozpoznał to jako sygnał, że nawet jeśli George nie potrzebował rozpaczliwie pieniędzy, to co najmniej potrzebował ich bardzo. W tej chwili zdał sobie sprawę z tego, o czym cały czas podświadomie wiedział: że w sprawach finansowych nie ufałby George'owi. Był ciekaw, czy Richard Abernethie, który miał wielkie doświadczenie w tych sprawach, oceniał George'a podobnie. Wiedział, że po śmierci Mortimera miał zamiar właśnie jego uczynić swoim spadkobiercą. Wprawdzie George nie nosił nazwiska Abernethie, ale był jedynym mężczyzną z młodszego pokolenia. Zaprosił go zatem do domu na parę dni. Możliwe, że George nie zadowolił Richarda. Czy czuł instynktownie, tak jak on, że George nie jest uczciwy? Gdy Laura wychodziła za mąż za jego ojca, maklera zaplątanego w jakieś tajemnicze sprawy, rodzina nie była zadowolona. A George wdał się w ojca, a nie w rodzinę matki.

Mylnie interpretując milczenie prawnika, George zaśmiał się wymuszenie i rzekł:

— Muszę się przyznać, że ostatnio miałem pecha w inwestycjach. Zaryzykowałem i nie wyszło. Spłukałem się do czysta, ale teraz będę mógł sobie to wynagrodzić. Potrzeba tylko trochę kapitału. Ardens Consolidated to solidna firma, prawda?

Prawnik ani nie zaprzeczył, ani nie przytaknął. Zastanawiał się, czy George stracił pieniądze klientów czy swoje własne. Jeśli groził mu proces...

— Próbowalem się z tobą skontaktować w dzień po pogrzebie — rzekł pan Entwhistle — ale chyba nie było cię w biurze.

— Naprawdę? Nikt mi nie powiedział. Czulem, że po otrzymaniu takich doskonałych wieści należy mi się dzień wolny.

— Jakich doskonałych wieści?

George poczerwieniał.

— No, nie miałem na myśli śmierci wuja Richarda. Ale wiadomość o otrzymaniu pieniędzy zawsze dobrze działa na człowieka. Chce się to jakoś uczcić. Pojechałem na wyścigi i wygrałem. To prawdziwe powiedzenie, że pieniądz przyciąga pieniądz. Tym razem tylko pięćdziesiąt funtów, ale to też piechotę nie chodzi.

— Oczywiście, wszystko się przyda — przyznał pan Entwhistle. — A teraz dostaniesz dodatkową sumę po śmierci ciotki Cory.

George zmartwił się.

— Biedaczka — powiedział. — To straszny pech, nieprawdaż? Właśnie kiedy mogła zacząć bajeczne życie.

— Miejmy nadzieję, że policja znajdzie osobę, która tego dokonała.

— Myślę, że nie będą mieli z tym trudności. Policja ma swoje metody. Zgarniają wszystkich włóczęgów w okolicy, sprawdzają dokładnie ich alibi...

— To nie takie łatwe. Minęło już trochę czasu — zauważył pan Entwhistle. Na jego twarzy pojawił się chłodny uśmiezek:

— Ja sam byłem tego dnia o wpół do czwartej w księgami Hatcharda. Czy pamiętałbym, gdyby policja pytała mnie o to dziesięć dni później? Wątpię. A ty, George, byłeś na wyścigach w Hurst Park. Czy pamiętałbyś dzień wyścigów za... powiedzmy miesiąc?

— Wiedziabym, że to było w dzień po pogrzebie.

— Prawda. Poza tym konie, na które postawiłeś, wygrały. Następna pomoc dla pamięci. Nie zapomina się imion koni, które wygrały dla ciebie pieniądze. A jak się twoje nazywały?

— Zaraz. Gaymarck i Frogg II. Tak, nie zapomnę ich szybko.

Pan Entwhistle zaśmiał się sucho i wyszedł.

III

— Cieszę się, że pan przyszedł — powiedziała Rosamund bez entuzjazmu — ale jest jeszcze tak wcześnie. — Ziewnęła.

— Jest jedenasta — zauważył pan Entwhistle.

Rosamund jeszcze raz ziewnęła i usprawiedliwiła się:

— Wczoraj wieczorem mieliśmy przyjęcie. Było za dużo alkoholu. Michael ciągle ma okropnego kaca.

W tym momencie pojawił się Michael, również ziewając. Ubrany był w elegancki szlafrok, w ręce trzymał filiżankę czarnej kawy. Był zmizerowany i bardzo atrakcyjny, a uśmiech miał jak zwykle uroczy. Rosamund miała na sobie tylko czarną spódnicę i dość brudny żółty pulower, i — na ile pan Entwhistle mógł się wypowiedzieć — nic więcej.

Pedantyczny i wymagający prawnik nie pochwalał sposobu życia Shane'ów. Mieszkanie na pierwszym piętrze domu w Chelsea było w opłakanym stanie: po podłodze poniewierały się butelki, kieliszki i niedopałki papierosów, powietrze było ciężkie i wszystko pokrywał kurz.

Pośrodku tego bałaganu siedzieli Rosamund i Michael, jak zwykle piękni. Stanowili ładną parę i, jak wydawało się panu Entwhistle, bardzo się kochali. Rosamund bez wątpienia adorowała Michaela.

— Kochanie — powiedziała do niego — co myślisz o maleńkim łyyczku szampana? Tylko żeby nas postawił na nogi i żeby uczcić przyszłość. Och, panie Entwhistle, to naprawdę ogromne szczęście, że wuj Richard zapisał nam te cudne pieniądze, i to akurat teraz...

Prawnik zauważył szybkie, nachmurzone spojrzenie, które posłał jej Michael, ale Rosamund nie zmieniła tematu.

— Akurat teraz mamy wielką szansę. Michael ma opcję na sztukę... Jest tam wspomniała rola dla niego i nawet mała rólka dla mnie. Sztuka jest o młodym kryminaliście, z tych, którzy naprawdę są świętymi... Bardzo współczesna.

— Zdaje się, że masz rację — przyznał sztywno pan Entwistle.

— Kradnie, zabija, ściga go policja i odrzuca społeczeństwo, a na końcu on czyni cud.

Prawnik, urażony milczał. Co za niebezpieczne głupoty ci młodzi ludzie wygadują. I wypisują!

Co prawda, Michael nic nie mówił, ale z jego twarzy nie schodził grymas niezadowolenia.

— Pan Entwistle nie przyszedł tu tego słuchać, Rosamund — rzekł w końcu. — Zamknij się na chwilę i pozwól mu powiedzieć, jaki ma interes.

— Trzeba jeszcze załatwić kilka spraw. Wróciłem właśnie z Lychett St Mary.

— A zatem to ciotkę Corę zamordowano? Czytaliśmy o tym w gazecie. Mówiłam, że to musi być ona, bo nazwisko jest rzadko spotykane. Biedna ciotka Cora. Przyglądałam się jej podczas pogrzebu i myślałam sobie, jak strasznie wygląda i że lepiej nie żyć niż wyglądać tak jak ona... i teraz ona nie żyje. Wcale nie chcieli wczoraj wierzyć, kiedy im powiedziałam, że ta osoba zabita siekierą to moja ciotka. Wyśmiali mnie, prawda, Michael?

Michael Shane nie odpowiedział i Rosamund, najwyraźniej zadowolona, ciągnęła:

— Dwa morderstwa, jedno po drugim. To trochę za dużo.

— Nie bądź głupia, Rosamundo. Wuj Richard nie został zamordowany.

— Cora uważała, że tak.

— Po pogrzebie wróciliście do Londynu, prawda? — przerwał im pan Entwistle.

— Tak, tym samym pociągiem co pan.

— Oczywiście, oczywiście. Pytam tylko, bo próbowałem się z wami skontaktować — rzucił szybkie spojrzenie w kierunku telefonu — następnego dnia. Próbowałem kilka razy, ale nikt nie odbierał.

— Tak mi przykro... Co wtedy robiliśmy? To było przedwczoraj. Byliśmy w domu do dwunastej, prawda? A potem postanowiłeś spróbować spotkać się z Rosenheimem i poszedłeś z Oscarem na obiad, a ja poszłam po pończochy i zrobić zakupy. Byłam umówiona z Janet, ale się minęłyśmy. Doskonale udały mi się zakupy po południu. A potem byliśmy na kolacji w „Castille”. Wróciliśmy koło dziesiątej.

— Mniej więcej — przyznał Michael patrząc w zamyśleniu na gościa. — Po co chciał się pan z nami skontaktować?

— Kilka nowych spraw w związku z testamentem. Dokumenty do podpisania i tym podobne.

— Pieniądze dostaniemy teraz czy będziemy musieli czekać całe wieki? — spytała Rosamund.

— Obawiam się, że prawo nie działa szybko.

— Ale możemy dostać zadatek? — Rosamund najwyraźniej się przestraszyła. — Michael mówi, że to możliwe. To bardzo ważne dla nas. Z powodu sztuki.

— Aż tak się nie spieszy — powiedział układnie jej mąż. — To tylko kwestia decyzji, czy wziąć tę opcję czy nie.

— Nie będzie kłopotu z wzięciem zadatku — rzekł pan Entwhistle. — Tyle ile potrzeba.

— To w porządku — westchnęła z ulgą Rosamund. — Czy ciotka Cora zostawiła jakieś pieniądze? — spytała po chwili.

— Trochę. Zapisała je Susan.

— Dlaczego Susan? Ile tego jest?

— Kilkaset funtów i meble.

— Ładne?

— Nie — odparł pan Entwhistle.

Rosamund straciła zainteresowanie.

— To dziwne. Po pogrzebie ciotka Cora mówi: „On został zamordowany”, a zaraz następnego dnia sama zostaje zabita. To... niezwykle, prawda?

Po chwili niezręcznej ciszy odezwał się pan Entwhistle.

— Tak, to bardzo dziwne — przyznał.

IV

Pan Entwhistle przyglądał się Susan Banks. Pochylona nad stołem, z werwą coś opowiadała.

Nie posiadała urody Rosamund, ale twarz miała niebrzydką. Jej atrakcyjność związana była, jak zauważył pan Entwhistle, z jej witalnością. Usta były duże i pełne, bardzo kobiece. Całe ciało było bardzo kobiece. Pod wieloma względami Susan przypominała swojego wuja, Richarda Abernethie'ego. Kształtem głowy, linią szczęki, głęboko osadzonymi, myślącymi oczyma. Miała tę samą dominującą osobowość co Richard, tę samą energię, zdolność przewidywania i umiejętność prawidłowego osądu. Z trojga przedstawicieli młodszego pokolenia Abernethie'ów tylko ona miała w sobie cechy, dzięki którym powstała fortuna rodziny. Czy Richard rozpoznał w swej bratanicy ducha pokrewnego swojemu? Pan Entwhistle był przekonany, że tak. Richard zawsze potrafił ocenić charakter człowieka. Susan z pewnością posiadała cechy, których poszukiwał. A jednak nie zapisał jej więcej niż innym. George'owi nie wierzył, Rosamund, tej pięknej i głupiej laleczki, nie wziął nawet pod uwagę... Czy mógł nie zauważyć w Susan cech, których pragnął dla swojego spadkobiercy?

Jeśli nie chodziło o nią, to zapewne o męża...

Wzrok pana Entwistle'a powędrował ponad ramieniem Susan do Gregory'ego Banksa w roztargnieniu strugającego ołówek.

Szczupły, blady, nijaki młody człowiek z rudawymi włosami. Ginał w cieniu bogatej osobowości Susan. Niczym się nie odznaczał: miły, zgodny, bez własnego zdania. Choć i to go dobrze nie opisywało. W jego trzymaniu się na uboczu było coś niepokojącego. Nie był odpowiednim partnerem dla Susan, a jednak ta uparła się go poślubić i pokonała wszelkie przeszkody. Dlaczego? Co w nim widziała?

Sześć miesięcy po ślubie Susan nadal za nim szalała. Prawnik był tego pewien. Rozpoznawał to bezbłędnie. Przez firmę Bollard, Entwistle, Entwistle i Bollard przewinęło się bardzo wiele kobiet z kłopotami małżeńskimi. Żony szaleńczo kochające niegodnych ich i często niepociągających mężów i żony znudzone i pogardzające mężami wydawałyby się atrakcyjnymi i bez skazy. To, co kobieta potrafiła zobaczyć w mężczyźnie było poza możliwością zrozumienia przeciętnie inteligentnego mężczyzny. Kobieta ogólnie bardzo inteligentna potrafiła okazać się kompletnie głupia, jeśli chodziło o jej mężczyznę. Susan zaliczała się do tych kobiet, pomyślał pan Entwistle. Dla niej świat obracał się wokół Grega. A to mogło kryć w sobie wiele niebezpieczeństw.

— ...ponieważ to jest haniebne — mówiła z oburzeniem Susan. — Pamiętacie tę kobietę zamordowaną w Yorkshire w ostatnim roku? Do tej pory nikogo nie zaaresztowano i ta kobieta z cukierni zabita łomem. Zatrzymali jakiegoś mężczyznę, ale w końcu go wypuścili.

— Muszą być dowody, moja droga — wyjaśnił pan Entwistle.

Susan nie zwróciła na jego słowa uwagi.

— A ten przypadek emerytowanej pielęgniarki... i też siekierą, jak ciotkę Corę.

— Ależ Susan, wydawałoby się, że poświęciłaś się studiowaniu problemu zbrodni — rzekł pan Entwistle.

— Takie rzeczy się pamięta. A kiedy zostaje zabity ktoś w rodzinie... i to w podobny sposób... Po wsiach musi krążyć mnóstwo takich osób, włamują się do domów i atakują samotne kobiety. A policji to nie obchodzi!

Pan Entwistle potrząsnął głową.

— Nie lekceważ policji, Susan. Są sprytni, cierpliwi i uparci. To, że nic nie ukazuje się w gazecie, nie znaczy, że sprawa została zamknięta.

— A jednak w każdym roku są setki nie rozwiązanych spraw.

— Setki? — powtórzył niedowierzająco pan Entwistle. — Owszem, jest pewna ilość takich spraw. Ale w wielu wypadkach policja wie, kto jest winien, tylko brak dostatecznych dowodów, by go skazać.

— Nie wierze — rzekła Susan. — Uważam, że jeśli wie się na pewno, kto popełnił zbrodnię, zawsze można zdobyć dowody.

— Zastanawiam się... — powiedział zamyślony pan Entwhistle — ciekaw jestem...

— Czy w ogóle mają jakieś podejrzenia, kto zabił ciocię Corę?

— Nie wiem. O ile się orientuję, to nie. Ale przecież nie zwierzają mi się. I pamiętaj, że mieli mało czasu. Morderstwo zostało dokonane zaledwie przedwczoraj.

— To musiał być jakiś agresywny, pewnie niedorozwinięty mężczyzna. Żołnierz albo wypuszczony na wolność więzień. Kto inny użyłby siekiery?

Pan Entwhistle uniósł brwi i zamruczał:

*Toporek miała Lizzie mała
toporkiem ojcu śmierć zadała
toporek sięgnął i mamusi
dwa martwe ciała — tak być musi!*

— Nie widzę tu analogii — zaprotestowała gwałtownie Susan. — Chyba że ma pan na myśli współmieszkanek ciotki. A w ogóle Lizzie Boden została uniewinniona. Nie było pewne, czy to ona zabiła swego ojca i macochę.

— Te wierszyki o niej są oszczercze, masz rację — przyznał prawnik.

— Czy myśli pan, że zrobiła to panna Gilchrist? Czy Cora coś jej zapisała?

— Broszkę z ametystem i kilka obrazów wiosek rybackich mających tylko pamiątkową wartość.

— Morderstwo musi mieć jakiś motyw. Chyba że zrobił to wariat.

Pan Entwhistle zachichotał.

— Na razie jedyną osobą, która miała motyw, jesteś ty, Susan.

— Co pan mówi? — obudził się nagle Greg. W jego oczach zapaliło się złe światło. Już nie był mało znaczącą figurą na drugim planie. — Co ma Susan z tym wspólnego? Jak pan może mówić takie rzeczy?

— Zamknij się Greg. Pan Entwhistle nic takiego nie myśli — odezwała się ostro Susan.

— Taki mały żart — usprawiedliwił się prawnik. — W nie najlepszym guście, niestety. Cora wszystko zapisała tobie, Susan. Ale dla dziewczyny, która właśnie odziedziczyła kilkaset tysięcy funtów, spadek wysokości kilkuset funtów nie może stanowić motywu morderstwa.

— Zostawiła mi pieniądze? — spytała zdziwiona Susan. — Nawet mnie nie znała! Dlaczego to zrobiła, jak pan myśli?

— Pewnie słyszała, że sprzeciwiano się twojemu... małżeństwu. — Greg, znowu ostrzący ołówek, popatrzył na prawnika spoде łba. — Ona też miała trudności i uważała cię za pokrewną duszę.

— Wysłała za mąż za artystę, którego rodzina nie akceptowała, prawda? — spytała z zainteresowaniem. — Czy był dobrym artystą?

Pan Entwhistle potrząsnął głową.

— Czy w domu są jakieś jego obrazy?

— Tak.

— To sama ocenię.

Prawnik uśmiechnął się widząc wojowniczo wysuniętą brodę.

— Niech tak będzie. Niewątpliwie jestem starym piernikiem o przestarzałych poglądach na sztukę, ale nie sądzę, żebyś miała inne zdanie.

— Myślę, że tak czy inaczej powinnam tam pojechać i przyjrzeć się wszystkiemu. Czy tam ktoś jest?

— Poprosiłem pannę Gilchrist, żeby została jeszcze jakiś czas.

— Musi mieć niezłe nerwy — wtrącił się Greg — jeśli zgodziła się mieszkać w domu, gdzie popełniono morderstwo.

— Panna Gilchrist to rozsądna kobieta. Poza tym — dodał prawnik sucho — nie ma gdzie się podziać, dopóki nie znajdzie innej pracy.

— Zatem śmierć ciotki Cory całkiem ją załatwiła? Czy ciotka była z nią... bardzo blisko związana?

Pan Entwhistle spojrzał na nią z ciekawością, zastanawiając się, co miała na myśli.

— W miarę, jak mi się wydaje. Nigdy nie traktowała panny Gilchrist jak służącej.

— Założę się, że o wiele gorzej. Te „panie do towarzystwa” w dzisiejszych czasach! Spróbuję znaleźć jej gdzieś porządną pracę. Nie powinno to być trudne. Osoby potrafiące gotować i sprzątać są teraz na wagę złota. A ona gotuje, prawda?

— Tak. Mam wrażenie, że nie chciałyby wykonywać tylko „ciężkich prac”. Nie bardzo wiem, co to jest.

Susan była wyraźnie rozbawiona.

Pan Entwhistle, patrząc na zegarek, rzekł:

— Twoja ciotka na wykonawcę testamentu wybrała Timothy’ego.

— Timothy — powiedziała pogardliwie Susan. — Timothy to prawie mit. Nikt go nigdy nie widział.

— Racja. — Prawnik jeszcze raz spojrzał na zegarek. — Dziś jadę się z nim spotkać. Powiem mu o twojej decyzji zobaczenia domu.

— Nie będę tam dłużej niż dzień lub dwa. Chcę wrócić szybko do Londynu. Mam dużo roboty. Zaczynam rozwijać interesy.

Pan Entwhistle rozejrzał się po zatłoczonym maleńkim salonie. Najwyraźniej Gregowi i Susan nie powodziło się dobrze. Jej ojciec roztrwonił większość swoich pieniędzy i zostawił córkę w kłopotach.

— Jakie macie plany na przyszłość?

— Mam na oku nieruchomość na Cardigan Street. Sądzę, że w razie konieczności mogę dostać zaliczkę? Może będę musiała zapłacić zadatek.

— To da się zrobić. Następnego dnia po pogrzebie dzwoniłem do ciebie parę razy, ale nikt nie podnosił słuchawki. Przypuszczałem, że możecie chcieć zaliczkę. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie pojechaliście do miasta.

— Nie — odparła szybko Susan. — Cały dzień byliśmy w domu. Obydwoje. Wcale nie wychodziliśmy.

— Wiesz, Susan, myślę, że nasz telefon musiał tego dnia źle działać — powiedział Greg. — Pamiętasz, jak po południu nie mogłem się połączyć się z firmą Hard i Spółka? Chciałem to nawet zgłosić, ale następnego dnia rano wszystko było w porządku.

— Na telefonach nie zawsze można polegać — zauważył pan Entwhistle.

Nagle Susan zapytała:

— Skąd ciotka Cora wiedziała o naszym małżeństwie? Zawarliśmy ślub cywilny i rodzinę zawiadomiliśmy dopiero po wszystkim.

— Myślę, że Richard musiał jej o tym powiedzieć. Trzy tygodnie temu zmieniła testament (w poprzednim zapisała wszystko Towarzystwu Teozoficznemu), akurat mniej więcej wtedy, gdy się z nim widziała.

— Wuj Richard pojechał się z nią zobaczyć? — spytała zaskoczona. — Nie miałam pojęcia.

— Sam o tym nie wiedziałem.

— To wtedy...

— Co wtedy?

— Nic — powiedziała Susan.

Rozdział szósty

I

— To miło z pana strony, że pan przyjechał — przywitała prawnika Maude, kiedy wysiadł na peronie stacji Bayham Compton. — Zapewniani pana, że Timothy i ja to doceniamy. Dla męża śmierć brata była najgorszym z możliwych wydarzeń.

Pan Entwhistle nie rozważał jeszcze śmierci przyjaciela pod tym kątem. A tylko tak rozpatrywała to wydarzenie żona Timothy'ego.

Kierując się do wyjścia rozwijała temat.

— Po pierwsze, przeżył szok. Timothy naprawdę był do brata przywiązany. Po drugie, Timothy zaczął rozmyślać o śmierci. Doszedł do wniosku, że tylko on został z braci i zaczął już mówić, że teraz na niego kolej i że nie potrwa to już długo. Bardzo niezdrowe myśli, jak mu powiedziałam.

Wyszli ze stacji i Maude poprowadziła prawnika do rozlatującego się, niewiarygodnie starego samochodu.

— Przepraszam za tego grata — rzekła. — Od lat potrzebujemy nowego auta, ale nie mogliśmy sobie na to pozwolić. W tym dwa razy wymienialiśmy silnik. Te stare samochody są naprawdę wytrzymałe.

— Mam nadzieję, że zapali — dodała. — Czasami trzeba zakręcić korbą.

Kilka razy przycisnęła gaz, ale samochód tylko zawarczał. Pan Entwhistle, który w całym swoim życiu nigdy nie uruchamiał w ten sposób samochodu, miał jak najgorsze przecucia, ale Maude wysiadła, wetknęła korbę i kilkoma energicznymi szarpnięciami ożywiła silnik. Jak to dobrze, pomyślał pan Entwhistle, że Maude to taka silna kobieta.

— Sam pan widział — powiedziała. — Ostatnio ma narowy. To samo mi zrobił, kiedy wracałam z pogrzebu. Musiałam iść dobrych kilka mil do najbliższej stacji obsługi, a i tak znalazłam tylko taką małą, wiejską. Mechanicy przy nim majstrowali, a ja siedziałam w gospodzie. To też zdenerwowało Timothy'ego. Zadzwoiłam do niego i powiedziałam, że wrócę dopiero następnego dnia. Strasznie się denerwował. Próbuję nie mówić mu o niczym denerwującym, ale niektórych rzeczy po prostu nie da się uniknąć.

Na przykład to morderstwo Cory. Musiałam wezwać doktora Bartona, żeby dał mu coś na uspokojenie. Morderstwo to więcej niż może znieść człowiek tak chory jak Timothy. Cora zawsze była głupia.

Pan Entwhistle analizował tę uwagę w milczeniu. Nie bardzo rozumiał związek.

— Cory nie widziałam chyba od naszego małżeństwa — rzekła Maude. — Nie chciałam wówczas mówić Timothy'emu: „Twoja najmłodsza siostra ma źle w głowie”, w każdym razie nie w ten sposób, ale tak właśnie myślałam. Mówiła rzeczy po prostu zdumiewające! Nie wiadomo było, czy się śmiać czy płakać. Przypuszczam, że to dlatego, że żyła we własnym, wymyślonym świecie, melodramatycznym i nierzeczywistym. Biedna, teraz za to zapłaciła. Czy komuś pomagała?

— Pomagała? W jakim sensie?

— Zastanawiam się, czy nie opiekowała się jakimś młodym artystą czy muzykiem... Kimś, kogo mogła tego dnia wpuścić do domu, a on ją zabił dla pieniędzy. Może jakiś wyrostek... w tym wieku chłopcy są bardzo dziwni, szczególnie ci znerwicowani artyści. Chcę powiedzieć, że to co najmniej dziwne, włamać się do domu i popełnić morderstwo w środku dnia. Jeśli się ktoś włamuje, to przeważnie w nocy.

— Wtedy byłyby w domu dwie kobiety.

— Ach tak, ta jej towarzyszka. Ale tak prawdę mówiąc nie wierzę, że ktoś czekał, aż ona wyjdzie, by się włamać i zabić Corę. Po co? Nie mógł się spodziewać dużych pieniędzy ani niczego wartościowego, a na pewno nieraz się zdarzało, że obu kobiet nie było w domu. Bezpieczniej byłoby włamać się wtedy. To głupie popełnić morderstwo, gdy nie jest to absolutnie konieczne.

— A zamordowanie Cory było, według pani, niekonieczne?

— Wydaje się takie głupie.

Czy morderstwo powinno mieć sens? — zastanawiał się pan Entwhistle. Odpowiedź akademicka brzmiała „tak”. Ale było tyle bezsensownych morderstw. Wszystko zależy, pomyślał, od mentalności zabójcy.

A co on naprawdę wiedział o procesach myślowych morderców?

Bardzo niewiele. Jego firma nigdy nie zajmowała się sprawami kryminalnymi. Sam się tym też nie interesował. Wydawało mu się, że mordercy są bardzo różni. Niektórzy byli niezwykle próżni, inni pragnęli władzy lub — jak Seddon — pieniędzy, jeszcze inni — jak Smith i Rowse — fascynowali kobiety. Niektórzy, jak Armstrong, byli bardzo miłymi ludźmi. Edith Thompson żyła w nierealnym świecie pełnym okrucieństwa. Siostra Waddington usuwała swoich pacjentów fachowo i z uśmiechem na ustach.

Nagle głos Maude wyrwał go z zamyślenia.

— Gdybym tylko mogła zabrać Timothy'emu gazety! Ale on się upiera, że będzie je czytał, a to go oczywiście przygnębia. Pan rozumie, panie Entwhistle, że Timothy pod żadnym pozorem nie może uczestniczyć w przesłuchaniu? Jeśli to konieczne, doktor Barton napisze odpowiednie zaświadczenie.

— Niech się pani o to nie martwi.

— Dzięki Bogu!

Minęli bramę „Stansfield Grange” i teraz jechali zaniedbanym podjazdem. Niegdyś była to bardzo ładna posiadłość, ale teraz nie wyglądała najlepiej. Maude westchnęła i rzekła:

— Ogród stracił wygląd w czasie wojny. Obaj ogrodnicy dostali powołanie. A teraz mamy tylko jednego staruszka, i to niezbyt dobrego. Strasznie podrożała robocizna. To wspaniale, że teraz będziemy mogli trochę się tym zająć. Oboje bardzo lubimy ten dom. Bałam się, że będziemy musieli go sprzedać... Naturalnie nie wspomniałam o tym Timothy'emu, bardzo by się zdenerwował.

Zatrzymali się przed drzwiami starego georgiańskiego domu, któremu bardzo przydałoby się malowanie.

— Brak służących — narzekała Maude, gdy prowadziła gościa do środka. — Mamy tylko dwie dochodzące kobiety. Mieliśmy stałą służącą, ale odeszła miesiąc temu. Trochę garbata i nierozgarnięta, ale zawsze była na miejscu. Dostatecznie dobrze gotowała proste potrawy. I proszę sobie wyobrazić, że miesiąc temu dała mi wymówienie! Poszła do jakiejś głupiej baby, która ma sześć pekińczyków (a to większy dom i więcej pracy), ponieważ, jak powiedziała: „Bardzo lubi pieski”. Doprawdy, psy! Cały czas na coś chorują i strasznie bałaganią. Te dziewczyny są całkiem nienormalne! I teraz gdy muszę wyjść, Timothy zostaje sam w domu. Jak ma zawołać pomoc, jeśli się coś stanie? Wprawdzie zawsze zostawiam telefon przy jego fotelu i może zadzwonić do doktora Bartona...

Maude zaprowadziła gościa do salonu, gdzie stała już przygotowana herbata, i zachęciwszy go, by się rozgościł, zniknęła na tyłach domu. Po chwili wróciła z imbryczkiem esencji i srebrnym czajnikiem. Herbata była bardzo dobra, do tego ciasto domowej roboty i świeże bułeczki.

— A Timothy? — spytał prawnik i Maude wyjaśniła, że zaniósła mu tacę, zanim wyjechała na stację.

— Teraz drzemka, a zaraz potem się z panem zobaczy. Proszę go przypilnować, by się znanadto nie ekscytował.

Pan Entwhistle przyrzekł, że będzie się starał.

Patrząc w świetle ognia na Maude poczuł nagle dla niej współczucie. Ta silna, rośła, rozsądna kobieta, tak zdrowa, pełna życia, miała jeden słaby punkt: jej miłość do męża była miłością macierzyńską. Nie miała dziecka, a była kobietą stworzoną do macierzyństwa. Dlatego jej dzieckiem stał się mąż-inwalida i starała się nad nim czuwać, strzec go i ochraniać. I być może, mając silniejszą osobowość, wmówiła w niego to kalectwo.

Biedna kobieta — pomyślał sobie pan Entwhistle.

II

— Dobrze, że przyszedłeś — rzekł Timothy unosząc się w fotelu i wyciągając rękę do prawnika. Timothy był dużym mężczyzną bardzo podobnym do brata Richarda. W Richardzie jednak wyczuwało się siłę, w nim natomiast — słabość. Linia ust wskazywała na niezdecydowanie, a zmarszczki na czole — na skłonność do gniewu. Broda była lekko cofnięta, oczy głęboko osadzone.

Pled na kolanach oraz bateria buteleczek i pudełeczek z lekarstwami na stole obok podkreślały słabowitość gospodarza.

— Nie mogę się męczyć — powiedział ostrzegawczo. — Lekarz mi zabronił. Cały czas powtarza, bym się nie martwił. Gdyby w jego rodzinie zdarzyło się morderstwo, też by się martwił. Tego jest po prostu za dużo jak dla mnie: najpierw śmierć Richarda, potem pogrzeb i testament — i to jaki! — a w końcu biedna Cora zabita siekierą. Siekierą, pomyśl tylko! W dzisiejszych czasach aż roi się od bandytów, jeszcze z wojny! Włóczą się i zabijają bezbronne kobiety. Nikt nie ma odwagi tego ukrócić. Do czego to doszło! Co się stanie z tym krajem?

Pan Entwhistle przeprowadził już niejedną taką rozmowę. Od dwudziestu lat podobne pytanie prawie zawsze pojawiało się w rozmowach z klientami i prawnik nauczył się radzić sobie z tym. Dawał po prostu wymijające, uspokajające odpowiedzi.

— Wszystko zaczęło się od laburzystowskiego rządu — narzekał Timothy. — Wydali kraj na zatracenie. A obecny rząd nie jest lepszy. Nieszczery, fałszywi socjaliści! Popatrz, do czego doszliśmy! Nawet nie możemy zdobyć porządnego ogrodnika ani służby. Biedna Maude urabia sobie w kuchni ręce po łokcie (a propos, Kochanie, wydaje mi się, że do soli na kolację pasowałby pudding kremowy, a na początek bulion). Muszę dbać, by nie stracić sił, tak mówi doktor Barton. O czym to ja mówiłem? Aha, o Corze. Więc to jest szok dowiedzieć się, że twoja własna siostra została zamordowana. Przez dwadzieścia minut kołatało mi serce! Będziesz musiał się wszystkim zająć w moim imieniu. Ja nie mogę jechać na przesłuchanie ani zajmować się jej testamentem. Chcę o wszystkim zapomnieć. Byłbym zapomniał. Co się dzieje z pieniędzmi, które odziedziczyła po śmierci Richarda? Chyba ja je otrzymam?

Mruczając coś o sprzątaniu naczyń po podwieczorku, Maude wyszła z pokoju.

Timothy oparł się wygodnie i rzekł:

— Dobrze, że poszła. Nie będzie nam przeszkadzać w rozmowie o interesach.

— Pieniądze przypadające Corze będą równo podzielone pomiędzy siostrzeńca, siostrzenicę, bratanicę i ciebie.

— Ależ to ja jestem najbliższym krewnym! — Na policzki Timothy'ego wystąpił rumieniec. — Jedynym żyjącym bratem!

Pan Entwistle dokładnie zreferował postanowienia testamentu Richarda Abernethie'ego, przypominając rozmówcy, że jemu też wysłał kopię.

— Nie oczekujesz chyba ode mnie, żebym rozumiał ten żargon prawniczy — powiedział oburzony Timothy. — Wy, prawnicy! Przyznam się, że nie uwierzyłem, kiedy Maude wróciła i przekazała mi w skrócie tę sprawę. Myślałem, że źle zrozumiała. Kobiety nigdy nie potrafią niczego dobrze pojąć. Maude to najlepsza kobieta na świecie, ale jak każda z nich, nie zna się na finansach. Myślę, że ona nawet nie zdaje sobie sprawy, że gdyby Richard nie umarł wtedy, kiedy umarł, musielibyśmy się stąd wynosić! Tak jest!

— Z pewnością gdybyście zwrócili się do Richarda...

Timothy zaśmiał się ochryple.

— To nie w moim stylu. Ojciec zostawił nam dostatecznie dużo pieniędzy na wypadek, gdybyśmy nie chcieli zająć się interesem rodzinnym. Ja nie chciałem. Moja dusza nie zniosłaby plastrów na nagniotki. Richard czuł się nieco dotknięty moim stanowiskiem. Podatki, spadek dochodów i inne rzeczy... jednym słowem, nie było nam łatwo. Musiałem naruszyć kapitał, i to dość znacznie. Kiedyś wspomniałem Richardowi, że coraz trudniej utrzymać ten dom. Powiedział, że powinniśmy znaleźć coś mniejszego. Maude byłoby łatwiej, powiedział, mniej pracy. Mniej pracy, też coś! Nie, nie poprosiłbym Richarda o pomoc. Ale muszę ci powiedzieć, że zmartwienie źle wpłynęło na moje zdrowie. A ja nie powinienem się martwić! Potem Richard umarł i choć naturalnie było mi smutno — w końcu to brat — odczułem ulgę na myśl o przyszłości. Tak, skończyły się kłopoty. Co za ulga. Pomalujemy dom, zatrudnimy ogrodników, można dostać ogrodników, jeśli się dobrze zapłaci. Trzeba będzie wymienić wszystkie róże w ogrodzie... O czym to ja mówiłem?

— O swoich planach.

— Nie powinienem zwracać ci tym głowy. Chciałem tylko powiedzieć, że naprawdę zabolął mnie testament Richarda.

— Nie oczekiwałeś tego? — Pan Entwistle spojrzał pytająco.

— Oczywiście, że nie. Po śmierci Mortimera byłem przekonany, że Richard zapisze wszystko mnie.

— Czy on... kiedykolwiek o tym wspominał?

— Nigdy otwarcie. To był powściągliwy facet. Ale wkrótce po śmierci Mortimera przyjechał tu. Rozmawialiśmy o George'u i dziewczętach, i ich mężach. Chciał poznać moje zdanie... choć wiele nie mogłem mu powiedzieć. Jestem chory i nigdzie nie bywam. Maude i ja żyjemy jak samotnicy. Uważam, że obydwie dziewczyny zawarły, nieodpowiednie małżeństwa. Naturalnie sądziłem, że Richard konsultował się ze mną jako swoim następcą i że to mnie przypadnie majątek po jego śmierci. Mógł mi zaufać, że nie skrzywdzę młodych. I że zaopiekuję się Corą. Do diabła, Entwistle, jestem w końcu Abernethie'm, i to ostatnim z rodziny! Powinienem zostać spadkobiercą.

Timothy w podnieceniu zrzucił z nóg pled i usiadł prosto. Nie wyglądał teraz słabo ani chorowicie. Wprost przeciwnie — pomyślał pan Entwhistle. — Wygląda na całkiem zdrowego człowieka. Stary prawnik zdał sobie sprawę, że Timothy Abernethie musiał w skrytości ducha zawsze zazdrościć Richardowi. Byli na tyle do siebie podobni, że Timothy nie mógł darować bratu siły charakteru i umiejętności radzenia sobie w życiu. Kiedy ten umarł, Timothy spodziewał się, że nareszcie będzie mógł decydować o losie pozostałych członków rodziny. Richard Abernethie nie dał mu jednak tej władzy. Czy miał taki zamiar i się rozmyślił?

Nagły wrzask kotów w ogrodzie poderwał Timothy'ego z fotela. Podbiegł do okna, otworzył je, wrzasnął „cisza!”, po czym złapał jakąś książkę i rzucił nią w zwierzęta.

— Cholerne koty — burknął wracając do gościa. — Niszczą grządki i robią piekielny hałas. Nie mogę tego znieść. — Usiadł i zaproponował drinka.

— Dziękuję, jeszcze nie. Maude poczęstowała mnie doskonałą herbatą — odparł pan Entwhistle.

— Wspaniała kobieta, Maude — mruknął Timothy — ale ma za dużo roboty. Wyobraź sobie, że nawet grzebie w naszym starym samochodzie. I nieźle jej to wychodzi.

— Słyszałem, że miała jakąś awarię w drodze powrotnej z pogrzebu.

— Samochód nawalił. Wprawdzie wpadła na pomysł, żeby zadzwonić i mnie uspokoić, ale ta głupia dziewczyna, co przychodzi sprzątać, tak napisała wiadomość, że nic nie mogłem zrozumieć. Wyszedłem zażyć świeżego powietrza (lekarz mi radzi, bym wychodził na spacer, jeśli czuję się dość silny), a gdy wróciłem, znalazłem kawałek papieru, na którym nagryzmoła: „Samochód pani się zepsuł, zostaje na noc”. Oczywiście myślałam, że jest w „Enderby”. Zadzwoniłem i okazało się, że Maude wyjechała z samego rana. Przecież samochód mógł się zepsuć dokładnie wszędzie! Niezły bigos. Ta głupia służąca zostawiła mi na kolację tylko makaron z serem, w dodatku cały posklejany. Musiałem zejść do kuchni i sam go podgrzać! I zrobić sobie herbatę, nie mówiąc już o podłożeniu pod kuchnię! Mogłem dostać ataku serca... ale co to obchodzi tę babę! Gdyby miała choć odrobinę serca, wróciłaby wieczorem i zajęła się mną. Dziś już nie można liczyć na lojalność niższych klas...

Timothy pogrążył się w ponurych rozmyślaniach.

— Nie wiem, co Maude powiedziała ci o pogrzebie i o krewnych — rzekł pan Entwhistle. — Cora miała wystąpienie. Radośnie stwierdziła, że Richard został zamordowany. Czy Maude wspomniała ci o tym?

— Tak, już słyszałem — zachichotał Timothy. — Wszyscy spuścili oczy i udawali, że są wstrząśnięci. Ale tego można się było po Corze spodziewać. Pamiętasz, Entwhistle, jak w dzieciństwie zawsze wsadzała palce między drzwi? Pamiętam, że w dzień naszego ślubu powiedziała coś, co zmartwiło Maude. Maude nigdy jej nie lubiła. Wieczorem po

pogrzebie Maude zadzwoniła, żeby zapytać, jak się czuję i czy pani Jones przyszła podać mi kolację, i powiedziała mi, że wszystko dobrze poszło. Zapytałem wtedy, co z testamentem. Najpierw próbowała wykrętnych odpowiedzi, ale wyciągnąłem z niej prawdę. Nie mogłem uwierzyć, myślałem, że się pomyliła, lecz ona upierała się, że wszystko zrozumiała właściwie. Zabolało mnie to, Entwhistle, naprawdę mnie zabolało. Myślę, że Richard zrobił mi na złość. Nie powinno się mówić źle o umarłych, ale daję słowo...

Timothy przez chwilę dawał upust uczuciom. Przerwała mu dopiero Maude.

— Myślę, mój drogi — rzekła stanowczo, wchodząc — że spotkanie trwało już wystarczająco długo. Teraz musisz odpocząć. Już wszystko zdążyliście ustalić...

— Oczywiście, że zdążyliśmy. Powierzam ci wszystko, Entwhistle. Daj znać, kiedy złapią tego człowieka... jeśli to się w ogóle stanie. Nie wierzę w policję. W dzisiejszych czasach... Zajmiesz się też pochówkiem, dobrze? Niestety, nie przyjedziemy. Ale zamówimy drogi wieniec... i po jakimś czasie wystawimy odpowiedni nagrobek. Zostanie pochowana na miejscu, jak sądzę? Nie ma sensu przewozić ciała na północ. Nie pamiętam, gdzie leży jej mąż, chyba gdzieś we Francji. Nie wiem, co się pisze na nagrobku ofiary morderstwa? Może *Requiescat in pace!* Nie, to tylko dla katolików.

— „Ty, Panie, widziałeś moją krzywdę, wymierz mi sprawiedliwość” — zamruczał pan Entwhistle.

Widząc zdumione spojrzenie Timothy'ego, prawnik uśmiechnął się smutnie.

— To z Jeremiasza. Trochę melodramatyczne, ale chyba odpowiednie. W każdym razie teraz za wcześnie, by o tym mówić. Musi minąć trochę czasu, zanim będzie można postawić nagrobek. Ziemia musi się uleżeć. Nie martwcie się o nic. Zajmiemy się tym i o wszystkim będziemy cię informować.

Następnego dnia rano, po śniadaniu, pan Entwhistle pojechał do Londynu.

Gdy wrócił do domu, po krótkim wahaniu zadzwonił do swojego znajomego.

Rozdział siódmy

— Bardzo się cieszę z zaproszenia — rzekł pan Entwhistle ściskając gorąco dłoń swego gospodarza.

Herkules Poirot zaprosił go gestem do zajęcia miejsca przy kominku.

Prawnik westchnął i usiadł.

W kącie pokoju stał stół zastawiony na dwie osoby.

— Dziś rano wróciłem ze wsi — rzekł pan Entwhistle.

— I masz coś, o czym chcesz ze mną porozmawiać?

— Tak. Obawiam się, że to długa historia.

— Zatem opowiesz mi ją dopiero po kolacji. Georges?

Sprawny Georges zmaterializował się koło nich z pasztetem z gęsich wątróbek i gorącymi grzankami na tacy.

— Pasztet zjemy przy kominku — rzekł Poirot. — Do stołu przesiądziemy się później.

Po półtorej godziny pan Entwhistle wyciągnął wygodnie przed siebie nogi i wydał westchnienie zadowolenia.

— Z pewnością umiesz sobie dogadzać, Poirot — zauważył. — Francuzowi zawsze można zawierzyć w tym względzie.

— Jestem Belgiem, ale uwaga jest słuszna. W moim wieku główną przyjemnością, by nie rzec jedyłą, jest kuchnia. Dzięki Bogu mam zdrowy żołądek.

— Aha — mruknął Entwhistle.

Na kolację składały się: sole *veronique*, po niej nastąpiły *escalope de veau milanaise* i *poire flambée* z lodami.

Do picia podano Pouilly Fuissé, następnie Corton, a teraz przy łokciu prawnika stał kieliszek doskonałego porto. Poirot, który porto nie pijał, sączył krem kakaowy.

— Nie wiem — rzekł rozmarzony pan Entwhistle — skąd bierzesz takie wspaniałe eskalopki. Rozpływały się w ustach!

— Mam znajomego rzeźnika. Rozwiązałem kiedyś jego problem rodzinny. Docenił to... i teraz dba o mój żołądek.

— Problem rodzinny — westchnął pan Entwhistle. — Szkoda, że mi o tym przypomniałeś... Szkoda tej chwili.

— Przedłuż ją, przyjacielu. Zaraz dostaniemy po filiżance kawy i doskonałe brandy, a potem, kiedy zadbamy o trawienie, powiesz mi, co cię sprowadza.

Dopiero gdy zegar wybił wpół do dziesiątej, pan Entwhistle usiadł prosto w fotelu. Nadszedł odpowiedni psychologicznie moment. Nie wahał się dłużej, zaczął chętnie dzielić się kłopotami z przyjacielem.

— Nie wiem — powiedział — czy nie robię z siebie konkursowego głupca. Nie wiem, czy da się coś zrobić. Chciałbym ci przedstawić fakty i usłyszeć twoje zdanie.

Po krótkim namyśle zaczął opowiadać. Dzięki prawniczemu wykształceniu potrafił metodycznie przedstawić zdarzenia, nic nie opuszczać i nic nie dodawać. Jego sucha relacja bardzo podobała się Poirotowi.

Gdy skończył, przez chwilę obydwaj milczeli. Pan Entwhistle oczekiwał pytań, ale Herkules Poirot ich nie zadawał. Przemyślał to, co usłyszał. W końcu rzekł:

— Wszystko jasne. Nie możesz pozbyć się podejrzenia, że Richard Abernethie został zamordowany. To podejrzenie, czy założenie, poparte jest tylko jednym: słowami Cory Lansquet. Gdy je pominiemy, nic nie zostaje. To, że dzień później została zamordowana, może być najzwyczajszym zbiegiem okoliczności. To prawda, że Richard Abernethie zmarł nagle, ale zajmował się nim dobry lekarz, który go znał, i ten lekarz nie miał żadnych podejrzeń i wydał świadectwo zgonu. Czy ciało Richarda uległo kremacji?

— Tak sobie życzył.

— Tak, takie jest prawo. Zatem świadectwo zgonu musiał podpisać drugi lekarz... ale z tym nie byłoby trudności. Wracamy do głównego punktu, do tego, co powiedziała Cora Lansquet. Byłeś tam i słyszałeś jej słowa. Powiedziała: „został zamordowany, czyż nie?”

— Dokładnie.

— Sęk w tym, że wierzysz, iż mówiła prawdę.

Prawnik zawahał się, po czym odparł:

— Tak, wierzę jej.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — Pan Entwhistle był lekko zdumiony.

— Tak, pytam dlaczego. Czy dlatego, że w głębi serca nie byłeś pewien, czy zmarł śmiercią naturalną?

Prawnik potrząsnął głową.

— Nie, nie miałem żadnych podejrzeń.

— A zatem chodzi o to, że powiedziała to Cora. Czy dobrze ją znałeś?

— Nie widziałem jej około... ponad dwadzieścia lat.

— Poznałbyś ją na ulicy?

— Niekoniecznie — odparł pan Entwhistle po zastanowieniu. — Była młodą dziewczyną, kiedy widziałem ją ostatni raz, a teraz zmieniła się w tęgą, niemłodą kobietę w dziwnym ubraniu. Ale myślę, że poznałbym ją, gdybyśmy zaczęli rozmawiać. Fryzurę miała podobną, grzywkę prosto obciętą nad czołem, i pozostał jej zwyczaj spoglądania spoza niej, jak wystraszone zwierzątko. Miała też charakterystyczny, gwałtowny sposób mówienia. I zanim wyskoczyła z czymś zupełnie niestosownym, przechylała głowę na jedno ramię. Była charakterystyczna.

— Krótko mówiąc, nie zmieniła się wiele. I nadal miała zwyczaj szokowania tym, co mówiła. Czy te... niestosowne rzeczy, które mówiła w młodości... były zazwyczaj uzasadnione?

— Właśnie dlatego były takie krępujące. Mówiła zawsze to, o czym nie powinno się wspominać.

— Ta cecha również jej pozostała. Richard Abernethie został zamordowany, więc Cora od razu głośno to powiedziała.

Pan Entwhistle poruszył się niespokojnie.

— Czy myślisz, przyjacielu, że naprawdę ktoś go zamordował?

— Nie tak szybko, mój przyjacielu, nie tak szybko. Na razie zgadzamy się co do tego, że takie było przekonanie Cory. Uważała to za pewnik, nie za przypuszczenie. A zatem dochodzimy do pytania, dlaczego była o tym przekonana. Musiała istnieć jakaś przyczyna. Opierając się na twojej znajomości Cory przyjmujemy, że nie chodziło jej o zrobienie złośliwego żartu. Powiedz mi teraz, czy jej słowa wywołały od razu zbiorowy protest?

— Tak jest.

— I to ją zmieszało, zawstydziło i w końcu wycofała się mówiąc — o ile dobrze pamiętasz — „Ale myślałam... z tego, co mi powiedział...”

Prawnik potakująco skinął głową.

— Żałuję, że nie pamiętam lepiej. Ale tego jestem pewien. Użyła słów: „powiedział mi”.

— Po czym gafa została naprawiona, zapomniana, i zaczęto mówić na inny temat. Czy nie przypominasz sobie min zgromadzonych osób? Czy było coś... niezwykłego?

— Nie.

— A następnego dnia Cora zostaje zabita. Więc zadajesz sobie pytanie: „Czy to przyczyna i skutek?”

— Wydaje ci się to całkiem fantastyczne?

— Wcale nie — odparł Herkules Poirot. — Jeśli początkowe założenie jest słuszne, konkluzja jest logiczna. Popełniono doskonałe morderstwo, zabito Richarda Abernethie'ego, wszystko układa się gładko... a tu nagle okazuje się, że ktoś zna prawdę. Oczywiście osobę tę należy jak najprędzej uciszyć.

— Czy myślisz, że to było morderstwo?

— Myślę, *mon cher*, dokładnie tak jak ty — rzekł poważnie Poirot. — Powinno się przeprowadzić dochodzenie. Czy uczyniłeś jakieś kroki w tym kierunku? Czy powiadziłeś o tym policji?

— Nie — zaprzeczył pan Entwhistle potrząsając głową. — Uważałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Reprezentuję rodzinę. Jeśli Richard Abernethie został zamordowany, wydaje mi się, że posłużyć się można było tylko jednym sposobem.

— Trucizną?

— Tak. A ciało zostało spalone. Brak dowodów. Chciałbym jednak znać prawdę. Dlatego przyszedłem do ciebie.

— Kto był w domu w chwili jego śmierci?

— Stary kamerdyner, który usługiwał mu od lat, kucharka i pokojówka. Wydaje się, że musiałby to być ktoś z nich...

— Nie mydlij mi oczu. Cora wie, że Richard Abernethie został zabity, a jednak zgadza się, że trzeba zatuszować tę sprawę. Mówi: „Myślę, że macie rację”. Zatem musi chodzić o kogoś z rodziny, kogoś, kogo być może nie chciałaby otwarcie oskarżyć sama ofiara. Inaczej Cora, która bardzo brata lubiła, nie zgodziłaby się zostawić mordercy w spokoju. Zgadzasz się?

— Tak właśnie myślałem — przyznał się pan Entwhistle. — Choć nie wiem, jak ktoś z rodziny mógłby...

— W wypadku trucizny — przerwał mu Poirot — jest wiele możliwości. Skoro umarł we śnie i nie wyglądało to podejrzanie, musiał to być jakiś narkotyk. Możliwe, że zażywał jakieś leki z narkotykami.

— Nieważne, jak to zrobił. I tak nie będziemy w stanie mu nic udowodnić — rzekł pan Entwhistle.

— Nic w wypadku Richarda Abernethie'ego. Ale morderstwo Cory to inna sprawa. Gdy będziemy wiedzieli, kto wchodzi w grę, łatwo zdobędziemy dowody. — Detektyw rzucił prawnikowi spojrzenie i spytał: — Czy już coś zrobiłeś?

— Bardzo mało. Moim celem była głównie eliminacja. Z niechęcią myślę, że jeden z członków rodziny może okazać się mordercą. Nadal nie bardzo w to wierzę. Miałem nadzieję, że przez pozornie niewinne pytania dowiem się, kto nie wchodzi w rachubę. Może wszyscy będą niewinni? W takim razie przypuszczenie Cory byłoby pomyłką, a jej śmierć należałoby przypisać przypadkowi. Pomyślałem, że łatwo sprawdzę, co każdy z rodziny robił po południu w dzień śmierci Cory.

— *Eh bien*, i co robił?

— George Crossfield poszedł na wyścigi do Hurst Park. Rosamund Shane robiła zakupy w Londynie, jej mąż — musimy również brać mężów pod uwagę...

— Naturalnie.

— Jej mąż omawiał warunki opcji na jakąś sztukę, Susan i Gregory Banksowie spędzili cały dzień w domu, Timothy Abernethie, który jest inwalidą, był w domu w Yorkshire, jego żona wracała samochodem z „Enderby”.

Herkules Poirot spojrzał na prawnika i pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Tak mówią. Czy to jest prawda?

— Nie wiem. Niektóre rzeczy da się sprawdzić, ale trudno byłoby to zrobić nie ujawniając zaraz swoich podejrzeń. Praktycznie sprawdzanie równałoby się oskarżeniu. George mógł być na wyścigach, ale nie sądzę, że był naprawdą. Zbyt szybko pochwalili się wygraną. Z mojego doświadczenia wynika, że jak ktoś kłamie, od razu zaczyna za wiele mówić. Zapytałem o imiona koni, na które postawił, i podał je, pozornie bez wahania. Dowiedziałem się, że tego dnia wiele osób stawiało na dwa z nich i one rzeczywiście wygrały. Trzeci koń, choć również faworyt, nie zdobył żadnego miejsca.

— Ciekawe. Czy George gwałtownie potrzebował pieniędzy przed śmiercią wuja?

— Odnoszę wrażenie, że tak. Nie mam dowodów, ale mocno podejrzewam, że defraudował pieniądze klientów i bał się dochodzenia. To wprowadzi tylko moje wrażenie, lecz w tych sprawach mam trochę doświadczenia. Z przykrością muszę przyznać, że niejeden prawnik sprzeniewierza cudze pieniądze. Powiem ci, że nie powierzyłbym majątku George'owi, i wydaje mi się, że Richard Abernethie, dobrze oceniający ludzi, nie był z siostrzeńca zadowolony i nie miał do niego zaufania.

— Jego matka — ciągnął prawnik — była ładna, ale niezbyt mądra. Wyszła za mąż za człowieka powiedziałbym... dwuznacznego charakteru. — Westchnął. — Dziewczęta z tej rodziny nie mają dobrej ręki do mężów.

Po chwili milczenia pan Entwistle podjął temat na nowo.

— Jeśli chodzi o Rosamund, to piękna, głupiutka laleczka. Nie wyobrażam sobie, by mogła zabić siekierą. Jej mąż, Michael Shane, to trochę czarny koń. Człowiek o wielkich ambicjach i niesłuchanie próżny. Nie wiem o nim wiele. Nie mam powodów podejrzewać go o brutalną zbrodnię czy o otrucie, ale nie mogę go wyeliminować, dopóki nie zdobędę pewności, że robił to, co powiedział.

— Nie masz wątpliwości co do jego żony?

— Taka zbrodnia świadczy o gruboskórności... Naprawdą chodzi o to, że nie wyobrażam sobie jej z siekierą. Jest zbyt delikatna.

— I piękna! — rzekł Poirot z lekko cynicznym uśmiechem. — A bratanica?

— Susan? Bardzo różni się od Rosamund. Rzekłbym, że niezwykle zdolna. Razem z mężem byli tego dnia w domu. Powiedziałem (co nie było prawdą), że tego dnia po południu próbowałem się do nich dodzwonić. Greg natychmiast pospieszył z wyjaśnieniem, że tego dnia telefon źle działał. Próbował się do kogoś dodzwonić i nie udało mu się.

— Zatem znowu nic nie wiadomo. Nie da się nikogo wyeliminować. Jaki jest ten mąż?

— Trudno go ocenić. Robi niezbyt miłe wrażenie, choć nie wiadomo, z jakiego powodu. Jeśli chodzi o Susan...

— Tak?

— Przypomina wuja. Ma jego energię, przedsiębiorczość, inteligencję. Wydaje mi się jednak, że brak jej dobroci i ciepła mojego starego przyjaciela.

— Kobiety nie są dobre — zauważył Poirot — choć bywają czułe. Czy ona kocha męża?

— Bardzo, jak mi się zdaje. Ale nawet przez moment nie mogę uwierzyć, że Susan...

— Wolałbyś George'a? To naturalne! Jeśli o mnie chodzi, nie jestem sentymentalny w stosunku do młodych kobiet. A teraz powiedz, jak wypadła wizyta u starszych członków rodziny?

Pan Entwistle dokładnie opisał odwiedzin u Timothy'ego i Maude. Herkules Poirot podsumował:

— Pani Abernethie potrafi naprawić samochód. A pan Abernethie nie jest takim inwalidą, za jakiego chciałby się uważać. Chodzi na spacer i, jak mówisz, jest zdolny do gwałtownych czynów. Jest również niezwykle egocentrykiem i zawsze zazdrościł bratu charakteru oraz odniesionego sukcesu.

— Bardzo ciepło wyrażał się o Corze.

— I wyśmiał to, co powiedziała po pogrzebie. Co możesz powiedzieć o szóstym beneficjencie?

— Helen? Żona Leo? Ani przez moment jej nie podejrzewałem. W każdym razie łatwo będzie udowodnić jej niewinność. Była wówczas w „Enderby”. Poświadczy to trójka służących.

— *Eh bien*, przyjacielu — rzekł Poirot — co chcesz, żebym uczynił?

— Chcę poznać prawdę.

— To samo odczuwałbym na twoim miejscu.

— A ty jesteś człowiekiem, który może ją znaleźć. Wiem, że już nie praktykujesz, lecz prosiłbym cię o zrobienie dla mnie wyjątku. Potraktujmy to jak interes. Zapłacę ci honorarium. No, nie protestuj, pieniądze zawsze się przydadzą.

Poirot uśmiechnął się.

— I tak wszystko pochłoną podatki. Ale przyznam, że interesuje mnie ta sprawa. Ponieważ nie jest prosta... jest niejasna... Poproszę cię o jedno, a resztą sam się zajmę. Myślę, że będzie lepiej, żebyś to ty porozmawiał z lekarzem, który leczył Richarda. Znasz go?

— Słabo.

— Jaki jest?

— W średnim wieku. Kompetentny. Był w przyjacielskich stosunkach z Richardem. Uczciwy człowiek.

— Poszukaj go. Z tobą rozmawiał będzie swobodniej niż ze mną. Spytaj go o chorobę pana Abernethiego, dowiedz się, co zażywał tuż przed śmiercią i wcześniej. I czy mówił doktorowi, że ktoś próbuje go otruć. A propos, czy panna Gilchrist jest pewna, że w rozmowie z siostrą użył słowa „otruć”?

Pan Entwhistle zastanowił się.

— Tak właśnie powiedziała... ale takie osoby jak ona nie są dobrymi świadkami, często przekręcają to, co było naprawdę mówione, będąc przekonane, że przekazują sens rozmowy. Gdyby Richard powiedział, że boi się, że ktoś próbuje go zabić, panna Gilchrist podejrzewałaby otrucie, ponieważ skojarzyła jego obawy ze swoją ciotką, która uważała, że ktoś dosypuje jej coś do jedzenia. Mogę ją jeszcze kiedyś o to zapytać.

— Dobrze. Albo ja to zrobię. — Zamilkł na moment, a potem zapytał zupełnie innym tonem: — Czy nie pomyślałeś, że panna Gilchrist sama może być w niebezpieczeństwie?

— Nie pomyślałem — powiedział zaskoczony prawnik.

— To logiczne. W dzień pogrzebu Cora głośno dała wyraz swoim podejrzewaniom. Morderca będzie się zastanawiał, czy dokładniejszymi informacjami nie podzieliła się jeszcze z kimś zaraz po usłyszeniu o śmierci Richarda. A najbardziej prawdopodobną osobą byłaby panna Gilchrist. Myślę, *mon cher*, że lepiej nie zostawiać jej samej w tym domu.

— Susan się tam wybiera.

— Ach, pani Banks chce tam pojechać?

— Ma zamiar przejrzeć rzeczy Cory.

— Rozumiem... rozumiem... No cóż, przyjacielu, zrób, o co cię prosiłem. Możesz również przygotować panią Abernethie na możliwość mojej wizyty. Jeszcze zobaczymy. Przystępuję do pracy.

I Poirot z energią szarpnął swój wąs.

Rozdział ósmy

I

Pan Entwhistle popatrzył z zamyśleniem na doktora Larraby. W ocenie ludzi miał ogromne doświadczenie. Bardzo często musiał zręcznie wyjść z trudnej sytuacji i nabrał takiej wprawy, że obecnie był mistrzem w podejściu do ludzi. Jak nawiązać kontakt z doktorem w tej skomplikowanej sprawie, aby zadawanych pytań nie odczuł jako podważania autorytetu?

Prawnik doszedł do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie szczerość, nawet jeśli nie będzie to szczerość całkowita. Nie może powiedzieć, że w związku z podejrzeniem rzuconym przez niemądrą kobietę powstała dwuznaczna sytuacja. Doktor Larraby nie znał Cory.

Pan Entwhistle odchrząknął i zaczął odważnie:

— Chciałbym się pana poradzić w bardzo niezręcznej sprawie. Może się poczuć pan obrażony, ale mam nadzieję, że się tak nie stanie. Jest pan rozsądnym człowiekiem i na pewno zdaje pan sobie sprawę, że najlepszym sposobem poradzenia sobie z bzdurnymi pogłoskami nie jest ich potępienie, ale znalezienie na nie odpowiedzi. Sprawa ta dotyczy mojego klienta, świętej pamięci pana Abernethie'ego. Nie będę owijał w bawełnę. Czy jest pan pewien, absolutnie pewien, doktorze, że zmarł on śmiercią naturalną?

Lekarz ze zdumieniem na swej rumianej, pogodnej twarzy spojrział w kierunku prawnika.

— Co na Boga... Oczywiście, że tak. W końcu wystawiłem świadectwo zgonu, prawda? Gdybym nie miał pewności...

— Naturalnie, naturalnie — przerwał mu zręcznie pan Entwhistle. — Zapewniam pana, że sam myślę podobnie. Chciałbym tylko, w obliczu rozprzestrzeniających się pogłosek, mieć pańskie zapewnienie.

— Pogłosek? Jakich pogłosek?

— Nie wiadomo, skąd się to wzięło — skłamał prawnik. — Myślę jednak, że powinno się położyć im kres.

— Abernethie był chory. Cierpiał na chorobę, która tak czy inaczej spowodowałaby jego śmierć w ciągu najbliższych dwóch lat. A może szybciej. Śmierć syna zniszczyła

w nim chęć przetrwania i odporność. Przyznam, że nie spodziewałem się, że umrze tak szybko, by nie rzecz nagle, ale nie jest to przypadek wyjątkowy. Lekarz, który uważa, że potrafi dokładnie przepowiedzieć, kiedy pacjent umrze lub jak długo będzie żył, robi z siebie głupca. Nie da się przewidzieć wszystkich czynników. Człowiek słaby może nieoczekiwanie rozwinąć odporność, a silny — poddać się chorobie.

— Wszystko to rozumiem. Nie wątpię w pańską diagnozę. Pan Abernethie był, mówiąc nieco melodramatycznie, skazany na śmierć. Pytam tylko, czy jest możliwe, że podejrzewając swój stan, sam skrócił swe życie? Lub może ktoś inny zrobił to za niego?

Doktor Larraby zmarszczył brwi.

— Ma pan na myśli samobójstwo? Abernethie nie popełniłby samobójstwa.

— Rozumiem. Zapewnia mnie pan, że z medycznego punktu widzenia jest to niemożliwe.

Doktor poruszył się niespokojnie w krześle.

— Nie użyłbym słowa „niemożliwe”. Po śmierci syna Abernethie stracił dużo ze swego zainteresowania życiem. Nie sądzę, że samobójstwo jest prawdopodobne, ale nie jest niemożliwe.

— To z psychologicznego punktu widzenia. A kiedy pytam o medyczny, chcę wiedzieć, czy okoliczności jego śmierci wykluczały tę ewentualność.

— Nie. Umarł we śnie, jak wiele ludzi. Nie miałem powodu, by podejrzewać samobójstwo. Gdybym za każdym razem, kiedy ktoś umiera we śnie, miał żądać autopsji...

Twarz lekarza coraz bardziej czerwieniała.

— Oczywiście, ma pan rację — przerwał mu pan Entwhistle. — Gdyby jednak istniały okoliczności, których nie był pan świadomy? Na przykład coś, co komuś powie-działo...

— Co wskazywałoby na zamierzone samobójstwo? Naprawdę to zrobił? To mnie dziwi.

— To tylko teoretyczne rozważania. Gdyby jednak tak było, czy mógłby pan wykluczyć tę możliwość?

— Nie, nie mógłbym — rzekł wolno lekarz. — Ale powtarzam, byłbym bardzo zdziwiony.

Pan Entwhistle kuł żelazo póki gorące.

— Gdybyśmy zatem przyjęli, że jego śmierć nie była naturalna (to oczywiście tylko teoretyzowanie), co mogłoby ją spowodować? To znaczy jakie lekarstwo?

— Kilka. Zapewne jakiś narkotyk. Nie było sinicy, wyglądał bardzo spokojnie.

— Czy brał coś na sen?

— Tak. Przepisałem mu slumberyl, bezpieczny i skuteczny środek. Nie zażywał go co noc. I nie miał nigdy więcej niż małą fiołkę. Trzykrotna, a nawet czterokrotna dawka nie spowodowałyby śmierci. Przypominam sobie, że po śmierci widziałem tę fiołkę, niemal pełną, przy umywalce.

— Co jeszcze mu pan przepisał?

— Różne rzeczy. Lekarstwo zawierające małą dawkę morfiny. Miał je zażywać przy atakach bólu. Witaminy. Miksturę przeciw niestrawności.

— Witaminy? — przerwał pan Entwistle. — Chyba też kiedyś to brałem. Małe, okrągłe kapsułki z żelatyny?

— Tak.

— Czy dałoby się wstrzyknąć do... jednej z nich coś innego?

— Coś śmiercionośnego? — Lekarz był coraz bardziej zdziwiony. — Ale przecież nikt by... Niech pan słucha, panie Entwistle, do czego pan zmierza? Czy przypadkiem nie sugeruje pan... morderstwa?

— Nie wiem... Chcę tylko wiedzieć, co byłoby możliwe.

— Na jakiej podstawie sugeruje pan coś takiego?

— Na żadnej — odparł pan Entwistle zmęczonym głosem. — Pan Abernethie nie żyje... i osoba, której to mówił, też nie żyje. Cała rzecz opiera się na pogłoskach, którym chcę ukreślić łeb. Byłbym uszczęśliwiony, gdyby mi pan powiedział, że nikt nie mógł w żaden sposób otruć Richarda. Bardzo mi ciąży ta sprawa.

Doktor Larraby podniósł się i zaczął chodzić tam i z powrotem.

— Bardzo żałuję, że nie mogę tego powiedzieć, co pan chciałby usłyszeć — rzekł w końcu. — Oczywiście, że mogło tak być. Każdy mógł wyciągnąć z kapsułki lek i w zamian napełnić ją, powiedzmy, czystą nikotyną czy tuzinem innych rzeczy. Można też było zatruć jedzenie lub napoje. Czy to nie bardziej możliwe?

— Niewykłuczone. Ale widzi pan, w czasie jego śmierci w domu była tylko służba, a nie sądzę, żeby to ktoś z nich... właściwie jestem tego pewien. Dlatego szukam czegoś, co mogłoby zadziałać po jakimś czasie. Czy jest jakiś środek, który zadziałałby powiedzmy, w kilka tygodni po zażyciu?

— Ciekawy pomysł, ale nierealny. Wiem, że jest pan osobą rozsądną. Kto zatem wysuwa takie pomysły? Wnioski wydają mi się raczej naciągane.

— Abernethie nigdy nic panu nie powiedział? Nie sugerował, że ktoś z rodziny chciałby się go pozbyć?

Lekarz spojrział z zainteresowaniem.

— Nie, nic takiego nie mówił. Jest pan pewien, panie Entwistle, że ktoś nie próbuje po prostu wzbudzić sensacji?

— Mam nadzieję, że tak właśnie było.

— Czy dobrze zrozumiałem? Ktoś mówi, że Abernethie powiedział jej... przypuszczam, że to była kobieta?

— Tak, kobieta.

— Że ktoś próbuje go zabić?

Przyparty do muru, prawnik opowiedział, co zdarzyło się na pogrzebie. Twarz lekarza rozjaśniła się.

— Drogi panie, nie zwracałbym na to uwagi! Wyjaśnienie jest całkiem proste. Ta kobieta wkroczyła w wiek, kiedy wszystkie kobiety pożądamy sensacji, są niezrównoważone i nie można na nich polegać. Wtedy wszystko potrafią powiedzieć, naprawdę!

Pan Entwhistle nie zgadzał się z założeniem lekarza. Sam miał do czynienia z mnóstwem histerycznych kobiet goniących za sensacją.

— Może ma pan rację — rzekł wstając. — Niestety, nie będziemy mogli jej o to zapytać, ponieważ została zamordowana.

— Co? Zamordowana? — Pan Larraby spojrział tak, jakby podejrzewał, że prawnik jest niespełna rozumu.

— Prawdopodobnie czytał pan o tym w gazecie. Pani Lansquenet z Lytchett St. Mary w Berkshire.

— Oczywiście... nie wiedziałem, że była krewną Richarda Abernethie'ego. — Lekarz był najwyraźniej wstrząśnięty.

Zemściwszy się za okazywaną mu wyższość, acz niestety świadom, że podejrzenia nie zostały rozproszone, pan Entwhistle wyszedł.

II

Wróciwszy do „Enderby”, pan Entwhistle postanowił porozmawiać z Lanscombe'em.

Najpierw zapytał starego kamerdynera o plany na przyszłość.

— Pani Helen Abernethie poprosiła mnie, bym został, dopóki nie sprzedadzą domu. Z przyjemnością spełnię jej prośbę. Wszyscy lubimy żonę pana Leo. — Westchnął. — Niech mi pan wybaczy, że o tym mówię, ale bardzo przykro odczuwam konieczność sprzedaży domu. Jestem tu od tylu lat, widziałem, jak dorastały panienki i chłopcy. Zawsze myślałem, że pan Mortimer przejmie to po ojcu i być może będzie wychowywał tu swoje dzieci. Ustaliliśmy, że gdybym już nie nadawał się tu do pracy, poszedłbym do „North Lodge”. To bardzo miłe miejsce, jak spod igły. Ale myślę, że teraz nic z tego nie będzie.

— Obawiam się, że masz rację, Lanscombe. Trzeba będzie sprzedać całość. Ale twój zapis w testamencie...

— Nie narzekam, sir. Bardzo jestem wdzięczny panu Abernethie'emu za szczodrość. Nie będę cierpiał biedy. Tylko że dziś trudno znaleźć odpowiedni mały domek. Wprawdzie moja zameżna siostrzenica zaprosiła mnie do siebie, jednak to nie to samo co mieszkanie we własnym domu.

— Wiem — przyznał pan Entwhistle — że trudno nam, starym, przystosować się do nowego. Żałuję, że nie widywałem się częściej z Richardem przed śmiercią. Jak się czuł w ostatnim czasie?

— Od śmierci pana Mortimera nie był sobą.

— To go złamało. Poza tym był chory... a chorzy często sobie różne rzeczy wyobrażają. Pan Abernethie chyba na to cierpiał. Czy nie mówił nic o tym, że ma wrogów, że ktoś chce go skrzywdzić? Może nawet podejrzewał, że ktoś dodaje mu trucizny do jedzenia?

Stary Lanscombe był zdziwiony. Zdziwiony i obrażony.

— Nic takiego nie zauważyłem, sir.

Entwhistle spojrział bystro na kamerdynera.

— Jesteś bardzo lojalnym służącym, Lanscombe, wiem o tym. Ale takie słowa o niczym by nie świadczyły... w niektórych chorobach to całkiem naturalne.

— Naprawdę? Mogę tylko powiedzieć, że przy mnie pan Abernethie nic takiego nie mówił.

Pan Entwhistle zręcznie zmienił temat.

— Niektórzy członkowie rodziny przyjechali go odwiedzić, zanim umarł, prawda? Siostrzeniec, siostrzenica i bratanica z mężami.

— Tak jest.

— Czy był zadowolony z tych odwiedzin, czy raczej rozczarowany?

Lanscombe zesztywniał.

— Nie wiem, sir.

— Myślę, że wiesz — rzekł łagodnie pan Entwhistle — tylko uważasz, że nie na miejscu byłoby, gdybyś coś na ten temat powiedział. Czasami jednak zdarza się, że trzeba zadać gwałt temu, co się uważa za słuszne. Byłem jednym z najstarszych przyjaciół twojego pana. Bardzo go lubiłem. I ty też. Właśnie dlatego pytam cię o to, pytam jako człowieka, nie kamerdynera.

Lanscombe przez chwilę milczał, w końcu zapytał bezbarwnym głosem:

— Czy coś się stało, sir?

— Nie wiem — odparł zgodnie z prawdą pan Entwhistle. — Mam nadzieję, że nie, ale chciałbym się upewnić. Czy ty sam czułeś, że coś nie jest w porządku?

— Dopiero od czasu pogrzebu, sir. I nie wiem dokładnie, o co chodzi. Tego wieczoru po pogrzebie, gdy wszyscy pojechali, pani Helen i pani Maude też nie były takie jak zwykle.

— Znasz testament?

— Tak. Pani Helen mi powiedziała. Myślała, że chciałbym wiedzieć. Pozwolę sobie powiedzieć, że jest to bardzo sprawiedliwy testament.

— Tak, bardzo sprawiedliwy. Równy podział. Ale nie sądzę, że pan Abernethie po śmierci syna od razu zamierzał tak podzielić majątek. Czy teraz odpowiesz mi na pytanie?

— Chodzi o moje prywatne zdanie?

— Naturalnie.

— Pan był bardzo niezadowolony po wizycie pana George'a. Myślę, że miał nadzieję, że będzie on podobny do Mortimera. Pan George, jeśli można mi tak powiedzieć, nie spełniał jego oczekiwań. Mąż pani Laury nie był całkiem odpowiedni i syn jest do niego podobny. — Lanscombe na chwilę zamilkł. — Potem przyjechały panienki z mężami. Od razu polubił panienkę Susan. To pełna werwy i ładna kobieta, ale nie spodobał mu się jej mąż. W dzisiejszych czasach młode panienki wybierają sobie dziwnych mężów.

— A ta druga para?

— Niewiele wiem. Mili i urodziwi, myślę, że ich wizyta sprawiła panu przyjemność, ale... — tu służący zawahał się.

— Tak, Lanscombe? — zachęcił go prawnik.

— No cóż, pan nigdy za bardzo nie lubił teatru. Kiedyś mi powiedział: „Nie rozumiem tego szaleństwa. Aktorstwo pozbawia ludzi ostatnich rosządku. Nie mówiąc o moralności. Zatraca się skala wartości.” Oczywiście nie mówił wprost o...

— Nie, nie, to jasne. A po tych trzech wizytach pan Abernethie sam wybrał się w podróż. Najpierw do brata, a potem do siostry, pani Lansquenet.

— Nie wiem, sir. To znaczy wspomniał mi tylko, że najpierw jedzie do pana Timothy'ego, a potem do coś tam St. Mary.

— Zgadza się. Czy pamiętasz, co powiedział po powrocie?

Lanscombe zastanowił się.

— Nic bezpośrednio. Był zadowolony, że wrócił. Podróże i cudze domy bardo go zmęczyły — pamiętam, że to powiedział.

— Nic więcej? O bracie lub siostrze?

Lanscombe zmarszczył brwi.

— Pan miał zwyczaj... mrużyć... to znaczy mówić raczej do siebie niż do mnie. Znał mnie tak dobrze, że prawie mnie nie zauważał.

— Znał cię i ufał.

— Nie pamiętam dobrze, co powiedział. Coś takiego, że nie wie, co zrobił z pieniędzmi... to było chyba o panu Timothy. A potem, że kobiety mogą być głupie w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach, a w setnym okazać się mądre. Aha, i jeszcze: „Możesz powiedzieć, co myślisz, tylko komuś z własnego pokolenia. Oni nie uważają, że masz halucynacje.” A potem powiedział, ale nie pamiętam w jakim kontekście: „Nie powinno zastawiać się pułapek na ludzi, ale naprawdę nie wiem, co innego mógłbym zrobić”. Myślę, że wtedy myślał o ogrodniku... kradziono nam brzoskwinie.

Pan Entwhistle nie był przekonany, że mówiąc te słowa Richard Abernethie miał na myśli ogrodnika. Zadawszy Lanscombe'owi jeszcze kilka pytań, prawnik zwolnił kamerdynera i zaczął podsumowywać zdobytą wiedzę. Właściwie nie dowiedział się niczego nowego. Jednak kilka punktów dawało do myślenia. To nie o szwagierce myślał,

gdy mówił o kobietach, które są głupie w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach, a mądre w setnym. Myślał o Corze. I jej właśnie zwierzył się ze swych „halucynacji”. I wspomniał o pułapce. Na kogo?

III

Pan Entwhistle głęboko się zastanawiał nad tym, ile powinien powiedzieć Helen. W końcu zdecydował się wtajemniczyć ją we wszystko.

Najpierw podziękował za przejrzenie rzeczy Richarda i załatwienie innych spraw. Dom został już wystawiony na sprzedaż i kilku klientów chciało go obejrzeć.

— Osoby prywatne?

— Raczej nie. YWCA i klub młodzieżowy. Aha, i Trust Jeffersona. Szuka miejsca na kolekcję.

— To przykre, że nikt nie będzie tu mieszkał, ale oczywiście w dzisiejszych warunkach ten dom nie jest do tego odpowiedni.

— Chciałbym zapytać, czy mogłabyś zostać tutaj, dopóki nie zostanie sprzedany. A może masz inne plany?

— Nie, całkiem mi to pasuje. I tak nie wybierani się na Cypr przed majem, a wolę być tu niż w Londynie, jak zaplanowałam. Kocham ten dom. Leo też go kochał i byliśmy tutaj bardzo szczęśliwi.

— Jest jeszcze jeden powód, dla którego chciałbym prosić, byś tu została. Mój przyjaciel, nazywa się Herkules Poirot...

— Herkules Poirot? — spytała gwałtownie. — Czy myślisz...

— Znasz go?

— Tak. Moi przyjaciele... ale myślałam, że on dawno nie żyje.

— Żyje, choć nie jest już młody.

— Trudno, żeby jeszcze był młody.

Helen Abernethie pobladła. Z wysiłkiem zapytała:

— Czy myślisz... że Cora miała rację? Że Richard został... zamordowany?

Pan Entwhistle zrzucił z siebie ciężar milczenia. Gdy skończył, Helen rzekła:

— Powinniśmy uważać to za czystą fantazję... ale nie możemy. Maude i ja, w ten wieczór po pogrzebie... nie mogłyśmy przestać o tym myśleć. Powtarzałyśmy sobie w myśli, że Cora jest niemądra, a przecież byłyśmy niespokojne. A potem... Corę zabito. Powiedziałam sobie, że to zbieg okoliczności... to oczywiście możliwe, gdybyśmy tylko mogli być pewni! To takie trudne.

— Tak, bardzo trudne. Ale Poirot jest człowiekiem niezwykle zdolnym, czasami jego pomysły są niemal genialne. Dobrze wie, czego pragniemy: zapewnienia, że ta cała sprawa jest czysta.

— A jeśli nie jest?

— Dlaczego tak mówisz? — spytał ostro prawnik.

— Nie wiem. Jestem niespokojna... Nie tylko chodzi o to, co powiedziała Cora, jeszcze o coś innego. Pamiętam, że kiedyś poczułam, że coś jest nie tak.

— To znaczy?

— No właśnie. Nie wiem.

— Czy chodziło o kogoś ze zgromadzonych w pokoju?

— Tak, na pewno. Ale nie wiem o kogo ani o co. To głupie...

— Wcale nie, raczej bardzo interesujące. Nie jesteś głupia, Helen. Jeśli coś zauważyłaś, to znaczy, że było to ważne.

— Ale nie pamiętam, co. Im więcej myślę...

— Nie myśl. Tak nic sobie nie przypomnisz. Wcześniej czy później samo ci się przypomni. A kiedy będziesz wiedziała, od razu mi powiedz.

— Tak zrobię.

Rozdział dziewiąty

Panna Gilchrist wcisnęła na głowę czarny kapelusz i schowała kosmyk siwych włosów. Nie minęło jeszcze dwadzieścia po jedenastej, a publiczne przesłuchanie było przewidziane na dwunastą. Pomyślała, że jej szary płaszcz i spódnica wyglądają bardzo porządnie, poza tym włożyła czarną bluzkę kupioną na tę okazję. Żałowała, że nie będzie cała ubrana na czarno, ale nie stać jej było na to. Rozejrzała się po małej, czystej sypialni. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające przystań w Brixham, bród w Cockington, grotty Anstey i Kyance, przystań w Polflexan i zatokę Babbacombe. Na każdym obrazie widniał zamaszty podpis Cory Lansquenet. Panna Gilchrist ze szczególnym upodobaniem spojrzała na „Przystań w Polflexan”. Na komodzie stała wyblakła fotografia herbaciarni „Pod Wierzbą”. Pani Gilchrist popatrzyła na nią czule i westchnęła.

Marzenia przerwał jej dzwonek u drzwi.

— O Boże — mruknęła panna Gilchrist. — Ciekawa jestem, kto to.

Akurat schodziła na dół po skrzypiących schodach, gdy rozległ się drugi dzwonek i po chwili energiczne stukanie.

Panna Gilchrist poczuła się zdenerwowana. Zwolniła kroku i niechętnie podchodząc do drzwi powtarzała sobie, że jest niemądra.

Przed drzwiami stała młoda, ubrana w elegancką czerń kobieta. W ręce trzymała walizkę. Widząc przerażone spojrzenie panny Gilchrist, powiedziała szybko:

— Panna Gilchrist? Jestem bratanicą pani Lansquenet. Nazywam się Susan Banks.

— Och tak, oczywiście. Nie wiedziałam, że to pani. Proszę wejść. Uwaga na wieszak... trochę wystaje. Tedy, proszę. Nie wiedziałam, że przyjeżdża pani na przesłuchanie. Inaczej przygotowałabym coś dla pani... kawę...

— Nic nie chcę — rzekła szybko Susan. — Przepraszam, jeśli panią przestraszyłam.

— Rzeczywiście trochę mnie pani przestraszyła. Jestem niemądra. Zazwyczaj nie reaguję nerwowo. Powiedziałam prawnikowi, że nie będę bała się zostać tutaj sama i właściwie się nie boję. Tylko... być może to sprawa przesłuchania... i za dużo myślę o pew-

nych sprawach. Całe rano byłam nerwowa. Pół godziny temu też zadzwonił dzwonek i nie mogłam się zmusić, by otworzyć drzwi... przecież to nieprawdopodobne, żeby morderca wrócił, zresztą po co? Okazało się, że była to zakonnica, zbierała pieniądze na sierociniec. Dałam jej dwa szylingi, mimo że nie jestem katoliczką i nie lubię zakonników ani zakonnice, choć te tutaj akurat robią dużo dobrego... Ale proszę usiąść, pani...

— Banks.

— Oczywiście, pani Banks. Czy przyjechała pani pociągiem?

— Nie, samochodem. Uliczka jest taka wąska, że zaparkowałam dopiero koło kamieniołomu.

— To prawda, że jest wąsko, ale prawie nic tędy nie jeździ.

Mówiąc te słowa panna Gilchrist wyraźnie się wzdrygnęła.

Susan Banks rozglądała się po pokoju.

— Biedna ciotka Cora — rzekła. — Wie pani, że wszystko mi zostawiła.

— Tak, mówił mi pan Entwistle. Myślę, że będzie pani zadowolona z mebli. Słyszałam, że niedawno wyszła pani za mąż, a umeblowanie mieszkania to bardzo kosztowna sprawa. Niektóre rzeczy pani Lansquenet miała bardzo ładne.

Susan nie zgadzała się z tą oceną. Cora nie znała się na starociach i zawartość pokoju stanowiła mieszaninę stylu „współczesnego” i „artystycznego”.

— Nie potrzebuję mebli — powiedziała Susan. — Mam własne. To trzeba będzie sprzedać. Chyba że... czy jest coś, co chciałaby pani wziąć? Z przyjemnością... — Susan urwała, trochę zawstydzona propozycją.

Panna Gilchrist rozpromieniła się.

— Och, jak to miło z pani strony! Tak się cieszę. Właściwie też mam swoje rzeczy. Schowałam je na wypadek, gdybym znów ich potrzebowała. Mam też obrazy ojca. Kiedyś miałam własną małą herbaciarnię, ale przyszła wojna... i wszystko się skończyło. Nie sprzedawałam jednak moich rzeczy, ponieważ miałam nadzieję, że pewnego dnia znów będę miała swój dom. Schowałam więc najlepsze rzeczy i obrazy ojca w magazynie. Ale jeśli pani nie ma nic przeciwko temu bardzo podoba mi się ten malowany stolik. Jest taki ładny i zawsze piłyśmy przy nim herbatę.

Susan aż wzdrygnęła się na widok małego zielonego stolika z wymalowanymi czerwonymi kwiatami powojnika i szybko zapewniła pannę Gilchrist, że z chęcią go jej odda.

— Dziękuję, pani Banks. Czuję się taka chciwa. Dostałam te piękne obrazy i broszkę z ametystem. Zastanawiam się, czy nie powinnam jej pani oddać.

— Nie, doprawdy nie potrzeba.

— Zapewne zechce pani przejrzeć jej rzeczy? Może po przesłuchaniu?

— Chciałabym zostać tu kilka dni, wszystko posegregować i zrobić porządek.

— Chce pani tu spać?

— Tak. Czy to niemożliwe?

— Ach, naturalnie, że tak. Założę świeżą pościel na moje łóżko, a sama prześpię się na kanapie w tym pokoju.

— Jest jeszcze pokój ciotki Cory. Mogłabym tam spać.

— Naprawdę, pani chce tam spać?

— Mimo że popełniono tam morderstwo? O to pani chodzi? Nie jestem taka delikatna, panno Gilchrist. On został już... jest już w porządku?

Panna Gilchrist dobrze zrozumiała pytanie.

— Naturalnie, pani Banks. Koce poszły do czyszczenia, a pani Panter i ja wyszorowałyśmy dokładnie cały pokój. Jest mnóstwo zapasowych koców, sama pani może zobaczyć.

I panna Gilchrist zaprowadziła Susan na górę.

Pokój, w którym umarła Cora Lansquenet, był czysty i świeży i nie sprawiał wcale ponurego wrażenia. Podobnie jak w salonie, na umeblowanie składały się rzeczy nowe, w stylu, który podkreślał ich użyteczność, i ręcznie malowane pseudoartystyczne starocię. Nad kominkiem wisiał obraz olejny przedstawiający hożą dziewczynę wchodzącą do kąpieli.

Na widok tego „arcydzieła” Susan przeszedł dreszcz. Panna Gilchrist wyjaśniła:

— To dzieło męża pani Lansquenet. Na dole w jadalni jest więcej jego prac.

— Okropne.

— No cóż, ja sama też nie przepadam za tym stylem, ale pani Lansquenet była bardzo dumna ze swego męża i powtarzała, że nie został doceniony.

— A gdzie są obrazy ciotki Cory?

— W moim pokoju. Chciałaby pani je zobaczyć?

Panna Gilchrist z dumą pokazała swoje skarby. Susan zauważyła, że ciotka Cora zapewne lubiła nadmorskie miejscowości.

— Ma pani rację — przyznała starsza kobieta. — Widzi pani, przez wiele lat mieszkała z mężem w małej rybackiej wiosce w Bretanii. Łodzie są zawsze bardzo malownicze, prawda?

— Oczywiście — mruknęła Susan. Z obrazów Cory można by wykonać serię pocztówek. Charakteryzowały się wiernością szczegółom i żywymi kolorami. Odnosiło się wrażenie, że zostały namalowane z pocztówek.

Kiedy Susan odważyła się wyrazić tę opinię, panna Gilchrist oburzyła się. Pani Lansquenet zawsze malowała z natury.

— Pani Lansquenet była prawdziwą artystką — powiedziała z naganą na zakończenie i rzuciła spojrzenie na zegarek.

— Czy nie powinniśmy już wyjść na przesłuchanie? — podchwyciła Susan. — Czy to daleko? Pojedziemy samochodem? Panna Gilchrist zapewniła, że dojdzie im tylko pięć minut, więc wyruszyły pieszo. Po drodze spotkały pana Entwhistle’a i razem weszli do sali, w której odbywało się przesłuchanie.

W środku było dużo osób obcych. Przesłuchanie nie ujawniło żadnych sensacji. Najpierw zidentyfikowano zmarłą, następnie przedstawiono medyczne dowody na charakter ran. Nie znaleziono śladów walki. Zmarła prawdopodobnie była pod działaniem narkotyku. Śmierć nastąpiła nie później niż o wpół do piątej, najprawdopodobniej pomiędzy drugą a wpół do piątej. Panna Gilchrist zeznała, że znalazła ciało. Złożyli również swoje zeznania posterunkowy i inspektor Morton. Koroner pokrótce podsumował wyniki dotychczasowego dochodzenia i sąd wydał werdykt: „morderstwo dokonane przez osobę bądź osoby nieznaną”.

Gdy zgromadzeni wyszli z sali na dwór, rzucili się na nich fotoreporterzy z aparatami fotograficznymi. Pan Entwistle zaprowadził Susan i pannę Gilchrist do „King’s Arms”, gdzie już wcześniej zapobiegliwie zamówił obiad w małej salce za barem.

— Nie będzie to dobry obiad, niestety — usprawiedliwił się.

Ale nie było tak źle. Panna Gilchrist pochlipywała wprawdzie trochę i mamrotała, że „to wszystko było po prostu okropne”, ale gdy pan Entwistle wmusił w nią szklaniczkę sherry, odzyskała apetyt i ochoczo zabrała do duszonego mięsa. Prawnik zajął się Susan.

— Nie wiedziałem, że wybierasz się tu dzisiaj, Susan, mogliśmy przyjechać razem.

— Wiem, że powiedziałam, że nie przyjadę, ale wydawało mi się, że to świętstwo, żeby nie przyjechał nikt z rodziny. Zadzwoiłam do George’a, lecz on rzekł, że jest zajęty, Rosamund miała próbę, a wuj Timothy był oczywiście wykluczony. Więc wypadło na mnie.

— Mąż z tobą nie przyjechał?

— Greg był zajęty w aptece. — Widząc zdziwione spojrzenie panny Gilchrist, Susan wyjaśniła: — Mój mąż pracuje w aptece.

Mąż parający się handlem zupełnie nie pasował do eleganckiej Susan, ale panna Gilchrist nie dała po sobie poznać zaskoczenia. Odważnie powiedziała:

— Zupełnie jak Keats.

— Greg nie jest poetą — rzekła Susan i dodała: — Mamy wielkie plany na przyszłość. Chcemy otworzyć gabinet kosmetyczny z laboratorium, w którym będziemy opracowywać własne receptury na kosmetyki.

— To brzmi ciekawie — pochwaliła panna Gilchrist — Coś jak Elizabeth Arden, ona naprawdę jest hrabiną... a może to Helena Rubinstein? Tak czy inaczej — dodała — apteka to nie to samo co zwykły sklep... jak pasmanteria czy warzywniczy.

— Pani miała herbaciarnię, prawda?

— Tak, rzeczywiście. — Twarz panny Gilchrist rozjaśniła się na to wspomnienie. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że herbaciarnia była w takim samym stopniu „handlem” jak apteka. Prowadzenie herbaciarni stanowiło dla niej kwintesencję wytworności. Z zapalem zaczęła raczyć Susan swoimi opowieściami na ulubiony temat.

Pan Entwhistle, który już to słyszał, zamyślił się nad innymi sprawami. I to tak głęboko, że Susan dwa razy musiała się do niego zwrócić, by wyrwać go z medytacji.

— Przebacz mi — powiedział — rozmyślałem o twoim wuju, Timothy. Trochę się martwię.

— Czym? Nie wierzę, że mu coś naprawdę dolega. To hipochondryk.

— Może masz rację. Przyznam, że nie myślałem o jego zdrowiu. Raczej o żonie. Spadła ze schodów i skręciła nogę w kostce. Musi leżeć i wuj jest w strasznym stanie.

— Bo będzie musiał zająć się nią, a nie ona nim. Dobrze mu to zrobi.

— Chyba tak. Tylko pytanie, czy rzeczywiście zaopiekuje się ciotką. W domu nie ma żadnej służby.

— Dla starszych ludzi życie jest naprawdę ciężkie — rzekła Susan. — Oni mieszkają w starym georgiańskim dworze, prawda?

Pan Entwhistle skinął głową.

Wychodząc z „King’s Arms” rozejrzeli się uważnie dookoła, ale reporterzy gdzieś zniknęli.

Dwóch z nich czekało na Susan przed drzwiami domu. Zadowolili się jednak kilkoma sloganami i odeszli. Kobiety, odprowadzane przez pana Entwhistle’a, weszły do środka, a prawnik wrócił do „King’s Arms”, gdzie czekał na niego zarezerwowany pokój. Następnego dnia miał odbyć się pogrzeb.

— Mój samochód ciągle stoi koło kamieniołomu — rzekła Susan. — Zapomniałam o nim kompletnie. Będę musiała go później przyprowadzić.

— Nie za późno — powiedziała panna Gilchrist. — Niech pani nie wychodzi po zmroku.

Susan spojrzała na nią z rozbawieniem.

— Chyba nie myśli pani, że morderca ciągle się gdzieś czai?

— Nie, raczej nie — odparła z zakłopotaniem panna Gilchrist.

A właśnie że tak myśli — powiedziała do siebie Susan. — To zdumiewające.

Panna Gilchrist zniknęła w kuchni.

— Czy nie ma pani ochoty na wcześniejszą herbatę? Powiedzmy za pół godziny — zaproponowała.

Wprawdzie Susan uważała, że podawanie herbaty o wpół do trzeciej to stanowczo przesada, ale nie oponowała. Pomyślała, że panna Gilchrist potrzebuje tego dla uspokojenia nerwów, a miała powody, by się jej przypodobać, zatem się zgodziła.

W odpowiedzi z kuchni dobiegł ją brzęk naczyń. Panna Gilchrist rozpoczęła przygotowania, więc Susan przeszła do salonu. Nie minęło pięć minut, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka, a po chwili — rytmiczne stukanie.

W tej samej chwili Susan wyszła do hallu i w drzwiach kuchni ukazała się panna Gilchrist. Wycierając w fartuch umączoną rękę, starsza kobieta spytała:

— Kto to może być?

— Pewnie reporterzy — odparła Susan.

— To musi być strasznie męczące dla pani, pani Banks.

— Trudno. Otworzę.

— Właśnie robię ciasto do herbaty.

Susan podeszła do drzwi wejściowych, ale panna Gilchrist nie cofnęła się do kuchni. Dziewczyna zastanawiała się, czy tamta nie spodziewa się przypadkiem zaczajonego bandyty z siekierą.

Okazało się jednak, że na progu stoi starszy mężczyzna. Widząc Susan, uniósł kapelusz i spytał:

— Czy mam przyjemność z panią Banks?

— Tak.

— Nazywam się Guthrie, Alexander Guthrie. Byłem dobrym znajomym, właściwie przyjacielem pani Lansquet. Pani jest chyba jej bratanicą, Susan, z domu Abernethie?

— Tak, to ja.

— Czy skoro się znamy, mogę wejść?

— Oczywiście.

Pan Guthrie wytarł starannie buty, zdjął płaszcz, kapelusz położył na kufrze i podążył za Susan do salonu.

— Szkoda, że spotykamy się z takiej smutnej okazji — rzekł pan Guthrie, który z natury był raczej skłonny do radości. — Tak, bardzo smutna. Akurat bawiłem tu przejazdem i pomyślałem, że jedyne, co mogę zrobić w tej sytuacji, to pójść na przesłuchanie. I pogrzeb. Biedna Cora... biedna, niemądra Cora. Poznałem ją, pani Banks, gdy była młodą mężatką. Nieustraszona niewiasta, i tak poważnie traktowała sztukę... i swojego męża, to znaczy jego malarstwo. Właściwie to nie był takim złym mężem. Błądził, wie pani, co mam na myśli, a więc błądził, ale na szczęście Cora traktowała to jako część jego artystycznej duszy. Był artystą, więc miał prawo być niemoralny. Wcale nie jestem pewien, czy nie poszła jeszcze dalej: jest niemoralny, zatem musi być artystą. Nie miała pojęcia o sztuce, biedna Cora, choć w innych sprawach wykazywała dużo rozsądku... zadziwiająco dużo rozsądku.

— Wszyscy tak mówią — rzekła Susan. — Ja jej prawie nie znałam.

— Odsunęła się od rodziny, ponieważ nie doceniali jej drogiego Pierre'a. Nigdy nie była ładna, ale coś w sobie miała. Była dobrym kompanem. Nigdy się nie wiedziało, co powie i czy ta jej naiwność jest prawdziwa czy celowa. Nieraz się z niej śmialiśmy. Uważaliśmy, że jest jak dziecko i nigdy nie wydorosłeje. Ostatni raz, kiedy ją widziałem (po śmierci Pierre'a widywałem ją od czasu do czasu), nadal posiadała tę cechę.

Susan zaproponowała panu Guthrie'emu papierosa, ale odmówił.

— Dziękuję bardzo, moja droga. Nie palę. Zapewne zastanawia się pani, dlaczego przyszedłem? Powiem prawdę. Czułem wyrzuty sumienia. Już kilka tygodni temu przyrzekłem Corze przyjść. Zazwyczaj zjawiałem się raz w roku, a ona ostatnio zabawiała się kupowaniem obrazów na licytacji i chciała, żebym rzucił okiem na kilka z nich. Jestem krytykiem sztuki. Oczywiście, większość z jej nabytków to okropne bohomyzy, ale zawsze jest szansa trafienia na coś ciekawego. Na takich wiejskich licytacjach obrazy są niezwykle tanie i czasem same ramy warte są więcej niż cena zapłacona za obraz. Naturalnie na każdą większą licytację przyjeżdżają liczący się kupcy i mało jest prawdopodobne, że trafi się na obraz mistrza. Choć parę dni temu na takiej wiejskiej licytacji mały obrazek Cuypra poszedł za parę funtów. Bardzo ciekawa jest historia tego obrazu. Otrzymała ją stara niańka od rodziny, u której służyła długie lata. Oczywiście, właściciele nie mieli pojęcia o wartości obrazu. Niańka dała go siostrzeńcowi, któremu podobał się koń, ale obraz uważał za stary rupieć, i do tego brudny. Tak tak, zdarzają się takie rzeczy. A Cora była przekonana, że potrafi wypatrzyć arcydzieło. Bzdura! W zeszłym roku prosiła, bym przyjechał obejrzeć jej Rembrandta. Rembrandta! To nawet nie była dobra kopia! Ale kupiła całkiem niezły sztych Bartolozziego, szkoda, że zawilgocony i z plamami. Sprzedałem go za trzydzieści funtów i to jeszcze bardziej ją zachęciło. Ostatnio napisała mi coś o włoskim prymitywizmie, a ja przyrzekłem, że przyjadę.

— To chyba ten obraz — rzekła Susan wskazując ścianę.

Pan Guthrie wstał, nałożył okulary i podszedł do obrazu.

— Biedna Cora — powiedział w końcu.

— Jest tego więcej.

Pan Guthrie przesuwiał się badając powoli skarby pani Lansquenet. W końcu zdjął okulary i podzielił się swoją opinią.

— To dziwne, pani Banks, ile romantyzmu może nadać szmirze powłóczka brudu. Obawiam się, że Bartolozzi to fuks początkującego. Biedna Cora. Przynajmniej miała coś, czym się pasjonowała. Dzięki Bogu nie dożyła rozczarowania.

— Jest jeszcze trochę obrazów w jadalni. Ale to chyba tylko prace męża.

Pan Guthrie wzdrygnął się wyraźnie i zaprotestował:

— Proszę nie zmuszać mnie, bym jeszcze raz na to spojrzeł. Nic Corze nie mówiłem na ten temat, gdyż zawsze starałem się szanować jej uczucia. Była kochającą żoną. No cóż, pani Banks, nie chciałbym zabierać pani czasu.

— Proszę zostać na herbacie. Myślę, że wkrótce będzie gotowa.

— Dziękuję bardzo, to niezwykle miłe zaproszenie — rzekł pan Guthrie i szybko usiadł z powrotem.

— Pójdę zobaczyć, co z herbatą.

W kuchni panna Gilchrist akurat wyciągała ciasto z piekarnika. Taca z herbatą była już przygotowana i czajnik parował.

— Przyszedł pan Guthrie i zaprosiłam go na herbatę — rzekła Susan.

— Pan Guthrie? Ach tak, ten przyjaciel pani Lansquenet. Znany krytyk sztuki. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Mamy ciasto, dżem truskawkowy i ciasteczka. Zaparzę jeszcze herbatę, już zagrzałam czajniczek. Och, pani Banks, niech pani nie dźwiga tej tacy. Ze wszystkim sobie poradzę.

Susan jednak wzięła tacę, a panna Gilchrist — czajnik i imbryczek.

— Ależ ucztą! — wykrzyknął pan Guthrie. — Co za wspaniały dżem! Nie ma porównania z tym, co jest w sklepach.

Panna Gilchrist aż zarumieniła się z zadowolenia. I ciasto, i ciasteczka były doskonałe. Wszyscy jedli z apetytem. Panna Gilchrist była w swoim żywiole.

— Dziękuję, chyba się skuszę — rzekł pan Guthrie częstując się ostatnim ciasteczkiem, które wmusiła w niego panna Gilchrist. — Czuję się trochę winny, że tak miło spędzam czas tam, gdzie zamordowano biedną Corę.

Panna Gilchrist nieoczekiwanie zareagowała w bardzo staroświecki sposób.

— Pani Lansquenet z pewnością nie miałaby nic przeciwko temu. Nie powinien pan tak mówić.

— Może ma pani rację. Widzi pani, trudno pogodzić się z faktem, że ktoś, kogo się znało, został zamordowany.

— Zgadzam się z panem — powiedziała Susan. — To po prostu nierealne.

— Nie wierzę, że zrobił to ktoś przypadkowy. Wiem, że mogły istnieć przyczyny, dla których ktoś chciał się jej pozbyć...

— Naprawdę? Jakże? — spytała szybko Susan.

— Nie potrafiła trzymać języka za zębami. I lubiła pokazać, jaka jest... jak by to powiedzieć?... mądra? Jak dziecko, które poznało czyjaś tajemnicę. Jeśliby Cora знаła jakiś sekret, na pewno by go komuś zdradziła. Nawet jeśliby przyrzekła tajemnicę. To było silniejsze od niej.

Susan i panna Gilchrist nic nie powiedziały. Starsza kobieta wyglądała tylko na zmartwioną. Pan Guthrie ciągnął:

— Nie zaskoczyłby mnie arszenik w herbacie ani zatrute czekoladki przesłane pocztą. Ale rabunek i napaść? To nie pasuje. Może się mylę, lecz nie miała chyba nic, co warto byłoby zrabować. Nie trzymała w domu pieniędzy, prawda?

— Bardzo mało — przyznała panna Gilchrist.

Pan Guthrie westchnął i powstał.

— Od wojny szaleje bezprawie. Czasy się zmieniły — powiedział.

Podziękowawszy za poczęstunek, pożegnał się z kobietami. Panna Gilchrist odprowadziła go i pomogła mu włożyć płaszcz. Susan z okna salonu patrzyła, jak szybko drepce do furtki.

Do pokoju wróciła panna Gilchrist z małą paczuszką w ręce.

— Musiał przyjść listonosz, gdy byliśmy na przesłuchaniu. Wepchnął to przez otwór w skrzynce na listy. Paczuszka upadła w kącie za drzwiami. Ciekawa jestem... oczywiście, to pewnie jest ciasto weselne!

Uszczęśliwiona, rozdarła papier. Wewnątrz znajdowało się małe białe pudełeczko przewiązane srebrną wstążką.

— Miałam rację! — wykrzyknęła. Rzeczywiście, w środku był mały kawałek tortu z masą migdałową i białym lukrem. — Od kogo to przyszło? — Spojrzała na załączoną karteczkę. — „John i Mary”. A to kto? Dlaczego nie ma nazwiska?

— Powinno się podawać nazwiska — przyznała Susan przerywając rozmyślanie. — Czasami nie wiadomo, o kogo chodzi. Parę dni temu dostałam kartkę podpisaną „Joan”. Policzyłam wszystkie znane mi kobiety tego imienia i okazało się, że jest ich osiem. Poza tym teraz tyle rzeczy załatwia się telefonicznie, że nie zawsze zna się charakter pisma.

Panna Gilchrist liczyła znanych sobie Johnów i Mary.

— Może to córka Dorothy? Miała na imię Mary, ale nic nie słyszałam o zaręczynach, a tym bardziej o ślubie. Jest też John Banfield... już jest chyba dorosły i może się ożenić. Albo córka Enfieldów... nie, ona nazywa się Margaret. Mniejsza z tym, na pewno w końcu sobie przypomnę.

Wzięła tacę i poszła do kuchni.

Susan wstała z fotela i rzekła:

— Lepiej pójde przestawić samochód.

Rozdział dziesiąty

Susan zabrała samochód z kamieniołomów, gdzie go uprzednio zostawiła, i podjechała do wioski. We wsi była stacja, ale nie było garażów i poradzono jej zostawić samochód koło „King’s Arms”. Zaparkowała go przy dużym daimlerze, który akurat wyjeżdżał. Za kierownicą siedział szofer, a z tyłu — opatulony ciepło starszy pan z bujnymi wąsami.

Chłopak, z którym Susan rozmawiała o samochodzie, patrzył na nią z takim natężeniem, że pewnie nie słyszał połowy tego, co mówiła.

W końcu przerażonym głosem spytał:

— Pani jest bratanicą, prawda?

— Słucham?

— Jest pani bratanicą ofiary — powtórzył chłopak z ulgą.

— No tak, jestem bratanicą.

— Aha, zastanawiałem się, gdzie ja już panią widziałem.

Do diabła — pomyślała Susan i zawróciła w kierunku domu.

— Szczęśliwie pani wróciła, dzięki Bogu — powitała ją z ulgą panna Gilchrist, co Susan zdenerwowało. Po czym dodała niespokojnie: — Czy pani jada spaghetti, pomyślałam, że na wieczór...

— Może być cokolwiek. Nie jestem głodna.

— Pochwalę się pani, że potrafię zrobić bardzo smaczne spaghetti *au gratin*.

Pochwała była uzasadniona. Susan pomyślała, że panna Gilchrist doskonale gotuje. Postanowiła pomóc jej w zmywaniu, ale starsza kobieta, choć ucieszona propozycją, zapewniła ją, że właściwie nie ma nic do roboty.

Po chwili przyniosła kawę. Kawa była, niestety, słaba. Panna Gilchrist zaproponowała Susan kawałek ciasta weselnego, lecz dziewczyna odmówiła.

— To naprawdę dobre ciasto — zapewniała starsza kobieta. W końcu zdecydowała, że ciasto przysłała „córka drogiej Elle. Wiem, że była zaręczona, ale nie pamiętam jej imienia”.

Gdy panna Gilchrist nie miała już nic więcej do powiedzenia, Susan postanowiła poruszyć interesujący ją temat Teraz, po kolacji, z pewnością była odpowiednia chwila.

— Wuj Richard przyjechał tutaj przed śmiercią, prawda? — spytała.

— Tak.

— Kiedy to było?

— Zaraz... raz, dwa... prawie trzy tygodnie przed śmiercią.

— Czy wyglądał na... chorego?

— Właściwie nie. Zachowywał się bardzo energicznie. Pani Lansquet była bardzo zaskoczona widząc go. Powiedziała: „No proszę, Richard! Po tylu latach!”, a on rzekł: „Przyjechałem przekonać się osobiście, co się z tobą dzieje.” „Wszystko w porządku” — powiedziała pani Lansquet. Myślę, że była trochę urażona tym, że po tylu latach przerwy przyjechał jak gdyby nigdy nic. Pan Abernethie rzekł: „Przestańmy żyć stare urazy. Ty i ja i Timothy — tylko my zostaliśmy. A z Timothyem nie da się porozmawiać o niczym z wyjątkiem jego zdrowia.” I dodał: „Byłaś szczęśliwa z Pierre'em, więc musiałem się pomylić. No co, jesteś zadowolona?” Bardzo był miły. Przystojny mężczyzna, choć niemłody.

— Na jak długo przyjechał?

— Został tylko na obiad. Zrobiłam wołowinę z oliwkami. Na szczęście było to w dzień, kiedy przychodzi rzeźnik.

Pani Gilchrist pamiętała prawie wyłącznie to, co związane było z kuchnią.

— Jak przebiegło ich spotkanie? Bez problemów?

— Bez najmniejszych.

— Czy ciotka Cora była zdziwiona jego śmiercią? — spytała po chwili Susan.

— Tak. Umarł nagle, prawda?

— Tak, nagle. To znaczy... że była zdziwiona. Nie powiedział jej, jaki był chory.

— Ach, rozumiem, o co pani chodzi. — Po krótkim zastanowieniu panna Gilchrist rzekła: — Myślę, że ma pani rację. Mówiła, że bardzo się postarzał... że jego umysł nie jest już tak sprawny.

— A czy na pani wywarł takie samo wrażenie?

— Z wyglądu nie. Ale z nim nie rozmawiałam, zostawiłam ich samych.

Ciekawe, czy panna Gilchrist podsłuchiwała pod drzwiami, zastanawiała się Susan. Na pewno była uczciwa, nic by nie ukradła, nie oszukała w wydatkach na prowadzenie domu, nie otwierała listu. Ciekawskie osoby często przystrajają się jednak w szatę prawości. Panna Gilchrist mogła akurat mieć coś do zrobienia w ogrodzie pod oknem albo ścierała kurze w hallu... To jeszcze nie przestępstwo. W takim wypadku nie musiałyby podsłuchiwać, by słyszeć.

— Nie słyszała pani, o czym mówili?

Susan nie była zbyt taktowna. Panna Gilchrist poczerwieniała ze złości.

— Nie, pani Banks. Nie mam zwyczaju podsłuchiwać pod drzwiami.

Co znaczy, że ma taki zwyczaj, pomyślała Susan. Inaczej powiedziałaaby po prostu „nie”.

— Przepraszam panią. Nie to miałam na myśli. Czasem w takich lichych domach jak ten ściany są cienkie i słycać wszystko, co dzieje się w sąsiednim pomieszczeniu. Teraz, kiedy oboje nie żyją, chcielibyśmy wiedzieć, o czym ze sobą rozmawiali.

O domku można było powiedzieć wszystko tylko nie to, że jest lichy zbudowany. Pochodził z okresu, kiedy budowano znacznie solidniej, ale panna Gilchrist chętnie podjęła temat.

— Święta racja. To mały domek i rzeczywiście rozumiem pani pragnienie poznania, o czym mówili, ale niewiele mogę pomóc. Chyba rozmawiali o zdrowiu pana Abernthie'ego i... o jego wyobrażeniach. Nie wyglądał na to, ale musiał być naprawdę chory i, jak to się często zdarza, przypisywał swoją chorobę czynnikom... zewnętrznym. Całkiem popularny symptom. Moja ciotka...

I panna Gilchrist opisała swoją ciotkę.

Susan, podobnie jak poprzednio pan Entwhistle, nie podjęła tematu krewnej panny Gilchrist.

— Tak właśnie myśleliśmy — rzekła Susan. — Cała służba była bardzo do niego przywiązana i boli ich, że coś takiego podejrzewał.

— Och, służba jest bardzo czuła na takie rzeczy. Pamiętam, że ciotka...

— Bo chyba służbę podejrzewał — przerwała jej Susan — o otruciu?

— Nie wiem... naprawdę...

Susan zauważyła jej zmieszanie.

— Nie chodziło o służbę. To była konkretna osoba?

— Nie wiem, pani Banks. Naprawdę nie wiem...

Panna Gilchrist unikała jej wzroku i Susan pomyślała, że wie więcej, niż chce przyznać.

Możliwe, że wie bardzo dużo...

Postanawiając nie męczyć jej dłużej, młoda kobieta zmieniła temat.

— Jakie ma pani plany? — spytała.

— No cóż... Chciałam z panią o tym porozmawiać. Powiedziałam panu Entwhistle'owi, że zostanę tak długo, jak będzie potrzeba.

— Wiem. Jestem pani bardzo wdzięczna.

— I chciałam zapytać, ile to może trwać, gdyż chcę poszukać następnej pracy.

— Już niewiele jest do zrobienia. Za kilka dni skończę przegląd rzeczy i pozostanie mi czekać na licytację.

— Postanowiła pani wszystko sprzedać?

— Tak. Nie będzie chyba trudności z wynajęciem domu?

— Na pewno nie, znajdzie się wielu chętnych. Teraz jest mało domów do wynajęcia. Prawie zawsze do sprzedania.

— Mam nadzieję, że nie będzie trudności, tak jak pani mówi. — Susan zawahała się lekko, zanim zaproponowała: — Mam nadzieję, że przyjmie pani... trzymiesięczną pensję?

— Jest pani bardzo hojna, pani Banks. Naprawdę to doceniam. A czy byłaby pani skłonna... to znaczy czy mogłabym panią prosić, żeby w razie konieczności... napisała mi pani rekomendację? Że opiekowałam się pani krewną i okazałam się zadowolająca?

— Naturalnie.

— Nie wiem, czy mogę panią o to prosić... — Ręce panny Gilchrist zaczęły drżeć nerwowo i z trudem panowała nad swoim głosem. — Czy mogłaby pani... nie wspominać okoliczności ani nazwiska?

Susan obrzuciła ją zdziwionym wzrokiem.

— Nie rozumiem — rzekła.

— Bo nie pomyślała pani. To było morderstwo. Opisano je w gazetach i wszyscy o nim czytali. Ludzie mogą myśleć tak: „Dwie kobiety mieszkają razem. Jedna z nich ginie. Może zrobiła to ta druga.” Widzi pani, ja sama, gdybym szukała kogoś, dobrze bym się zastanowiła, zanim bym się zdecydowała. Nigdy nie wiadomo! Bardzo mnie to martwi, pani Banks. Leżę w nocy i myślę, że być może nigdy nie dostanę pracy... to znaczy takiej pracy. A co innego mogę robić?

Pytanie wypadło nieoczekiwanie patetycznie. Susan nagle poczuła beznadziejność położenia tej miłej kobiety, której istnienie zależało od obaw i kaprysów pracodawców. W tym, co powiedziała panna Gilchrist, było dużo racji. Nikt nie chce, jeśli nie musi, dzielić swojego życia z osobą zaplątaną, nawet nie z własnej winy, w morderstwo.

— Ale jeśli znajdą tego mężczyznę, który to zrobił... — rzekła Susan.

— Wówczas, oczywiście, nie będzie problemu. Ale czy go znajdą? Myślę, że policja nie ma najmniejszego pojęcia, kogo szukać. A jeśli go nie złapią, wówczas będę... niekoniecznie najbardziej prawdopodobną osobą, ale zawsze kimś, kto mógł to zrobić.

Susan pokiwała głową. To prawda, że panna Gilchrist nie odnosiła żadnych korzyści ze śmierci Cory Lansquet... choć kto to może wiedzieć na pewno? Tyle razy się słyszy o wzajemnej niechęci kobiet razem mieszkających... patologiczne motywy morderstwa. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że tak było w wypadku panny Gilchrist i pani Lansquet.

— Niech się pani nie martwi — rzekła Susan zdecydowanie. — Jestem pewna, że bez trudności znajdę pani pracę u kogoś z moich przyjaciół.

— Obawiam się — powiedziała panna Gilchrist odzyskując część dawnego animuszu — że nie mogłabym wykonywać żadnych ciężkich prac. Trochę gotowania i prac domowych...

Zadzwonił telefon i panna Gilchrist podskoczyła.

— Boże, kto to może być...

— Pewnie mój mąż. Powiedział, że zadzwoni dziś wieczór.

Podeszła do telefonu.

— Tak, pani Banks to ja. — Chwilę milczała, a potem jej głos zrobił się ciepły i miękki. — Dzień dobry, kochanie... to ja. Całkiem dobrze... Morderstwo dokonane przez osobę nie znaną. To co zawsze... tylko pan Entwistle... Co? Trudno mi powiedzieć, ale tak myślę... Tak jak chcieliśmy. Zgodnie z planem... sprzedam wszystko. Nic z tego nam się nie przyda... Jeszcze dzień lub dwa... Całkiem okropne... Nie denerwuj się... Greg, to niemożliwe... przecież byłeś ostrożny... Nie, nic. Naprawdę nic. Dobranoc, kochanie.

Susan odłożyła słuchawkę. Obecność panny Gilchrist trochę jej przeszkadzała. Prawdopodobnie i tak wszystko mogła słyszeć z kuchni, dokąd taktownie się wycofała. Chciała zapytać Grega o kilka spraw, ale w tej sytuacji nie bardzo się kwapiła.

Susan stała przy telefonie, marszcząc brwi. Nagle przyszło jej coś do głowy.

— Oczywiście — mruknęła — właśnie o to chodzi.

Podniosła słuchawkę i zamówiła rozmowę międzymiastową. Piętnaście minut później telefonista zmęczonym głosem poinformował:

— Nikt się nie zgłasza.

— Proszę dalej próbować — poleciła autorytatywnie Susan.

Z dala dobiegało jej brzęczenie telefonu. Nagle brzęczenie ustało i zirytowany męski głos powiedział:

— Halo?

— Wuj Timothy?

— Proszę głośniej, nic nie słyszę.

— Wuj Timothy? Tu Susan Banks.

— Susan kto?

— Banks. Z domu Abernethie. Twoja bratanica Susan.

— Ach, to ty Susan! Co się stało? Dlaczego dzwoniś tak późno?

— Jeszcze jest wcześnie.

— Nieprawda. Już byłem w łóżku.

— Musisz wcześniej chodzić spać. Jak się ma ciocia?

— Czy tylko po to dzwoniś? Ciotka ma bóle i nic nie może robić. Kompletnie nic. Jest bezradna jak niemowlę. Mamy potworne kłopoty. Ten głupiec lekarz twierdzi, że nie może nawet załatwić pielęgniarki. Chciał zabrać Maude do szpitala, ale się nie zgodziłem. Próbuje kogoś nam znaleźć. Ja nic nie mogę robić, nie osmielę się nawet próbować. Dziś ta głupia kobieta z wioski zgodziła się zostać na noc, ale cały czas mruczy o powrocie do męża. Nie wiem, co będzie dalej.

— Właśnie w tej sprawie dzwonię. Czy weźmiecie pannę Gilchrist?

— Kto to jest? Nigdy o niej nie słyszałem.

— Mieszkała z ciotką Corą. Miła i wiele potrafi.

— Umie gotować?

— Bardzo dobrze. Mogłaby też opiekować się ciotką Maude.

— Kiedy mogłaby przyjechać? Jestem sam, tylko z tymi głupimi kobietami z wioski, które przychodzą i wychodzą, kiedy chcą. Już mam kłopoty z sercem.

— Postaram się, żeby przyjechała tak szybko, jak się da. Może pojutrze?

— Dziękujemy bardzo — rzekł Timothy i dodał z pewną niechęcią: — Dobra z ciebie dziewczyna, Susan. Dziękuję bardzo.

Susan położyła słuchawkę na widelki i poszła do kuchni.

— Czy chciałaby pani pojechać do Yorkshire i zaopiekować się moją ciotką? Upadła i skręciła nogę w kostce, a wuj do niczego się nie nadaje. Za to ciotka Maude jest w porządku. Przychodzą jakieś kobiety z wioski, ale pani mogłaby gotować i opiekować się ciotką Maude.

Panna Gilchrist z podniecenia upuściła czajniczek.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — zawołała. — Pani jest taka miła! Muszę powiedzieć pani, że potrafię opiekować się chorymi, z pewnością poradzę sobie z wujem i mogę gotować im posiłki. Naprawdę dziękuję, pani Banks.

Rozdział jedenasty

I

Susan leżała w łóżku czekając na sen. To był długi dzień i czuła się zmęczona. Spodziewała się, że zaśnie od razu. Nigdy nie miała z tym trudności. A jednak mijała godzina za godziną, a ona leżała rozbudzona i nie mogła przestać myśleć.

Powiedziała, że nie ma nic przeciwko spaniu w tym pokoju, w tym łóżku. W łóżku, gdzie zamordowano Corę Abernethie...

Nie, musi przestać o tym myśleć. Zawsze szczyciła się tym, że nie jest nerwowa. Po co myśleć o wypadku sprzed prawie tygodnia? Lepiej myśleć o przyszłości swojej i Grega. Ta nieruchomość na Cardigan Street jest właśnie taka, jaką chcieli. Na dole będzie gabinet, a na górze — czarujące mieszkanie. W pokoju w głębi urządzią laboratorium dla Grega. Najlepsze rozwiązanie, jeśli chodzi o podatek dochodowy. Greg uspokoi się i poczuje się lepiej. Nie powtórzą się już te niepokojące napady, kiedy patrzył na nią i jej nie poznawał. Kilka razy naprawdę się wystraszyła. Stary pan Cole sugerował... a właściwie groził: „jeśli zdarzy się to jeszcze raz...” I mogło zdarzyć się jeszcze raz, na pewno by się zdarzyło. Gdyby wuj Richard nie umarł...

Wuj Richard... Dlaczego tak do tego podchodzi? Nie miał po co żyć. Był stary, chory i zmęczony. Jego syn już nie żył. Śmierć była dla niego wybawieniem. Umarł tak spokojnie we śnie. Cicho... we śnie... Gdyby tylko mogła zasnąć. Nie ma sensu leżeć bezsenne godziną po godzinie... słuchać skrzypienia mebli, szumu drzew w ogrodzie i niepokojącego pohukiwania... chyba sowy. Wieś jest trochę złowieszcza. Zupełnie inna niż duże, gwarne miasto. W mieście człowiek jest bezpieczny, zawsze otoczony ludźmi, nigdy sam. Podczas gdy tu...

W domach, gdzie popełniono morderstwo, czasem straszy. Być może i ten dom będzie nawiedzony? Będzie w nim pokazywał się duch Cory Lansquet... ciotki Cory. To dziwne, odkąd tu przyjechała, ma uczucie, jakby ciotka Cora była blisko niej, w zasięgu ręki. To tylko nerwy i wyobraźnia. Cora Lansquet nie żyje, jutro zostanie pochowana. W domu nie ma nikogo oprócz Susan i panny Gilchrist. Dlaczego więc wydaje jej się, że ktoś jest w tym pokoju, całkiem blisko niej?

Leżała na tym łóżku, kiedy zadano jej cios siekierą... Spała ufnie... nic nie wiedząc, póki nie poczuła ciosu. A teraz nie pozwoli zasnąć Susan...

Znowu zaskrzypiał jakiś mebel... może to ktoś się skrada? Susan włączyła światło. Nic nie ma. To tylko nerwy. Trzeba się odprężyć... zamknąć oczy...

To na pewno był jęk... Ktoś jęczy z bólu... ktoś umiera...

— Nie mogę dać ponosić się wyobraźni — szepnęła Susan do siebie.

Śmierć to koniec. Kończy się życie człowieka. Nie ma możliwości powrotu. Może na nowo przeżywa scenę z przeszłości?... wspomina jęki umierającej kobiety?

Znowu, tym razem głośniejsze... ktoś jęczy z bólu...

To dzieje się naprawdę! Jeszcze raz Susan zapaliła światło, usiadła w łóżku i zaczęła słuchać. Jęki dobiegały zza ściany.

Susan wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok i podeszła do drzwi pokoju panny Gilchrist. Zapukała i weszła. W sypialni panny Gilchrist paliło się światło. Kobieta siedziała na łóżku. Wyglądała okropnie. Jej twarz była wykrzywiona bólem.

— Co się stało, panno Gilchrist? Jest pani chora?

— Tak. Nie wiem, co... — Spróbowała wyjść z łóżka, ale schwycił ją atak wymiotów i opadła bezsilnie na poduszki.

— Proszę... zadzwonić po doktora — wymamrotała. — Musiałam coś zjeść...

— Dam pani trochę węgla. Po lekarza zadzwonię rano, jeśli się pani nie polepszy.

Panna Gilchrist pokręciła głową.

— Nie, chcę lekarza zaraz. Czuję się okropnie.

— Pamięta pani jego numer czy mam sprawdzić w książce?

Panna Gilchrist podała numer doktora i schwycił ją następny atak wymiotów.

Telefon odebrał jakiś mężczyzna.

— Kto? Gilchrist? — dopytywał się sennym głosem. — Dobrze, znam adres. Zaraz przyjadę.

I rzeczywiście dziesięć minut później Susan usłyszała, jak zajechał jego samochód i otworzyła mu drzwi.

Prowadząc go na górę wyjaśniła, co się stało.

— Myślę, że musiała zjeść coś szkodliwego. Wygląda bardzo źle.

Lekarz sprawiał wrażenie, że postanowił trzymać nerwy na wodzy, nawet gdyby wezwanie okazało się zupełnie niepotrzebne (a tak właśnie przypuszczał). Jednak jego zachowanie zmieniło się, gdy tylko zbadał jęczącą kobietę. Wydał Susan kilka suchych poleceń i szybko zatelefonował. Po chwili dołączył do Susan czekającej w salonie.

— Zadzwoniłem po karetkę — rzekł. — Musi iść do szpitala.

— To naprawdę coś poważnego?

— Tak. Wstrzyknąłem jej morfinę, by ból zelżał. Wygląda na to... — urwał. — Co ona jadła?

— Miałyśmy makaron *au gratin* na kolację i pudding kremowy. Potem kawę.

— Obie panie jadły to samo?

— Tak.

— I pani czuje się dobrze? Nie ma bólów?

— Nie.

— Czy ona nic więcej nie jadła? Rybek z puszki albo kiełbasek?

— Nie. Obiad jadłyśmy w „King’s Arms” po przesłuchaniu.

— Tak, oczywiście. Pani jest bratanicą pani Lansquenet?

— Tak.

— To okropna sprawa. Mam nadzieję, że złapią człowieka, który to zrobił.

— Też mam taką nadzieję.

Przyjechało pogotowie i zabrali pannę Gilchrist. Lekarz pojechał razem z nią. Powiedział Susan, że rano do niej zadzwoni. Kiedy pojechali, Susan poszła do łóżka.

Tym razem zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

II

Na pogrzeb przyszło wielu ciekawskich. Stawiła się większość mieszkańców wioski. Susan i pan Entwhistle byli jedynymi żałobnikami, ale pozostali członkowie rodziny przysłali wieńce. Prawnik zapytał, gdzie jest panna Gilchrist, więc Susan wyjaśniła mu szepsem, co się stało. Pan Entwhistle zdziwił się.

— To dosyć dziwne — powiedział.

— Rano czuła się lepiej. Zadzwonili do mnie ze szpitala. Czasem ludzie mają ataki tego typu. Coś z woreczkiem żółciowym. Jedni znoszą to lepiej, inni gorzej.

Pan Entwhistle nie rozmawiał więcej na ten temat. Od razu po pogrzebie udał się do Londynu.

Susan wróciła do domu. Znalazła jakieś jajka i zrobiła omlet. Następnie poszła do pokoju Cory przejrzeć rzeczy.

Przybycie lekarza przerwało jej pracę.

Doktor wyglądał na zmartwionego. Na pytanie Susan odpowiedział, że chora czuje się o wiele lepiej.

— Za parę dni wyjdzie. Ma szczęście, że szybko przyjechałem. Inaczej... mogło być różnie.

Susan popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Naprawdę było aż tak źle?

— Pani Banks, proszę jeszcze raz mi powiedzieć, co wczoraj jadła i piła panna Gilchrist. Wszystko.

Susan zastanowiła się i dokładnie wszystko wyliczyła. Lekarz potrząsnął głową niezadowolony.

— Musiała zjeść coś, czego pani nie tknęła.

— Nie sądzę... Ciasto, ciastka, dżem, herbata... i kolacja. Nic więcej nie pamiętam. Doktor pocierając nos chodził po pokoju.

— Czy to na pewno jest zatrucie pokarmowe?

Lekarz rzucił jej ostre spojrzenie. Podjął decyzję.

— To był arszenik — wyjaśnił.

— Arszenik? To znaczy, że ktoś podał jej arszenik?

— Na to wygląda.

— A sama nie mogła tego zażyć? Świadomie?

— Samobójstwo? Mówi, że nie, a powinna przecież wiedzieć. Ponadto jeśli chciała popełnić samobójstwo, nie wybierałaby arszeniku. W domu są pigułki na sen. Mogła wziąć śmiertelną dawkę.

— Czy arszenik nie mógł dostać się do jedzenia przypadkiem?

— Właśnie się zastanawiam. Nie jest to prawdopodobne, ale nigdy nic nie wiadomo. Jeśli jednak jadły panie to samo...

— To wydaje się niemożliwe — przytaknęła Susan. Nagle gwałtownie wciągnęła powietrze i wykrzyknęła: — Oczywiście, ciasto weselne!

— Ciasto weselne? O co chodzi?

Susan wyjaśniła. Lekarz słuchał uważnie.

— Dziwne. I mówi pani, że nie była pewna, kto je przysłał? Czy coś zostało? A może znajdzie się pudełko, w którym przyszło?

— Nie wiem. Poszukam.

Razem zaczęli szukać i w końcu w kredensie kuchennym znaleźli białe kartonowe pudełko, w którym poniewierało się kilka okruchów. Lekarz zapakował je ostrożnie.

— Wezmę je — powiedział. — Czy wie pani, gdzie może być papier, w który było owinięte?

Niestety, papieru nie znaleźli. Susan przypuszczała, że spłonął w piecu.

— Pani jeszcze nie wyjeżdża? — spytał doktor.

Ton jego głosu był wesoły, ale Susan poczuła się trochę niepewnie.

— Nie, muszę najpierw przejrzeć rzeczy ciotki. Zostanę tu kilka dni.

— Dobrze. Zapewne policja zechce zadać pani kilka pytań. Nie wie pani, kto mógł źle życzyć pannie Gilchrist?

Susan potrząsnęła głową.

— Nic o niej nie wiem. Tylko tyle, że przez kilka lat mieszkała z moją ciotką.

— No tak. Zawsze sprawiała wrażenie miłej, skromnej osoby, całkiem zwyczajnej. Nie kogoś, kto mógłby mieć wrogów. Hm, ciasto weselne przysłane pocztą. Może zazdrosna kobieta? Ale kto mógł być zazdrosny o pannę Gilchrist? Nie bardzo pasuje.

— Ma pan rację.

— Cóż, muszę jechać. Nie wiem, co się stało z tą cichą, spokojną miejscowością. Najpierw brutalne morderstwo, a teraz próba otrucia. Dziwne, jedno po drugim.

Doktor poszedł do samochodu. Susan nagle poczuła, że w domu jest duszno i wracając na górę do przerwanej zajęcia zostawiła drzwi otwarte.

Cora Lansquet nie była kobietą porządną. W szufladach trzymała najrozmaitsze rzeczy: w jednej były kosmetyki, listy, chusteczki i pędzle, w innej — stare listy, rachunki, i bielizna, w jeszcze innej — wełniane swetry i tekturowe pudełko z dwiema fałszywymi grzywkami. Była też szafka, w której leżały wymieszane stare fotografie i szkicowniki. Susan przyglądała się jakiemś grupowemu zdjęciu wykonanemu wiele lat temu we Francji. Cora, wysoka, młodsza i szczuplejsza, przytulała się do ramienia smukłego mężczyzny z brodą, ubranego w coś, co było chyba aksamitnym płaszczem. Najpewniej był to Pierre Lansquet.

Zdjęcia zainteresowały Susan, ale najpierw zebrała wszystkie papiery, odłożyła je na osobną kupkę i zaczęła dokładnie je przeglądać. Po przebrnięciu przez około jedną czwartą sterty, Susan natknęła się na list. Przeczytała go dwa razy i ciągle jeszcze wpatrywała się w kartkę, kiedy nagle wystraszył ją czyjś głos za plecami.

— A co tu znalazłaś, Susan? Co się stało?

Krzyknęła przerażona i poczerwieniała z gniewu. Okrzyk wyrwał się jej zupełnie niepotrzebnie i teraz się go zawstydzila.

— George? Jak mnie przestraszyłeś!

Kuzyn uśmiechnął się leniwie.

— Tak mi się wydawało.

— Skąd się tu wziąłeś?

— Drzwi na dole były otwarte, więc wszedłem. Nie było nikogo na parterze, to wdrapałem się na górę. Jeśli pytasz, skąd się wziąłem w tej wiosce, to przyjechałem na pogrzeb.

— Nie widziałam cię.

— To ten stary samochód. Przewód paliwowy się zatkał, zabrało mi to trochę czasu, a w końcu odetkał się sam z siebie. Już było za późno na pogrzeb, ale postanowiłem dokończyć podróż, bo wiedziałem, że tu jesteś.

Po chwili dorzucił:

— Zadzwoiłem do ciebie i Greg mi powiedział, że pojechałaś tu, aby „wziąć w posiadanie”. Pomyślałem, że ci pomogę.

— Nie jesteś potrzebny w biurze? — spytała Susan. — Możesz wziąć wolne, kiedy chcesz?

— Pogrzeb to zawsze była dobra wymówka. A ten pogrzeb jest bez wątpienia prawdziwy. Poza tym morderstwo zawsze ludzi fascynuje. A i tak w przyszłości nie będę wiele w biurze. Nie teraz, kiedy mam pieniądze. Znajdę ciekawsze rzeczy do roboty. — Uśmiechnął się. — Tak jak Greg.

Susan przyjrzała się kuzynowi. Nie widywali się często, a kiedy już się spotkali, zawsze miała trudności z rozszyfrowaniem go.

— A tak naprawdę dlaczego przyjechałeś, George? — spytała.

— Może chcę pobawić się w detektywa? Dużo zastanawiałem się nad poprzednim pogrzebem. Ciotka Cora z pewnością narobiła wtedy bigosu. Ciekaw byłem, czy zrobiła to z powodu nadmiaru energii i chęci życia, czy też naprawdę coś wiedziała. Co takiego było w tym liście, który czytałaś, gdy wszedłem?

— To list wuja Richarda do ciotki Cory napisany po jego wizycie tutaj — powiedziała wolno Susan.

Jakie czarne oczy ma George. Zawsze myślała, że ma brązowe, ale one są czarne, a czarne oczy są dziwnie nieprzeniknione. Nie zdradzają myśli.

— Było tam coś interesującego? — spytał powoli George.

— Niezupełnie...

— Mogę zobaczyć?

Przez chwilę się wahała, ale w końcu położyła list na wyciągniętej dłoni.

George przeczytał go półgłosem: „Cieszę się, że spotkaliśmy się po tylu latach... wyglądasz bardzo dobrze... miałem dobrą podróż i wróciłem bardzo szybko...”

Nagle głos George’a stał się ostrzejszy: „Proszę, nie mów nikomu o tym, co ci powiedziałem. Może to pomyłka. Twój kochający brat, Richard.”

George spojrział na Susan.

— Co to znaczy?

— To może znaczyć wiele rzeczy... może mówił o zdrowiu. Albo plotka na temat wspólnych przyjaciół.

— Masz rację, to może znaczyć wiele rzeczy. Nie jest jednoznaczne, ale daje do myślenia. Co mówił Corze? Czy ktoś wie?

— Może panna Gilchrist — rzekła Susan z namysłem. — Myślę, że podsłuchiwała.

— Ach tak, gospodyni. Gdzie ona jest?

— W szpitalu, otrucie arszenikiem.

George wpatrywał się w Susan ze zdziwieniem.

— Żartujesz?

— Nie. Ktoś przysłał jej zatrute ciasto weselne.

George usiadł na krześle i gwizdnął.

— Wygląda na to — powiedział — że wuj Richard miał rację.

III

Następnego dnia rano inspektor Morton zawitał do domu Cory. Był to mężczyzna w średnim wieku, spokojny, opanowany o przenikliwym, bystrym spojrzeniu.

— Czy pani wie, co tu się dzieje, pani Banks? — spytał. — Doktor Proctor już mówił pani o arseniku. Zbadano okruszki ciasta weselnego, które nam dostarczył.

— Czy naprawdę ktoś chciał ją otruć?

— Na to wygląda. Sama panna Gilchrist nie może nam pomóc. Powtarza, że to niemożliwe, że nikt by tego nie zrobił. Ale jednak ktoś to zrobił. Może pani rzuci trochę światła na tę sprawę?

Susan potrząsnęła głową.

— Jestem zdumiona. Czy nic nie da się wywnioskować na podstawie pieczętki pocztowej? Albo charakteru pisma?

— Nie pamięta pani, że opakowanie prawdopodobnie spalono? I nie wiadomo, czy paczka w ogóle przysłała pocztą. Andrews, kierowca samochodu pocztowego, nie pamięta, żeby ją dostarczał. Miał dużo listów i nie jest pewien, czy miał jakąś przesyłkę do domu Cory.

— Jest jakaś inna możliwość?

— Wystarczyło owinąć pudełko kawałkiem szarego papieru ze starej paczki dla panny Gilchrist i wepchnąć go do skrzynki na listy lub położyć przy drzwiach, by stworzyć wrażenie, że przyszedł pocztą.

— To całkiem niezły pomysł — dodał inspektor beznamiętnie — wysłać ciasto weselne. Samotne starsze kobiety są bardzo sentymentalne i lubią, kiedy się o nich pamięta. Czekoladki czy coś podobnego mogłoby wzbudzić podejrzenia.

— Panna Gilchrist długo się zastanawiała, kto to przysłał — rzekła wolno Susan — ale nic nie podejrzewała. Tak jak pan mówi... była bardzo zadowolona. — Susan zamilkła na moment, po czym dodała: — Czy było wystarczająco dużo trucizny, by ją zabić?

— Nie mogę powiedzieć, dopóki nie otrzymam wyników analizy ilościowej. Raczej zależy od tego, czy panna Gilchrist zjadła całe ciasto. Ona mówi, że chyba nie. Czy pani pamięta?

— Nie, nie wiem. Proponowała mi kawałek, ale odmówiłam. Ona zjadła trochę i powiedziała, że jest bardzo dobre. Nie pamiętam, czy zjadła wszystko czy nie.

— Chciałbym pójść na górę, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Banks.

— Oczywiście.

Susan i inspektor weszli na górę, do pokoju panny Gilchrist.

— Przepraszam, że jest w takim stanie — usprawiedliwiła się Susan. — Nie miałam czasu nic tu zrobić, był pogrzeb ciotki i ogromne zamieszanie, a potem przyjechał lekarz i pomyślałam, że na razie nie będę nic ruszać.

— Bardzo mądrze, pani Banks. Nie każdy by tak zrobił.

Inspektor podszedł do łóżka i ostrożnie podniósł poduszkę. Na jego twarz wypłynął uśmiech.

— No proszę — rzekł.

Na prześcieradle leżał kawałek nieco zmaltretowanego ciasta.

— To nie do pojęcia — zawołała Susan.

— Wcale nie. Może w pani pokoleniu już się tego nie robi. Dziś młode kobiety nie pragną tak gwałtownie wyjść za mąż. To dawny zwyczaj. Trzeba włożyć pod poduszkę kawałek weselnego ciasta, a przyśni się przyszły mąż.

— Ale przecież panna Gilchrist...

— Nic nie powiedziała, bo głupio jej było się przyznać, w tym wieku... Ale ja miałem wrażenie, że tak właśnie zrobiła. I gdyby nie przesady starej panny, mogłaby dziś nie żyć.

— Kto mógłby chcieć ją zabić?

Domyślne spojrzenie inspektora zmieszało Susan.

— Nie wie pani? — spytał.

— Nie, skąd mam wiedzieć.

— Wydaje się, że będziemy musieli poszukać — powiedział inspektor Morton.

Rozdział dwunasty

W pokoju siedziało dwóch starszych mężczyzn. Umebrowanie było bardzo nowoczesne, bez żadnych łuków, same kąty proste. Jedynym wyjątkiem był Herkules Poirot, którego sylwetka obfitowała w okrągłości. Miał ładnie zaokrąglony brzusek, jego głowa kształtem przypominała jajo, a wąsy były ozdobnie wygięte ku górze.

Gospodarz sączył powoli kieliszek likieru i w zamyśleniu przyglądał się panu Goby'emu.

Pan Goby był niewysoki, szczupły i zgarbiony. Nigdy nie rzucał się w oczy i sprawiał wrażenie, jakby wcale go nie było. Nie patrzył na pana Poirota, ponieważ nigdy nie patrzył na nikogo.

Uwagi, jakie teraz czynił, wydawały się skierowane do lewego rogu chromowanego obramowania kominka.

Pan Goby zasłynął umiejętnością zdobywania informacji. Znało go bardzo niewiele osób i niewiele osób go zatrudniało, ale ci, którzy to robili, zaliczali się do bardzo bogatych. Musieli mieć dużo pieniędzy, ponieważ usługi pana Goby'ego były bardzo kosztowne. Specjalizował się w szybkim zdobywaniu informacji. Na jedno jego skinienie wyruszały na poszukiwania setki cierpliwych mężczyzn i kobiet, starych i młodych, wszystkich możliwych grup społecznych.

Pan Goby właściwie już się wycofał z interesu, jednak od czasu do czasu służył pomocą jakiemuś dawnemu klientowi. Jednym z nich był Herkules Poirot.

— Zdobyłem, co mogłem — szepnął w zaufaniu pan Goby obramowaniu kominka. — Wysłałem chłopców. Zrobili, co się dało. To dobrzy chłopcy, wszyscy są dobrzy, ale nie tacy, jak dawniej bywało. Teraz takich nie ma. Nie chcą się uczyć. Po paru latach pracy myślą, że wszystko już wiedzą. A zbieranie informacji zabiera im dużo czasu. Szokująco dużo czasu.

Potrząsnął głową i przeniósł spojrzenie na gniazdko elektryczne.

— To przez rząd — powiedział — i tę całą wrzawę o szkolnictwo. Wzorują się na nich. A potem przychodzą i mówią, co myślą. Przecież nie potrafią myśleć, przynajm-

niej większość z nich. Wiedzą tylko to, co przeczytają w książkach. W naszym zawodzie to mało przydatne. Ich zadaniem nie jest myśleć, tylko przynosić odpowiedzi na pytania.

Pan Goby odchylił się wygodnie w fotelu i posłał spojrzenie kłoszowi lampy.

— Nie powinienem właściwie narzekać na rząd. Nie wiem, co byśmy bez niego zrobili. Powiem panu, że dzisiaj prawie wszędzie można wejść z notesem i ołówkiem w rękę, i jeśli jest się odpowiednio ubranym i mówi z akcentem spikerów BBC — ludzie odpowiedzą na wszystkie pytania. Nawet bardzo osobiste, jak na przykład co robią codziennie, czy o ich dzieciństwo, co mieli na obiad 23 listopada, ponieważ był to dzień, w którym sprawdzano dochody ludzi z klas średnich (lub wyższych. Zawsze podaje się o klasę wyżej, bo to im pochlebia). Jednym słowem, można zapytać absolutnie o wszystko i w dziewięciu wypadkach na dziesięć odpowiedzą, a w dziesiątym, chociaż odmówią odpowiedzi, i tak będą wierzyć, że jesteś tym, za kogo się podajesz. I że z jakiegoś niepojętego powodu rząd naprawdę chce wiedzieć, co jedli na obiad. Mówię panu, panie Poirot — ciągnął pan Goby, nadal wpatrując się w kłosz — że to najlepszy kamuflaż. Lepszy niż odczytywanie licznika czy naprawa telefonów... czy nawet zakonnice lub skauci zbierający datki. Tak, wścibskość rządu to boże błogosławieństwo dla naszego zawodu i oby tak zawsze było!

Poirot nie odzywał się. Z wiekiem pan Goby stał się bardziej gadatliwy, ale bez wątpienia nadejdzie kiedyś ta chwila, że zacznie mówić na właściwy temat.

— A więc — rzekł pan Goby wyciągając wyświechtany notesik. Polizał palec i odnalazł właściwą stronę. — Znalazłem. — Pan George Crossfield. Zajmijmy się najpierw nim. Same fakty. Nie musi pan wiedzieć, jakim sposobem do nich dotarłem. Od dawna nie chodzi prostymi ścieżkami. Głównie konie i hazard, kobiety nie bardzo. Czasem jeździ do Francji i do Monte Carlo. Dużo czasu spędza w kasynach. Zbyt chytry, by tam realizować czeki, ale posiada więcej pieniędzy niż wypadałoby z wymiany przy wyjeździe. Nie badałem tego, ponieważ nie to pana interesuje. Chodzi o to, że nie ma skrupułów przy omijaniu prawa, a będąc prawnikiem wie, jak to zrobić. Istnieje powód, by przypuszczać, że defraudował powierzone do zainwestowania fundusze. Ostatnio miał kilka bardzo ryzykownych posunięć... giełda i koniki. Brak szczęścia i umiejętności. W pracy zmartwiony, nerwowy i w złym humorze. Ale od śmierci wuja wszystko to się zmieniło. Chodzi cały słoneczny.

Jeśli chodzi o informację, którą pan chciał uzyskać. Jestem niemal pewien, że tego dnia nie był na wyścigach w Hurst Park. Prawie zawsze obstawia konie u jednego z dwóch bukmacherów. Tego dnia go nie widzieli. Możliwe, że wyjechał gdzieś z dworca Paddington. Taksówkarz, który go wioził tego dnia na dworzec, rozpoznał go na fotografii, ale nie jest pewien. Nie dałbym za to głowy. George Crossfield wygląda bardzo zwyczajnie. U tragarzy na Paddington nic się nie dowiedzieliśmy. Na pewno nie wy-

siadł w Chosley, stacji najbliższej Lytchett St. Mary. Jest to mała stacja, obcego na pewno by zauważono. Mógł wysiąść w Reading i resztę drogi przebyć autobusem. Autobusy na tej trasie jeżdżą zatłoczone, mają dużo kursów i w odległości mili od Lytchett St. Mary przebiega kilka tras. Nie wspominając o autobusach przejeżdżających przez wioskę. Na pewno jednak nie wsiadłby w żaden z nich, jeśli chciał załatwić ten interes. W każdym razie George to sprytna sztuka. Nie widziano go w Lytchett St. Mary, ale to o niczym nie świadczy. Mógł dostać się niekoniecznie przez wioskę. A propos, w Oxfordzie grał w kółku dramatycznym. Jeśli tego dnia zjawił się w domu pani Lansquenet, mógł wyglądać zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Jeszcze go nie wykreślę z notesu, dobrze? Interesuje mnie jego związek z czarnym rynkiem.

— Jak pan chce — zgodził się Herkules Poirot.

Pan Goby polizał palec i przewrócił kartkę.

— Pan Michael Shane. Uważany za dobrego aktora. O sobie ma lepsze zdanie niż inni mają o nim. Chce zostać gwiazdorem, i to szybko. Lubi pieniądze i chętnie sobie dogadza. Atrakcyjny dla kobiet. Wszystkie się w nim kochają. On też nie pozostaje obojętny, ale najważniejszy jest jednak zawsze interes. Ostatnio dużo się go widuje z Sorrel Dainton, która grała główną rolę w niedawnym przedstawieniu. On miał rolę epizodyczną, ale bardzo się w niej podobał. Mąż pani Dainton niezbyt go lubi. Jego żona nic nie wie o pani Dainton. Chyba w ogóle nie jest zbyt spostrzegawcza. Niezbyt dobra aktorka, ale miła dla oka. Szaleje za mężem. Jakiś czas temu krążyły pogłoski o kłótni, ale znowu wszystko w porządku. Od śmierci Richarda Abernethie'ego. — Pan Goby podkreślił ostatnie słowa kiwając głową w kierunku poduszki na sofie. — Pan Shane mówi, że w dniu, o który chodzi, spotkał się z panem Rosenheimem i Oscarem Lewisem w sprawie sztuki. Nie widział się z nimi. Wysłał telegram, że bardzo mu przykro, ale nie może dotrzymać słowa. Tymczasem około dwunastej wynajął samochód w firmie „Emeraldo Car”. Samochód zwrócił około szóstej wieczorem. Według licznika, ilość przejechanych kilometrów odpowiada mniej więcej odległości do miejsca, które nas interesuje. Nie widziano go w Lytchett St. Mary. Tego dnia nie zauważono obcych samochodów. Mógł go jednak zostawić poza wioską. Kilkaset jardów od domu pani Lansquenet jest nawet stary kamieniołom. W niedalekiej odległości od wsi są trzy targowe miasteczka, gdzie mógł zostawić samochód w bocznej uliczce. Czy nadal mam się nim interesować?

— Jak najbardziej.

— Teraz pani Shane. — Pan Goby potarł nos dłonią i zaczął mówić o pani Shane do rękawa. — Twierdzi, że robiła zakupy. Zakupy... — Pan Goby przeniósł wzrok na sufit. — Gdy kobiety robią zakupy, i jeśli do tego poprzedniego dnia odziedziczyły pieniądze, to nie mają umiaru. Ma dwa konta, ale na obu jest debet. Banki żądały wyrównania, lecz pani Shane nic nie wpłaciła. Na pewno wszędzie wchodziła, przymierzała ubrania, biżuterię, sprawdzała cenę... i pewnie nic nie kupiła! Łatwo jest z nią nawiązać kontakt,

to muszę przyznać. Zajęła się nią jedna z moich dziewcząt, która interesuje się teatrem, zna ludzi i potrafi zachowywać się jak oni... Zatrzymała się przy jej stoliku w restauracji i wykrzyknęła: „Kochanie, nie widziałam cię od czasu *Way Down Under*. Byłaś w tym cudowna! Czy widziałaś ostatnio Huberta?”. Hubert to producent, a pani Shane w tej sztuce nie zagrała najlepiej, ale komplement nic nie zaszkodzi. Od razu zaczęły plotkować o teatrze, moja dziewczyna rzucała odpowiednimi nazwiskami, a w końcu powiedziała: „Zdaje mi się, że widziałam cię tu i tu, tego a tego dnia”. Większość kobiet mówi: „Niemożliwe, byłam wtedy...” i tu podają miejsce. Ale nie pani Shane. Ona powiedziała: „Coś takiego”. No i co zrobić z taką kobietą? — Pan Goby potrząsnął głową z niezadowolaniem.

— Nic — odparł Herkules Poirot. — Znam ten ból. Nigdy nie zapomnę zabójstwa lorda Edgware. O mało nie poniosłem klęski, ja, Herkules Poirot. Osoby niezbyt inteligentne często popełniają genialnie proste zbrodnie i nie próbują nic komplikować. Miejmy nadzieję, że nasz morderca — jeśli w tej sprawie jest morderca — będzie osobą bardzo inteligentną, zadowoloną z własnej przebiegłości i nie oprze się pragnieniu domalowania czegoś tu i ówdzie. *Enfin* — ale niech pan mówi dalej.

Pan Goby jeszcze raz zajrzał do notesu.

— Państwo Banks. Mówili, że cały dzień byli w domu. No, jej w każdym razie nie było. Około pierwszej poszła do garażu, wsiadła w samochód i gdzieś pojechała. Wróciła około piątej. Nie wiem, ile przejechała, ponieważ co dzień używa samochodu i nikt nie sprawdza jej licznika.

Jeśli chodzi o jej męża, dokopaliśmy się do czegoś ciekawego. Po pierwsze, nie wiemy, co robił tego dnia. Nie poszedł do pracy. Zdaje się, że poprosił o kilka dni wolnych z powodu pogrzebu. A potem w ogóle porzucił pracę. To znana, dobra apteka. Nie zależy im za bardzo na panu Banksie. Dowiedziałem się, że od czasu do czasu wpada w stan dziwnego podniecenia.

A więc, jak mówię, nie wiemy, co robił w dniu śmierci pani L. Nie pojechał z żoną. Możliwe, że cały dzień siedział w domu. W tym budynku nie ma portiera i nikt nie wie, kiedy mieszkańcy są w domu, a kiedy nie. Interesująca jest przeszłość pana Banksa. Jeszcze cztery miesiące wcześniej, zanim spotkał swą żonę, był w domu dla psychicznie chorych. Nie dostał papierów. Cierpiał na tak zwane załamanie nerwowe. Podobno pomylił się sporządzając lekarstwo. Kobieta, która je zażyła, nie umarła jednak. Firma nieustannie ją przeproszała i w końcu nie został oskarżony. Pomyłka zawsze może się zdarzyć i temu, komu się to zdarzy, ludzie współczują. Jeśli nikt nie ucierpi. Nie został zwolniony z pracy, ale sam zrezygnował. Powiedział, że nadszarpnęło to jego nerwy. Potem wpadł w przygnębienie i powiedział lekarzowi, że ma obsesję winy, że to wszystko było celowe, że ta kobieta zachowywała się wobec niego niegrzecznie i arogancko, narzekała, że jej lekarstwo zostało źle zrobione. Jemu się to nie podobało i specjalnie dodał nie-

mal śmiertelną dawkę jakiegoś składnika. Powiedział: „Musiała zostać ukarana, za to, że ośmieliła się tak do mnie mówić.” Popłakał się i twierdził, że jest zbyt niegodziwy, by żyć i tym podobne. Lekarze mają na to jakieś długie określenie... kompleks winy czy coś takiego, nie wierzą, że naprawdę zrobił to celowo, tylko mówiąc to chciał sobie dodać ważności.

— *Ça se peut* — powiedział Herkules Poirot.

— Proszę? Pan Banks poszedł do sanatorium i wyszedł jako zdrowy. Potem spotkał pannę Abernethie i dostał pracę w tej skromnej, ale porządnej aptece. Powiedział im, że przez półtora roku był poza Anglią i pokazał im referencje z apteki w Eastbourne. Tam nic złego o nim nie wiedzieli, ale aptekarz powiedział, że Banks miał dziwne nastroje i dziwnie się czasem zachowywał. Opowiedział historyjkę o tym, że pewnego razu do sklepu przyszedł klient i żartem mówi: „Chciałbym, żeby dał mi pan coś na otrucie żony”. A pan Banks na to cicho i spokojnie: „Będzie to kosztować dwieście funtów”. Klient poczuł się niepewnie i zaczął się śmiać. To mógł być żart, ale nie wydaje mi się, aby Banks miał duże poczucie humoru.

— *Mon ami* — rzekł Herkules Poirot — potrafi pan zdobyć zdumiewające informacje. Głównie tajemnice zawodowe.

Pan Goby przewrócił oczyma i powiedział, że są na to sposoby.

— A teraz wieś. Państwo Abernethie'owie. Bardzo ładna posiadłość, ale trzeba w nią włożyć dużo pieniędzy. Zdaje się, że żyją doprawdy bardzo skromnie. Podatki i złe inwestycje. Pan Abernethie cieszy się złym zdrowiem, przy czym nacisk jest na „cieszy się”. Cały czas narzeka, a wszyscy biegają i go obsługują. Zjada duże posiłki i wydaje się, że jest silny fizycznie, tylko nie lubi wysiłku. Po wyjściu służby w domu nie ma nikogo i nikomu nie wolno wchodzić do pokoju pana Abernethie'ego, jeśli nie zadzwoni. W dzień po pogrzebie był w fatalnym nastroju. Przeklął panią Jones. Zjadł bardzo niewiele na śniadanie i powiedział, że nie chce obiadu. Podobno; źle spał. Powiedział, że kolacja, którą mu zostawiła, nie nadawała się do jedzenia. Od dziewiątej rano aż do następnego ranka był sam w domu.

— A pani Abernethie?

— Wyjechała z „Enderby” o tej godzinie, o której pan wspominał. Przybyła piechotą do małej stacji obsługi w Cathstone i wyjaśniła, że kilka mil stamtąd zepsuł jej się samochód. Pojechał z nią mechanik, obejrzał awarię i powiedział, że samochód trzeba holoować, że praca potrwa długo i nie może przyrzec, że tego dnia skończy. Pani Abernethie była bardzo niezadowolona, ale poszła do małej gospody, zamówiła pokój i kanapki i powiedziała, że chce zwiedzić okolicę (niedaleko zaczynają się wrzosowiska). Wróciła późno. Mój informator nie dziwił jej się. Podobno ta gospoda to paskudne miejsce.

— A godziny?

— Kanapki dostała koło jedenastej. Jeśli poszła do głównej drogi, to jest koło mili, mogłaby złapać okazję do Wallcaster i specjalny autobus pospieszny, który zatrzymuje

się w Reading West. Nie będę podawał szczegółów połączeń autobusowych. Mogłaby to zrobić, gdyby... zbrodnia została popełniona dość późnym popołudniem.

— Według lekarza najpóźniej mogło się to stać o wpół do piątej.

— Proszę uważać — rzekł pan Goby. — Nie powiedziałem, że jest to prawdopodobne. Pani Abernethie to ponoć miła kobieta, ogólnie lubiana. Kocha męża i traktuje go jak małe dziecko.

— Tak tak, to z braku dziecka.

— Jest silna, zdrowa, rąbie drewno i sama znosi całe kosze szczap. Nieźle też zna się na naprawie samochodów.

— Do tego zmierzałem. Co było z samochodem?

— Czy chce pan szczegóły?

— Boże broń! Nie znam się na mechanice.

— Coś, co trudno znaleźć. I naprawić. Ale ktoś, kto zna się na samochodach, mógł to bez trudu zrobić.

— *C'est magnifique!* — wykrzyknął pognębiony Poirot. — Fatalnie się składa. Czy nikogo nie da się wyeliminować? A pani Helen Abernethie?

— Też niezwykle miła kobieta. Zmarły pan Abernethie bardzo ją lubił. Przyjechała do „Enderby” na tydzień przed jego śmiercią.

— Po jego wizycie u siostry z Lytchett St. Mary?

— Nie, tuż przed. Od wojny znacznie obniżyły się jej dochody. Sprzedała dom w Anglii i kupiła małe mieszkanie w Londynie. Ma willę na Cyprze i spędza tam część roku. Wspomaga finansowo uczącego się siostrzeńca i, od czasu do czasu, kilku artystów.

— Życie bez skazy, jak święta Helena — podsumował Poirot zamykając oczy. — Nie mogłaby wyjechać z „Enderby” bez wiedzy służby? Błagam, niech pan to powie!

Pan Goby przeniósł przepaszające spojrzenie na wyglansowane lakierki Pirota, co dla niego było największym stopniem zbliżenia, i mruknął:

— Niestety, panie Poirot. Pani Abernethie wyjechała do Londynu po ubrania i inne rzeczy, ponieważ zgodziła się na prośbę pana Entwhistle’a zostać na miejscu, by wszystkiego dopilnować.

Rozdział trzynasty

Herkules Poirot zdziwił się, gdy wręczono mu wizytówkę inspektora Mortona z komendy hrabstwa Berkshire.

— Wprowadź go, Georges — polecił. — I przynieś... co to lubią policjanci?

— Sugerowałbym piwo, sir.

— Okropne! Takie brytyjskie. Przynieś zatem piwo.

Inspektor Morton od razu przystąpił do rzeczy.

— Przyjechałem do Londynu — rzekł — i zdobyłem pana adres, panie Poirot. Widziałem pana na przesłuchaniu w czwartek.

— Ach tak?

— Tak. Byłem zaskoczony i... zaintrygowany. Pan mnie nie pamięta, ale ja pana — bardzo dobrze. Sprawa Pangbourne'a.

— Pracował pan przy tej sprawie?

— Jako początkujący policjant. To było dawno temu, ale nigdy pana nie zapomniałem.

— I w dzień przesłuchania od razu mnie pan rozpoznał?

— To nie było trudne. — Inspektor stłumił cisnący mu się na usta uśmiezek.

— Pański wygląd jest... dosyć niezwykły.

Ocenił wzrokiem nienagannie skrojone ubranie Poirota i zakończył przegląd na elegancko podkreślonych wąsach.

— Na wsi bardzo się pan wyróżnia — rzekł.

— Całkiem możliwe — powiedział Poirot z zadowoleniem.

— Zainteresowałem się, dlaczego pan tam pojechał. Kradzież... napaść... takie przestępstwa zazwyczaj pana nie interesowały.

— Czy to była zwykła brutalna zbrodnia?

— Właśnie nad tym się zastanawiam.

— Intrygowało to pana od początku, prawda?

— Tak, panie Poirot. Ta zbrodnia ma kilka niezwykłych cech. Do tej pory pracowaliśmy rutynowo. Przesłuchaliśmy kilka osób, ale wszyscy na to popołudnie mieli alibi. To nie była, jak to pan określił, zwykła zbrodnia. Tego jesteśmy pewni. Popęłnił ją ktoś,

kto chciał, aby wyglądała na zwykłą zbrodnię. Mogła to być panna Gilchrist, ale nie znaleźliśmy żadnego motywu... nawet psychologicznego. Być może pani Lansquenet była nieco infantylna... czy jak to mówią — prosta, ale ich stosunki układały się zwyczajnie: pani i jej popychadło. Żadnej gorącej przyjaźni kobiecej. Takich panien Gilchrist są tysiące i zazwyczaj nie mordują swoich chlebobawczyń.

Po krótkim milczeniu inspektor podjął:

— Wygląda na to, że musimy szukać dalej. Przyszedłem zapytać, czy mógłby pan nam pomóc. W końcu coś tam pana przyniosło!

— Tak, rzeczywiście. Doskonały daimler. Ale nie tylko to.

— Miał pan jakieś... informacje?

— Tak bym tego nie nazwał. Nie są to dowody.

— Tylko... wskazówki?

— Tak.

— Widzi pan, panie Poirot, były dalsze wypadki.

I inspektor szczegółowo opisał historię ciasta weselnego.

Poirot wciągnął ze świstem powietrze.

— Pomysłowe... tak, pomysłowe. Mówiłem panu Entwhistle'owi, aby uważał na pannę Gilchrist. Obawiałem się zamachu na jej życie, ale nie sądziłem, że zostanie wybrana trucizna. Sądziłem, że raczej siekiera. Myślałem, że nie powinna chodzić sama mało uczęszczanymi uliczkami po zapadnięciu zmroku.

— Ale niech mi pan zdradzi, dlaczego w ogóle się pan tego spodziewał?

Poirot powoli skinął głową.

— Zdradzę panu. Pan Entwhistle nic panu nie powie, ponieważ jest prawnikiem, a prawnicy nie lubią mówić o podejrzeniach i przypuszczeniach czynionych na podstawie znajomości charakteru zmarłej osoby czy kilku nierozważnych słów, które się komuś wyrwały. Nie będzie miał jednak nic przeciwko temu, że ja panu powiem. Wprost przeciwnie, poczuje ulgę. Nie chce uchodzić za głupca czy człowieka niepoważnego, ale chciałby, żebyście znali coś, co może okazać się — powtarzam: może okazać się — faktem.

Poirot zamilkł, gdyż wszedł Georges z wysoką szklanką piwa.

— Coś na pokrzepienie, inspektorze. Ależ nalegam.

— A pan?

— Nie pijam piwa. Wolę *sirop de cassis*. Jak zauważyłem, Anglicy tego nie lubią.

Inspektor z wdzięcznością spojrzął na swoje piwo.

Poirot, sącząc powoli ciemnoczerwony płyn, rzekł:

— Wszystko zaczęło się na pogrzebie. A właściwie po pogrzebie.

Bardzo plastycznie, podkreślając słowa gestami, Poirot opowiedział to, czego dowiedział się od pana Entwhistle'a. Można by było sądzić, że Poirot był świadkiem opisywanych wydarzeń.

Inspektor Morton miał doskonały, jasny umysł. Od razu pojął najważniejsze aspekty całej sprawy.

— Pan Abernethie mógł zostać otruty?

— Niewykluczone.

— A ciało zostało spopielone i brak dowodów?

— Dokładnie.

Inspektor Morton zamyślił się.

— Ciekawe. Nie ma w tym nic dla nas. To znaczy nic, co mogłoby naprowadzić na ślad, gdybyśmy zaczęli badać sprawę śmierci pana Abernethie'ego. Byłaby to strata czasu.

— Zgadza się.

— Ale są ludzie. Ludzie, którzy tam byli, którzy słyszeli słowa Cory Lansquet. I ktoś z nich mógł obawiać się, że ona powtórzy to komuś ze szczegółami.

— I prawdopodobnie by to zrobiła. Jak pan powiedział, są ludzie. Teraz pan rozumie, dlaczego zainteresowałem się tą historią. Zawsze interesowali mnie ludzie.

— Zatem atak na pannę Gilchrist...

— Cały czas można się go było spodziewać. Richard Abernethie odwiedził siostrę. Rozmawiał z Corą. Może nawet wymienił czyjeś imię. Jediną osobą, która mogła coś podsłuchać, była panna Gilchrist. Po uciszeniu Cory morderca nadal nie był spokojny. Zastanawiał się, czy i co wie ta druga kobieta. Oczywiście, jeśli jest mądry, zostawi ją w spokoju, ale mordercy, inspektorze, rzadko są mądrzy. Na szczęście dla nas. Zastanawiają się, czują się zagrożeni, chcą być pewni. Są pełni podziwu dla własnej przebiegłości. I dlatego w końcu podkładają głowy.

Inspektor Morton uśmiechnął się lekko.

Poirot kontynuował:

— Próba uciszenia panny Gilchrist jest błędem. Teraz bowiem są dwa wypadki, które możemy badać. I charakter pisma na przesyłce z ciastem. Szkoda, że spalono opakowanie.

— Tak. Wiedzielibyśmy wtedy, czy paczka przyszła pocztą, czy nie.

— Ma pan powód, by podejrzewać, że nie przyszła pocztą?

— Tylko zeznania listonosza. Ale on nie jest pewien. Gdyby paczka przeszła przez miejscową pocztę, wtedy na pewno zwróciłaby na nią uwagę pracownica poczty. Obecnie jednak listy dostarcza ciężarówka z Market Keynes i oczywiście ten młody chłopak, który nią jeździ, ma za dużo przesyłek, żeby wszystko pamiętać. Poza tym ma jakieś kłopoty z dziewczyną i o niczym innym nie myśli. Sprawdziłem jego pamięć i okazuje się, że wcale nie można na nim polegać. Jeśli jednak to on dostarczył paczkę, dziwne, że nie zauważono jej, dopóki nie poszedł pan... jak on się zowie... Guthrie...

— Ach, pan Guthrie.

Inspektor Morton uśmiechnął się.

— Tak, panie Poirot. Sprawdzamy go. W końcu bardzo łatwo przyjść z historyjką o znajomości z panią Lansquet. Pani Banks nie mogła wiedzieć, czy rzeczywiście był przyjacielem ciotki. Mógł upuścić tę paczuszkę. Nietrudno załatwić to tak, by wyglądało, jak gdyby przyszła pocztą. Wystarczy przejechać sadzą po znaczku i wygląda jak niewyraźna pieczętka pocztowa.

Zamilkł, a po chwili dodał:

— Są też inne możliwości.

Poirot pokiwał głową.

— Pan myśli...

— George Crossfield był tam... ale dopiero następnego dnia. Miał zamiar przyjechać na pogrzeb, ale po drodze coś się stało z samochodem. Wie pan coś o nim, panie Poirot?

— Trochę. Nie tyle, ile bym chciał.

— Ach, to tak? Wielu jest zainteresowanych testamentem świętej pamięci pana Abernethie'ego. Mam nadzieję, że nie trzeba będzie chodzić za wszystkimi.

— Zdobyłem trochę informacji. Mogę je panu udostępnić. Naturalnie nie mam prawa nikogo przesłuchiwać. A nawet w moim wypadku nie byłoby to wskazane.

— Sam będę posuwał się ostrożnie. Nasz ptaszek nie powinien za wcześnie stracić głowy. Ale kiedy już ją straci, niech to zrobi porządnie.

— Bardzo słuszny sposób postępowania. Zatem pan, przyjacielu, będzie badał wszystko rutynowo, mając do dyspozycji całą maszynę sprawiedliwości. Ja zaś...

— Tak, panie Poirot?

— Ja pojedę na północ. Jak już mówiłem, interesują mnie ludzie. Tak, mały kamuflaż... i na północ.

— Zamierzam — dodał Herkules Poirot — kupić wiejski dom na schronienie dla uchodźców z innych krajów. Będę reprezentował MKDPU.

— A co to jest MKDPU?

— Międzynarodowa Komisja do Spraw Pomocy Uchodźcom. Brzmi niezłe, prawda?

Inspektor Morton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Rozdział czternasty

— Dziękuję bardzo, była pani niezwykle uprzejma — powiedział Herkules Poirot do Janet, która właśnie zaprezentowała mu się niezbyt sympatycznie.

Janet z kwaśną miną opuściła pokój. Doprawdy, ci cudzoziemcy! Te pytania, jakie zadają! I ta ich bezczelność! No i co z tego, że jest lekarzem specjalizującym się w nieoczekiwane objawiających się chorobach serca. Zapewne pan Abernethie cierpiał na jakąś chorobę serca, skoro umarł tak nagle, że nawet doktor był zaskoczony. Ale to nie znaczy, że jakiś lekarz-cudzoziemiec może tu myszkować.

Dobrze mówić pani Helen Abernethie: „Proszę odpowiedzieć na wszystkie pytania pana Pontarliera. Nie pyta z próżnej ciekawości”.

Pytania. Cały czas pytania. Czasem całe strony pytań, na które trzeba odpowiedzieć najlepiej, jak się potrafi. Co ma rząd czy kto inny do twoich prywatnych spraw? Proszę, ten spis ludności. Zadawali pytania o wiek... to już bezczelność. Zresztą tak właśnie im powiedziała. I odjęła sobie pięć lat. Dlaczego nie? Jeśli czuje się na pięćdziesiąt cztery lata, to znaczy, że ma pięćdziesiąt cztery lata!

Pan Pontarlier przynajmniej nie pytał jej o wiek. Widać miał w sobie trochę przyzwoitości. Tylko jakie lekarstwa zażywał pan Abernethie, gdzie były trzymane, czy nie mógł przypadkiem wziąć za dużej dawki, kiedy źle się czuł, i czy nie miał tendencji do zapomnienia. Jak gdyby mogła pamiętać takie rzeczy! Pan wiedział, co robi. I pytał, czy są jeszcze w domu lekarstwa, które zażywał. Oczywiście zostały wyrzucone! Choroba serca i jakieś długie słowo. Ci lekarze zawsze wymyślą coś nowego. Powiedzieli staremu Rogersowi, że ma dysk czy coś takiego w kręgosłupie. Jak gdyby zwykłe lumbago nie wystarczyło. Jego ojciec był ogrodnikiem i również miał lumbago. Ci doktorzy!

Samozwańczy lekarz westchnął i szedł na dół w poszukiwaniu Lanscombe'a. Od Janet wiele nie wy dobył, ale też wiele się nie spodziewał. Pragnął jedynie sprawdzić to, co od niej zdołał wyciągnąć, z informacjami podanymi mu przez panią Helen Abernethie, a również pochodzącymi z tego samego źródła, lecz otrzymanymi w łatwiejszy sposób. Janet bowiem uważała, że żona pana Leo ma prawo zadawać takie pytania, a ponadto sama Janet lubiła opowiadać szczegółowo o ostatnich tygodniach życia swego chlebodawcy, gdyż chorobę i śmierć uważała za stosowne tematy konwersacji.

Tak, Poirot uważał, że może polegać na informacjach podanych przez Helen. Z przyzwyczajenia nie dowierzał nikomu, dopóki nie przekonał się, że danej osobie można ufać.

W tym wypadku poszlaki były nieliczne i nieprzekonujące. Zasadzały się na fakcie, że Richardowi Abernethie przepisano witaminy w kapsułkach. Trzymano je w dużej butli, która była już prawie pusta. Każdy mógł strzykawką wprowadzić jakąś substancję i włożyć kapsułki w taki sposób, by Richard zażył je w kilka tygodni po wizycie tejże osoby. Morderca mógł też wkraść się do domu w dzień przed jego śmiercią i spreprować kapsułkę lub — co bardziej prawdopodobne — podmienić na coś innego tabletkę na sen z buteleczki stojącej przy łóżku. Mógł też całkiem po prostu dosypać czegoś do picia lub jedzenia.

Herkules Poirot przeprowadził eksperyment. Drzwi frontowe były zamknięte, ale ogrodowe zamykano dopiero wieczorem. Mniej więcej za piętnaście drugą, kiedy ogrodnicy poszli już na obiad i domownicy byli zgromadzeni w jadalni, Poirot nie zauważony wszedł na teren posiadłości, wspinał się na schody do pokoju Richarda Abernethie'ego. Wśliznął się również do spiżarni. Słyszał głosy dochodzące z kuchni znajdującej się na drugim końcu korytarza, ale nikt go nie zauważył.

Zatem można było wkraść się niespostrzeżenie. Ale czy to zrobiono? Nic na to nie wskazywało. Poirot nie szukał dowodów, chciał jedynie sprawdzić możliwości. Morderca Richarda Abernethie'ego mógł się w końcu okazać tylko hipotetyczny. Dowodów potrzebował przy morderstwie Cory Lansquenet. Pragnął najpierw poznać ludzi zebranych tamtego dnia po pogrzebie. Miał już pewien plan, ale najpierw musi porozmawiać z kamerdynerem.

Lanscombe był bardzo grzeczny, ale zachowywał rezerwę. Wprawdzie nie był tak uprzedzony jak Janet, niemniej cudzoziemca o takim wyglądzie traktował jak karę boską.

Odłożył ścierkę, którą z czułością pucował georgiański czajniczek, i wyprostował się.

— Tak, sir? — rzekł uprzejmie.

Poirot ostrożnie usiadł na stołku.

— Pani Abernethie mówiła mi, że miał pan nadzieję zamieszkać na emeryturze w domku przy furcie północnej.

— Tak jest, sir. Naturalnie teraz to niemożliwe. Gdy posiadłość zostanie sprzedana...

— Mogłoby to być możliwe — przerwał mu zgrabnie Poirot. — Są w końcu domki przeznaczone dla ogrodników. A ten i tak nie będzie wykorzystywany dla gości. Gdyby dało się stworzyć korzystny układ...

— Dziękuję za pomysł, sir. Nie sądzę jednak... większość gości będzie... obcokrajowcami, jak sądzę?

— Tak. Wśród tych, którzy uciekli z Kontynentu do Anglii, jest kilka osób starych i schorowanych. W ich własnym kraju nie ma dla nich przyszłości, ponieważ ich rodziny poginęły. Nie mogą zarabiać tutaj na życie, gdyż brak im sił. Organizacja, którą reprezentuję, zebrała fundusze na zakup domów na wsi dla tych ludzi. Ten dom bardzo mi się podoba. Sprawa jest właściwie załatwiona.

Lanscombe westchnął.

— Musi pan zrozumieć, że jest mi przykro na myśl, iż nie będzie to już dom prywatny. Wiem, że czasy się zmieniły. Nikt z rodziny nie mógłby tego utrzymać... a sędzę, że młodzi by nawet nie chcieli. Trudno o służbę, a jeśli się kogoś znajdzie, przeważnie okazuje się, że jest za droga i nie spełnia oczekiwań. Zgadza się, że czas wielkich domów już minął. — Lanscombe westchnął jeszcze raz. — Jeśli już ma tu być jakiś... zakład, cieszę się, że będzie to zakład taki, o jakim pan wspomniał. Podczas wojny nie ucierpieliśmy za bardzo dzięki naszej marynarce i lotnictwu, i dzielnym chłopcom, i położeniu na wyspie. Gdyby Hitler tu wylądował, wszyscy byśmy się zmobilizowali i dali mu nauczkę. Źle widzę i nie mógłbym strzelać, ale wziąłbym widły. Naprawdę chciałem tak zrobić, gdyby okazało się to konieczne. Szczycimy się tym, że nasz kraj zawsze przyjmował poszkodowanych.

— Dziękuję, Lanscombe — powiedział łagodnie Poirot. — Śmierć pana musiała być dla ciebie ogromnym ciosem.

— Tak było, sir. Byłem z nim od czasów jego młodości. Miałem szczęście, sir. Trudno o lepszego pana.

— Rozmawiałem z moim przyjacielem i... kolegą po fachu, doktorem Larraby. Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem pan Abernethie nie miał jakichś dodatkowych zmartwień, na przykład nieprzyjemnej rozmowy na dzień przed śmiercią? Nie pamiętasz, czy tego dnia nikt nie przyszedł?

— Nie sędzę, sir. Nikogo nie pamiętam.

— Nikt nie przyszedł o tej mniej więcej porze?

— Dzień wcześniej przyszedł na herbatę pastor. I jakieś zakonnice zbierające pieniądze. Aha, i młody mężczyzna sprzedający szczotki i proszki do czyszczenia rondli. Bardzo uparty. Nikt więcej.

Twarz Lanscombe'a przybrała zmartwiony wyraz. Poirot więcej go nie naciskał. Kamerdyner już zwierzył się prawnikowi. Z Herkulesem Poirotem nie będzie tak szczery.

Detektyw odniósł natomiast natychmiastowy sukces z Marjorie. Kucharka nie zaliczała się do starej, dobrej służby. Była doskonałą kucharką i zdobyć jej serce można było jedynie chwając jej umiejętności. Poirot odwiedził ją w kuchni i bardzo pozytywnie wyraził się o niektórych potrawach. Marjorie, widząc, że ma do czynienia ze znawcą, zaufała mu natychmiast. Poirot nie miał najmniejszych trudności z dowiedzeniem się,

co podano do stołu w wieczór poprzedzający śmierć Richarda Abernethie'ego. Prawdę mówiąc, Marjorie była skłonna patrzeć na całą sprawę z kuchennego punktu widzenia. Mówiła: „Pan Abernethie umarł tego wieczoru, kiedy zrobiłam suflet czekoladowy. Zużyłam na niego sześć jaj. Dostawca nabiału jest moim znajomym. Zdobyłam też trochę śmietany. Niech pan lepiej nie pyta, jakim sposobem. Panu Richardowi bardzo smakowało”. Resztę kolacji kucharka opisała w podobny sposób. To, co wróciło z jadalni, zostało zjedzone w kuchni. Choć Marjorie chętnie z nim rozmawiała, Poirot nie dowiedział się niczego istotnego.

Poszedł więc po płaszcz, opatulił się kilkoma szalami i tak zabezpieczony przed chłodem dołączył do pani Helen Abernethie, ścinającej na tarasie późne róże.

— Ma pan coś nowego? — spytała.

— Nic. Ale też nie spodziewałem się tego.

— No tak. Odkąd pan Entwhistle powiedział mi, że pan przyjeżdża, starałam się coś wytropić, ale nic nie znalazłam. — Przerwała na moment i zaraz dodała z nadzieją w głosie: — A może to tylko złudzenie?

— Napaść z siekierą?

— Nie myślałam o Corze.

— Ale ja o niej myślę. Dlaczego ktoś musiał ją zabić? Pan Entwhistle powiedział mi, że w chwili gdy wyskoczyła z tą *gaffe*, pani pomyślała, że coś jest nie tak. Czy to prawda?

— Tak, ale nie wiem...

Poirot nie dał się zbić z tropu.

— W jaki sposób nie tak? Coś było nieoczekiwane? Zaskakujące? Może krępujące? Albo złowieszcze?

— Och nie, nie złowieszcze. Tylko coś było nie... nie wiem. Nie pamiętam, ale to nie było ważne.

— Dlaczego pani nie pamięta? Czy dlatego, że coś innego, ważniejszego, wyparło tamto z pani pamięci?

— Tak, sądzę, że ma pan rację. Chyba ta wzmianka o morderstwie. To usunęło na bok wszystko inne.

— Nie chodziło o reakcję jakiejś konkretnej osoby na słowo „morderstwo”?

— Niewykluczone. Nie pamiętam, żebym patrzyła na kogoś w szczególności. Wszyscy gapiliśmy się na Corę.

— A może coś pani usłyszała? Coś upadło albo się zbiło?

— Nie, nie sądzę...

— Nieważne. Któregoś dnia samo się przypomni. Może okazać się nieistotne. A teraz proszę mi powiedzieć, *madame*, kto z was znał Corę najlepiej.

Helen zastanowiła się.

— Chyba Lanscombe. Pamięta ją od dziecka. Pokojówka, Janet, przyszła już po jej małżeństwie i wyjeździe.

— A oprócz Lanscombe'a?

— Chyba ja — powiedziała z namysłem Helen. — Maude prawie jej nie znała.

— A zatem skoro pani jest osobą znającą ją najlepiej, niech mi pani powie, dlaczego powiedziała to, co powiedziała?

Helen uśmiechnęła się.

— To typowe dla Cory.

— Pytam o co innego. Czy mówiła bez zastanowienia to, co jej ślina na język przyniosła, czy też dlatego, że chciała być złośliwa, zabawić się kosztem innych?

Helen zastanowiła się.

— Trudno być pewnym, prawda? Nigdy nie wiedziałam, czy Cora jest po prostu naiwna, czy też liczy na wywołanie jakiegoś efektu. O to panu chodziło, prawda?

— Tak. Pomyślałem sobie: a może pani Cora powiedziała do siebie: „Byłoby zabawnie zapytać, czy Richard nie został zamordowany, i zobaczyć potem ich miny!” To byłoby w jej stylu, prawda?

— Może — rzekła niepewnie Helen. — Jako dziecko miała takie poczucie humoru. Ale co to za różnica?

— Podkreślałoby to słuszność twierdzenia, że nie jest mądrze robić sobie żarty z morderstwa.

Helen zadrżała.

— Biedna Cora.

Poirot zmienił temat

— Pani Maude Abernethie została tu na noc w dzień pogrzebu?

— Tak.

— Czy rozmawiała z panią o tym, co powiedziała Cora?

— Tak, mówiła, że to skandaliczne i zupełnie do Cory podobne.

— Nie brała tego poważnie?

— Nie, na pewno nie.

To drugie „nie” zabrzmiało mniej pewnie. Lecz czy nie dzieje się tak zawsze, kiedy staramy się sobie coś przypomnieć?

— A pani, *madame*, czy wzięła poważnie słowa Cory?

— Tak, panie Poirot, wzięłam je poważnie — odparła Helen i spojrzała na detektywa swymi błękitnymi i niewiarygodnie młodymi oczyma.

— Dlatego, że czuła pani, że coś było nie tak?

— Może.

Poirot milczał, ale ponieważ ona nic nie mówiła, podjął na nowo:

— Przez wiele lat stosunki pani Lansquet z rodziną były raczej oziębłe?

— Tak. Nikt z nas nie lubił jej męża, ona czuła się urażona, i tak odsuwaliśmy się od siebie.

— I nagle pani szwagier pojechał do niej. Dlaczego?

— Myślę, że wiedział albo zgadł, że ma wkrótce umrzeć, i chciał się pogodzić. Ale to tylko moje przypuszczenia.

— Nic nie mówił?

— Mnie?

— Tak. Była tu pani, mieszkała z nim, tuż przed jego wizytą. Nie wspomniał pani o swoim zamiarze?

Poirotowi zdawało się, że pani Abernethie zaczęła się zachowywać z lekką rezerwą.

— Powiedział mi, że ma zamiar pojechać do brata, Timothy'ego, co zresztą zrobił. W ogóle nie wspomniał Cory. Wejdziemy do domu? Już prawie obiad.

Poszli razem, Helen z naręczem zerwanych róż. Już w drzwiach Poirot powiedział:

— Jest pani pewna, całkiem pewna, że podczas pani wizyty pan Abernethie nie powiedział o nikim z rodziny nic, co mogłoby okazać się ważne?

Helen z lekką niechęcią zauważyła:

— Mówi pan jak policjant

— Kiedyś byłem policjantem. Nie mam prawa pani wypytywać. Ale chce pani dotrzeć do prawdy... a przynajmniej tak mi powiedziano.

Helen zaprowadziła gościa do salonu.

— Richard zawiódł się na młodszym pokoleniu — rzekła. — Starsi przeważnie czują się zawiedzeni. Miał różne zarzuty, lecz nie było w tym nic, absolutnie nic, co mogłoby stanowić motyw morderstwa.

— Ach tak — powiedział Poirot. Helen sięgnęła po chińską wazę i ułożyła w niej róże, po czym rozejrzała się, gdzie mogłaby je postawić.

— Wspaniale układa pani kwiaty, *madame*. Myślę, że wszystko, do czego pani się zabierze, robi pani doskonale.

— Dziękuję. Lubię kwiaty. Sądzę, że będą dobrze wyglądały na tym zielonym stoliku z malachitu.

Na malachitowym stoliku stał akurat bukiet woskowych kwiatów przykryty szklanym kloszem. Gdy go podniosła, Poirot zdawkowo spytał:

— Czy ktoś wspominał panu Abernethie'emu, że mąż Susan pomylił się podczas sporządzania leku i niemal otruł klientkę? Och, *pardon*.

Rzucił się do przodu.

Wiktoriańska ozdóbka wymknęła się z rąk Helen. Detektyw nie zdołał jej złapać i klosz stłukł się na kawałki. Helen krzyknęła zdenerwowana.

— Jaka jestem nieuważna! Dobrze, że kwiatom nic się nie stało. Dam zrobić nowy klosz. Na razie kwiaty odstawię do dużego kredensu pod schodami.

Poirot pomógł jej umieścić uszkodzoną ozdobę na półce w ciemnym kredensie. Gdy wrócili do pokoju, rzekł:

— To moja wina. Nie powinienem pani zaskakiwać.

— O co to pan pytał? Całkiem zapomniałam.

— Nie ma sensu powtarzać pytania. Zresztą sam już go nie pamiętam.

Helen podeszła do detektywa i położyła mu rękę na ramieniu.

— Panie Poirot, czy jest ktoś, kto bez szkody zniósłby dokładne badanie swojego życia? Czy koniecznie trzeba wciągać w to ludzi, którzy nic nie mają wspólnego z... z...

— Ze śmiercią Cory Lansquet? Tak. Ponieważ trzeba zbadać wszystko. To prawda, że każdy ma coś do ukrycia. Każdy, pani zapewne też, *madame*. Niczego jednak nie należy ignorować. Dlatego właśnie pani przyjaciel, pan Entwhistle, przyszedł do mnie. Ja nie jestem z policji. Jestem dyskretny. Ale muszę wiedzieć. A ponieważ w tej sprawie nie ma dowodów, są tylko ludzie — więc muszę zajmować się ludźmi. Muszę, *madame*, spotkać wszystkich, którzy byli tu w dzień pogrzebu. Najwygodniej... i najlepiej jeśli chodzi o strategię byłoby, gdybym mógł ich spotkać tutaj.

— Obawiam się — powiedziała Helen — że byłoby to zbyt trudne.

— Nie tak bardzo. Już obmyśliłem sposób. Dom został sprzedany. Tak powie pan Entwhistle (*Entendu*, czasami takie rzeczy kończą się fiaskiem). Zaprosi członków rodziny, by wybrali, co chcą z mebli, zanim wszystko pójdzie na licytację. Na to spotkanie można wybrać jakiś weekend.

— To nie takie trudne, prawda? — dodał po chwili.

Helen spojrzała na detektywa. Jej niebieskie oczy były zimne, niemal lodowate.

— Zastawia pan na kogoś pułapkę, panie Poirot?

— Niestety! Za mało wiem. Jeszcze obserwuje.

— Można jednak — powiedział Poirot po krótkim milczeniu — zrobić sprawdzian...

— Sprawdzian? Czego?

— Sam nie wiem. W każdym razie lepiej, *madame*, żeby pani o niczym nie wiedziała.

— Żebym też mogła zostać sprawdzona?

— Pani, *madame*, została wprowadzona za kulisy. Teraz tylko jedno jest wątpliwe. Młodzi przyjadą na pewno chętnie. Mogą być jednak trudności z panią Maude Abernethie. Podobno nigdy nie wyjeżdża z domu.

Helen nagle się uśmiechnęła.

— Tu szczęście panu sprzyja. Maude wczoraj dzwoniła. Malują dom i Timothy strasznie cierpi z powodu zapachu farby. Mówi, że to źle wpływa na jego zdrowie. Myślę, że Maude chętnie z nim przyjedzie na tydzień lub dwa. Maude nadal niezbyt do-
brze się porusza. Słyszał pan, że złamała nogę w kostce?

— Nie słyszałem. To pech.

— Na szczęście jest u nich teraz gospodyni Cory, panna Gilchrist. Podobno okazała się prawdziwym skarbem.

— Jak to? — spytał nagle ostro Poirot. — Czy prosili ją, żeby do nich przyjechała? Kto to wymyślił?

— Chyba Susan. Susan Banks.

— Ach tak — powiedział Poirot dziwnym tonem. — To mała Susan wszystko wymyśliła. Lubi załatwiać różne sprawy.

— Susan sprawiła na mnie wrażenie osoby, która potrafi sobie radzić.

— Taka jest. Czy pani wie, że panna Gilchrist o mało nie zmarła z powodu ciasta weselnego naszpikowanego trucizną?

— Nie! — zawołała przerażona Helen. — Teraz sobie przypominam, że Maude mówiła, że panna Gilchrist dopiero co wyszła ze szpitala, ale nie miałam pojęcia, dlaczego tam się znalazła. Panie Poirot, dlaczego...

— Naprawdę chce pani wiedzieć?

— Zbierzmy ich wszystkich! — powiedziała gwałtownie Helen. — Odkryjmy prawdę! Nie może być więcej morderstw.

— Zatem pani pomoże?

— Tak, pomogę.

Rozdział piętnasty

I

— To linoleum naprawdę dobrze wygląda, pani Jones. Pani wie, jak się za nie zabrać. Czajniczek jest na stole kuchennym, więc niech pani sobie naleje herbaty. Przyjdę, jak tylko zaniosę drugie śniadanie panu Abernethie'emu.

Panna Gilchrist, z gustownie zastawioną tacą, weszła po schodach i zapukała do drzwi Timothy'ego. W odpowiedzi usłyszała warknięcie, które potraktowała jako zaproszenie do środka.

— Poranna kawa i sucharki, panie Abernethie. Mam nadzieję, że lepiej się pan dziś czuje. Taki piękny dzień!

Timothy mruknął coś i rzekł podejrzliwie:

— Mleko pewnie z kozuchem.

— Och nie, panie Abernethie. Zebrałam go bardzo dokładnie. Przyniosłam też małe sitko, na wypadek gdyby zdążył pojawić się drugi. Niektórzy lubią i mówią, że to sama śmietanka... i to prawda.

— Idioci! — podsumował ich Timothy. — Co to za suchary?

— Pyszne sucharki na trawienie.

— Paskudztwo! Jedyne zjadliwe sucharki to te imbirowe z orzechami.

— Przykro mi, ale w tym tygodniu ich nie było. Te też są bardzo dobre. Proszę tylko spróbować.

— Dziękuję bardzo, wiem, jak smakują. Niech pani zostawi te zasłony.

— Myślałam, że będzie panu przyjemniej, gdy wpuszczę trochę światła. Dziś jest taki ładny, słoneczny dzień.

— Chcę, żeby w pokoju panował półmrok. Strasznie boli mnie głowa. To przez tę farbę. Zatrzuwa mnie. Zawsze byłem wrażliwy na zapachy.

Panna Gilchrist wciągnęła powietrze nosem i rzekła rześko:

— Tutaj prawie się jej nie czuje. Robotnicy malują teraz drugą stronę.

— Nie jest pani tak wrażliwa jak ja. Czy naprawdę musi mi pani zabierać wszystkie książki, które czytam?

— Przepraszam, panie Abernethie. Nie wiedziałam, że wszystkie pan czyta.

— Gdzie jest moja żona? Nie widziałem jej już ponad godzinę.

— Odpoczywa.

— Proszę jej powiedzieć, żeby przyszła i odpoczywała tutaj.

— Powiem jej, ale może za kwadrans? Myślę, że zasnęła.

— Nie, chcę ją widzieć teraz. Proszę nie ruszać tego koca. Jest ułożony tak, jak lubię.

— Przepraszam. Wydawało mi się, że opada z tamtej strony.

— Lubię, jak opada. Niech pani idzie po Maude. Chcę, żeby przyszła.

Panna Gilchrist zeszła na dół i cichutko wkradła się do salonu, gdzie Maude siedziała z nogą podniesioną do góry i czytała książkę.

— Przepraszam, pani Abernethie — powiedziała panna Gilchrist. — Mąż prosił, żeby pani przyszła.

Maude z poczuciem winy odrzuciła powieść.

— O Boże — rzekła — już idę.

Sięgnęła po laskę.

Timothy wybuchnął, gdy tylko weszła do pokoju.

— Nareszcie jesteś! — wykrzyknął.

— Przepraszam, kochanie. Nie wiedziałam, że mnie potrzebujesz.

— Ta kobieta, którą zatrudniłaś, doprowadzi mnie do szaleństwa. Szczebiocze i drepce nerwowo jak obłąkana kura. Zachowuje się jak typowa stara panna.

— Tak mi przykro, że cię denerwuje. Próbuje po prostu być uprzejma.

— Nie chcę, żeby była uprzejma. Nie chcę, żeby jakaś przekłeta stara panna szczebiotowała mi nad uchem. Traktuje mnie, jakbym był dzieckiem! Przy niej można zwariować!

— Na pewno masz rację, kochanie, ale proszę cię bardzo, Timothy, nie bądź dla niej niegrzeczny. Ciągle jeszcze nie jestem sprawna. Zresztą sam powiedziałaś, że ona dobrze gotuje.

— Rzeczywiście, dobrze gotuje — przyznał niechętnie pan Abernethie. — Tak, całkiem nieźle. Byle tylko siedziała w kuchni. Nie pozwól, żeby krzątała się koło mnie.

— Dobrze, kochanie. Jak się czujesz?

— Nie najlepiej. Myślę, że powinnaś zadzwonić po Bartona, żeby mnie obejrzał. Zapach farby szkodzi mi na serce. Sama zobacz, jaki mam nieregularny puls.

Maude bez słowa sprawdziła puls mężowi.

— Timothy, czy chcesz przenieść się do hotelu na czas malowania?

— To byłaby strata pieniędzy.

— Czy to ma teraz takie znaczenie?

— Jesteś, jak wszystkie kobiety, strasznie rozrzutna. Tylko dlatego, że odziedziczyliśmy śmiesznie małą częśćkę majątku mojego brata, myślisz, że możemy bez końca przemieszkiwać u Ritza.

— Nie powiedziałam tego, kochanie.

— Muszę ci uświadomić, że prawie nie poczujemy pieniędzy Richarda. Postara się o to nasz krwio pijczy rząd. Zapamiętaj moje słowa, wszystko pochłona podatki.

Pani Abernethie ze smutkiem pokiwała głową.

— Kawa jest zimna — powiedział chory z obrzydzeniem spoglądając na kawę, której jeszcze nawet nie spróbował. — Czy od czasu do czasu nie mogę dostać naprawdę gorącej kawy?

— Wezmę ją do podgrzania — powiedziała Maude.

W kuchni panna Gilchrist popijała herbatę i rozmawiała uprzejmie, choć nieco z góry, z panią Jones.

— Staram się pomóc pani Abernethie jak mogę — mówiła. — To chodzenie po schodach jest dla niej bardzo bolesne.

— Ona całkiem po prostu go obsługuje — powiedziała pani Jones mieszając herbatę.

— Szkoda mi go. Jest takim inwalidą.

— Niezupełnie inwalidą — rzekła tajemniczo pani Jones. — Odpowiada mu leżenie i dzwonięcie na wszystkich, żeby mu przynosili to czy tamto. Może wstać i się poruszać. Kiedy jej nie było, widziałam go nawet w wiosce. Całkiem ochotczo się przechadzał. Jeśli czegoś naprawdę potrzebuje, na przykład tabaki czy tytoniu, potrafi sobie poradzić. Właśnie dlatego nie zgodziłam się zostać, kiedy ona pojechała na pogrzeb i nie mogła wrócić na czas. Poprosił, żebym została na noc, ale powiedziałam, że co innego przychodzi rano, a co innego wieczorem. Mam męża, którym muszę się zająć, kiedy przychodzi z pracy. I nie ustąpiłam. Dobrze mu to zrobiło, jak myślę, że musiał choć raz sam się sobą zająć. Może zobaczył, ile pracy kosztuje obsługiwanie go. Nie ugięłam się, choć się awanturował.

Pani Jones westchnęła i pociągnęła łyk czarnej, słodkiej herbaty. — Ach — powiedziała z zadowoleniem.

Choć w głębi duszy nie dowierzała pannie Gilchrist, pani Jones aprobowała hojność, z jaką ta szafowała herbatą i cukrem chlebobawców.

Postawiła filiżankę na stole i powiedziała:

— Wyszoruję jeszcze podłogę w kuchni i idę do domu. Ziemniaki obrane, znajdzie je pani, moja droga, przy zlewie.

Choć nieco obrażona familiarnością, z jaką odniosła się do niej pani Jones, panna Gilchrist doceniła udzieloną pomoc.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zadzwonił telefon i pośpieszyła go odebrać. Aparat znajdował się na klatce schodowej za schodami, gdzie bez przeszkód hulały przeciągi.

Maude Abernethie pojawiła się u szczytu schodów, gdy panna Gilchrist jeszcze rozmawiała.

— To pani... nie pamiętam dobrze imienia... Helen? Abernethie.

— Powiedz, że już idę.

Maude powoli zeszła ze schodów.

— Szkoda, że znowu musi pani schodzić. Czy pan Abernethie skończył drugie śniadanie? Pójdę po tacę — rzekła panna Gilchrist i udała się do pokoju Timothy'ego.

Pani Abernethie tymczasem podeszła do telefonu.

Timothy przywitał pannę Gilchrist nieprzychylnym spojrzeniem. Gdy zabierała tacę, zapytał:

— Kto dzwoni?

— Pani Helen Abernethie.

— Pewnie będą przez godzinę plotkować. Kobiety tracą poczucie czasu, kiedy rozmawiają przez telefon. Nie myślą o tym, ile to kosztuje.

Panna Gilchrist radośnie zauważyła, że płaci za to pani Helen, i Timothy mruknął:

— Niech pani odsunie zasłonę. Nie, nie tę, tę drugą. Nie chcę, żeby słońce świeciło mi w oczy. No, już lepiej. Nie muszę cały dzień siedzieć w ciemności tylko dlatego, że jestem inwalidą. I proszę poszukać w biblioteczkę zielonej... Co się stało? Gdzie znów pani pędzi?

— Ktoś dzwoni do drzwi, panie Abernethie.

— Nic nie słyszałem. W końcu na dole jest jeszcze ta kobieta, prawda? Niech ona otworzy.

— Dobrze, panie Abernethie. Jaką chciał pan książkę?

Chory zamknął oczy.

— Nie pamiętam. Wyleciało mi z głowy. Niech pani idzie.

Panna Gilchrist szybko wycofała się z pokoju. Położyła tacę na stole w spiżarni i podbiegła do drzwi, mijając panią Abernethie, która ciągle rozmawiała przez telefon.

Po chwili wróciła i szeptem oznajmiła:

— Przepraszam, że przerywam. To jakaś zakonnica. Zbiera pieniądze. Ma książkę z wpisami. Większość dała jej pół korony lub pięć szylingów.

— Przepraszam cię na chwilę, Helen — rzekła Maude i poinformowała pannę Gilchrist: — Nie daję pieniędzy katolikom. Nasz kościół ma własne instytucje dobroczynne.

Panna Gilchrist pospieszyła z powrotem.

Po kilku minutach pani Abernethie zakończyła rozmowę mówiąc:

— Porozmawiam o tym z Timothy'ym.

Odłożyła słuchawkę i weszła do głównego hallu. Panna Gilchrist stała przy drzwiach salonu z zagadkowym wyrazem twarzy. Aż podskoczyła, gdy pani Abernethie zapytała ją:

— Nic się nie stało, panno Gilchrist?

— Nie, pani Abernethie. Chyba się zamyśliłam, a tyle jest do zrobienia.

Panna Gilchrist zaczęła się krzątać, a pani Abernethie powoli weszła po schodach i zniknęła w pokoju męża.

— Dzwoniła Helen. Dom już jest sprzedany. Kupił go jakiś Instytut Uchodźców czy coś takiego.

Na chwilę zamilkła, gdyż Timothy wypowiadał się dobitnie na temat uchodźców i domu, gdzie się urodził i wychował.

— Ten kraj zszedł na psy — mówił. — Mój stary dom! Nie mogę o tym myśleć.

— Helen wie, że możesz ciężko to przeżyć — podjęła Maude. — Dlatego sugerowała, że moglibyśmy przyjechać tam na parę dni, zanim stracimy go na zawsze. Bardzo się martwiła, czy opary farby nie zaszkodzą twojemu zdrowiu. Pomyślała, że może wolałbyś zatrzymać się w „Enderby” niż w hotelu. Służba jeszcze tam jest, więc nie byłoby żadnych niedogodności.

Timothy już otworzył usta, by zaprotestować, ale zamknął je. Jego oczy przybrały przebiegły wyraz. Skinął głową z aprobatą.

— Helen jest troskliwa, bardzo troskliwa — powiedział. — Nie wiem, będę to musiał przemyśleć... Ta farba mnie zabije... zdaje się, że w farbie jest arszenik. Coś takiego słyszałem. Z drugiej strony wysiłek związany z przeprowadzką może okazać się zbyt wielki. Nie wiem, co byłoby lepsze.

— Może wolałbyś hotel — podpowiedziała Maude. — Dobre hotele są drogie, ale jeśli chodzi o twoje zdrowie...

— Szkoda, że nie rozumiesz, Maude — przerwał jej Timothy — że nie jesteśmy milionerami. Dlaczego mielibyśmy iść do hotelu, jeśli Helen zaproponowała, żebyśmy przyjechali do „Enderby”? Co prawda nie miała co sugerować. Dom nie jest jej. Nie znam się na prawie, ale sądzę, że należy jednakowo do nas wszystkich, dopóki nie zostanie sprzedany. Uchodźcy! Stary Cornelius przewróciłby się w grobie. Tak — westchnął — chciałbym go zobaczyć, zanim umrę.

Maude zręcznie rozegrała swoje karty.

— Podobno pan Entwhistle zaproponował — rzekła — żeby rodzina wybrała sobie to, co chce z umeblowania, zanim wszystko pójdzie na licytację.

Timothy gwałtownie się ożywił.

— Koniecznie musimy pojechać. Trzeba zrobić dokładną wycenę tego, co każdy sobie wybierze. Mężowie naszych dziewcząt... z tego, co słyszałem, nie wierzyłbym im za grosz. Helen jest zbyt łagodna. Jako głowa rodziny mam obowiązek być obecny.

Wstał i zaczął energicznie chodzić po pokoju.

— Tak, to dobry plan. Napisz do Helen, że się zgadzamy. Myślę przede wszystkim o tobie, kochanie. Odpoczniesz sobie. Ostatnio miałaś za dużo na głowie. Robotnicy w tym czasie skończą malować. Zostawimy tutaj tę Gillespie, żeby zajmowała się domem.

— Gilchrist — poprawiła Maude.

Timothy machnął ręką i powiedział, że nie widzi różnicy.

II

— Nie mogę — powiedziała panna Gilchrist.

Maude spojrzała na nią ze zdziwieniem. Panna Gilchrist trzęsła się na całym ciele i patrzyła prosząco w oczy Maude.

— Wiem, że to głupie, ale po prostu nie mogę. Nie mogę zostać sama w domu. Gdyby ktoś mógł przyjść na noc...

Maude potrząsnęła głową. Dobrze wiedziała, że nikt nie zgodzi się nocować poza domem.

Panna Gilchrist nie rezygnowała.

— Pomyśli pani, że jestem nerwowa i głupia — ciągnęła z desperacją. — Sama nie przypuszczałabym, że taka będę. Nigdy nie byłam nerwowa... ani strachliwa. Teraz to się zmieniło. Jestem przerażona na myśl, że mogłabym zostać sama.

— Oczywiście, powinnam była pomyśleć — rzekła Maude. — Po tym, co stało się w Lytchett St. Mary...

— To właściwie jest całkiem nielogiczne i na początku wcale tak do tego nie podchodziłam. Przecież mieszkałam sama... po tym, co się stało. To rosło we mnie stopniowo. Odkąd tu jestem, pani Abernethie, boję się, choć właściwie nie mam czego. Wstydę się do tego przyznać. Wydaje się, że cały czas spodziewam się, że coś się stanie. Nawet ta zakonnica mnie przestraszyła.

— Przeżyła pani wstrząs.

— Może... Tak mi przykro, pani pomyśli, że jestem niewdzięczna.

— Pomyślimy o innym rozwiązaniu — uspokoiła ją Maude.

Rozdział szesnasty

George Crossfield zatrzymał się niezdecydowanie i przyglądał się, jak jakaś kobieta znika w drzwiach. Skinął głową i poszedł za nią.

Drzwi należały kiedyś do sklepu. Przez okna wystawowe widać było niepokojącą pustkę w środku. Drzwi były zamknięte, więc George zastukał. Na to wyjrzał jakiś młody mężczyzna i z bezmyślnym wyrazem twarzy zaczął wpatrywać się w George'a.

— Przepraszam — powiedział George — przed chwilą weszła tu moja kuzynka.

Mężczyzna odsunął się i wpuścił gościa.

— Cześć Susan — rzekł Georges.

Susan akurat stała na skrzyni do pakowania i w ręku trzymała linijkę. Zaskoczona odwróciła głowę.

— Cześć George. Skąd się wziąłeś?

— Zobaczyłem cię z tyłu na ulicy. Byłem pewien, że to ty.

— Jaki jesteś sprytny. Sądzę, że plecy są bardzo charakterystyczne.

— Bardziej niż twarze. Dokleisz brodę, wypchasz policzki, zmienisz włosy i nikt cię nie pozna. Strzeż się jednak chwili, gdy zaczniesz się oddalać.

— Zapamiętam. Czy możesz pamiętać siedem stóp pięć cali, dopóki nie zapiszę?

— Oczywiście. Co to będzie, półki?

— Nie, powierzchnia kabiny. Osiem stóp dziewięć cali... i trzy i siedem...

Młody mężczyzna w okularach, od dłuższej chwili przestępujący z nogi na nogę, chrząknął i powiedział:

— Przepraszam, pani Banks, lecz jeśli chce pani jeszcze tu zostać...

— Chyba tak — odparła Susan. — Jeśli zostawi mi pan klucze, zamknę drzwi i zwrócę je do biura, dobrze?

— Tak, dziękuję. Gdyby nie to, że dziś mamy mało pracowników...

Wymówiwszy się w ten sposób, młody człowiek wyszedł na ulicę.

— Dobrze, że się go pozbyliśmy — powiedziała Susan. — Agenci biur pośrednictwa są straszni. Gadają wtedy, kiedy liczę.

— Morderstwo w pustym sklepie — rzekł George. — Jakie to by było fascynujące dla przechodniów, gdyby przez okno wystawowe zobaczyli martwe ciało pięknej kobiety. Ależ by wybałuszali oczy. Jak złote rybki.

— Nie masz powodu, by mnie zabić.

— Dostałbym czwartą część twojego spadku. Byłby to wystarczający powód dla kogoś, kto lubi pieniądze.

Susan przerwała pomiary, odwróciła się i popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Wyglądasz jak całkiem inna osoba, George. To... niezwykle.

— Inna osoba? W jakim sensie?

— Jak w reklamie. „To ten sam mężczyzna, co na poprzedniej stronie, tylko po zacytowaniu Soli Zdrowotnych Uppingtona”.

Usiadła na skrzyni i zapaliła papierosa.

— Musiałeś bardzo potrzebować pieniędzy wuja Richarda, prawda?

— Nie da się zaprzeczyć, że pieniądze są każdemu potrzebne — powiedział lekko George.

— Byłeś w krytycznej sytuacji?

— To nie twoja sprawa, Susan.

— Tak się tylko pytałam.

— Wynajęłaś ten sklep?

— Kupuję cały dom.

— Z posesją?

— Tak. Na dwóch górnych piętrach były mieszkania. Jedno jest puste i pójdzie razem ze sklepem. Drugie muszę wykupić od lokatorów.

— Miło mieć pieniądze, prawda, Susan?

W głosie George'a kryła się złośliwa nutka. Susan odetchnęła głęboko i rzekła:

— Myślę, że cudownie. Zupełnie jakby wróżka spełniła marzenia.

— Czy wróżka zabija też starszych krewniaków?

Susan nie zwróciła uwagi na te słowa.

— To miejsce jest takie jak trzeba. Po pierwsze, ma ładną architekturę. Mieszkanie na górze może być bardzo oryginalne. Są dwa ozdobne sufity i pokoje mają piękny kształt. Tę część na dole, którą ktoś już zepsuł, zrobimy całkiem nowoczesną.

— Co to będzie? Odzież?

— Nie, gabinet kosmetyczny. Preparaty ziołowe. Kremy do twarzy.

— Od razu pełną parą?

— Tak. To się opłaca. Tylko że takie miejsce potrzebuje specjalnego klimatu. Myślę, że mi się uda.

George z uznaniem popatrzył na kuzynkę. Oceniał jej rysy, duże usta, blask bijący z jej niezwykle żywej twarzy. Zobaczył w niej tę dziwną, trudną do określenia cechę — niezachwianą dążność do sukcesu.

— Masz rację — powiedział. — Zwrócą ci się koszty i powiesz ci się.

— To odpowiednie miejsce, niedaleko głównej ulicy ze sklepami i można zaparkować tuż przed drzwiami.

George znowu kiwnął głową.

— Tak, Susan, uda ci się. Czy od dawna o tym myślałaś?

— Ponad rok.

— Dlaczego nie poszłaś z tym do Richarda? Mógł ci pomóc.

— Poszłam.

— I nic? Ciekawe dlaczego. Myślałem, że rozpozna w tobie to samo tworzywo, z którego i on był zrobiony.

Susan nie odpowiedziała i George'owi stanął przed oczyma jej mąż, mężczyzna nerwowo i podejrzliwy.

— A jakie jest w tym miejsce... jak on ma na imię... Greg? Rzuci proszki i pigułki?

— Oczywiście. Z tyłu będzie miał laboratorium. Będziemy robić kremy i preparaty według własnej receptury.

George powstrzymał uśmiech. Chciał powiedzieć: „Więc będzie i zabaweczka dla dziecka”, ale nic nie rzekł. Podejrzewał, że uczucia Susan dla męża należy traktować ostrożnie. Były niczym materiał wybuchowy. Pomyślał, tak jak w dzień pogrzebu, o Gregu. Coś jest z nim nie tak. Z wyglądu taki nijaki, a jednak w jakiś dziwny sposób nie był nijaki...

Jeszcze raz spojrzał na Susan, spokojną i wewnętrznie promieniejącą.

— Masz krew Abernethie'ów. Tylko ty z całej rodziny — powiedział. — Szkoda, że jesteś kobietą. Gdybyś była mężczyzną, Richard zostawiłby ci całą fortunę.

— Myślę, że masz rację — przyznała Susan.

— Nie lubił Grega — dodała po chwili.

George uniósł brwi.

— Jego błąd.

— Tak.

— No cóż, w każdym razie teraz wszystko układa się tak, jak sobie zaplanowałaś.

Gdy wypowiadał te słowa, uderzył go nagle fakt, że szczególnie dobrze odnosiły się one do Susan. Przez chwilę czuł się trochę niepewnie. Nie lubił kobiet aż tak operatywnych.

Zmienił temat.

— A propos — rzekł — dostałaś list od Helen? O „Enderby”?

— Tak, dziś rano. A ty?

— Też. Co masz zamiar zrobić?

— Greg i ja myśleliśmy, żeby pojechać tam w weekend za dwa tygodnie, jeżeli będzie to wszystkim pasowało. Helen chce, żebyśmy byli wszyscy razem.

George zaśmiał się złośliwie.

— Bo ktoś mógłby wybrać lepszy mebel niż inni?

— Sądzę, że będzie przeprowadzona wycena. Ale i tak wycena przy sprawach spadkowych jest zawsze niższa niż wartość przedmiotu na wolnym rynku. Ponadto chciałabym mieć kilka pamiątek po twórcy majątku rodzinnego. I parę absurdalnych wiktoriańskich przedmiotów. Będą pasowały to tego wnętrza. Ten okres staje się modny. W salonie był zielony malachitowy stolik. Mógłby podyktować kolorystykę całego pokoju. I może wypchane kolibry albo któryś wieniec z woskowanych kwiatów. Coś, co by nadało ton...

— Wierzę w twój gust.

— Ty też tam będziesz?

— Oczywiście... choćby po to, by dopilnować *fair play*.

Susan roześmiała się.

— Założysz się, że wybuchnie wielka kłótnia?

— Rosamund prawdopodobnie również zechce malachitowy stolik jako rekwizyt teatralny.

Susan zmarszczyła brwi.

— Czy widziałeś ostatnio Rosamund? — spytała.

— Nie widziałem pięknej kuzynki od czasu wspólnego powrotu z pogrzebu.

— Ja widziałam ją raz czy dwa... Zachowywała się... dość dziwnie...

— Co jej się stało? Próbuje myśleć?

— Nie, wydawała się... przygnębiona.

— Martwiła się tym, że odziedziczyła mnóstwo pieniędzy i będzie mogła wystawić jakąś okropną sztukę, w której Michael robi z siebie osła?

— To wygląda coraz bardziej realnie i chyba rzeczywiście będzie okropne... najmniej może odniosą sukces. Michael jest niezły. Za to Rosamund potrafi tylko pięknie wyglądać.

— Biedna piękna Rosamund.

— Ale nie jest aż tak głupia, jak można by myśleć. Czasami mówi całkiem ciekawe rzeczy, o których nie przypuszczałbyś, że je zauważyła. To bywa krępujące.

— Całkiem jak ciotka Cora...

— Tak...

Przez moment oboje czuli się zażenowani. Wydawało się, że sprawił to duch Cory Lansquet.

— A jeśli już mówimy o Corze — powiedział George z udaną niefrasobliwością — co z tą jej współmieszkanką? Powinno się coś z nią zrobić.

— Co masz na myśli?

— Rodzina powinna się nią zająć... To znaczy... zawsze uważałem Corę za ciotkę... i wydaje mi się, że tej kobiecie może być trudno znaleźć następną pracę.

— Ach, więc pomyślałeś o tym?

— Tak. Ludzie zawsze myślą o swojej skórze. Nie chcę powiedzieć, że będą się bali, że ta Gilchrist zatłucze ich siekierą, ale podświadomie będą uważali, że ona przynosi pecha. Ludzie są przesądni.

— Dziwne, że o tym pomyślałeś, George. Skąd wiesz takie rzeczy?

— Zapominasz, że jestem prawnikiem — odparł sucho George. — Często spotykam się z dziwną, nielogiczną stroną psychiki. Chcę powiedzieć, że moglibyśmy coś dla tej kobiety zrobić, wyznaczyć jej małą pensję lub znaleźć jej następną pracę. Nie powinniśmy tracić z nią kontaktu.

— Nie musisz się martwić — rzekła Susan. W jej głosie zabrzmiała delikatna nutka ironii. — Wszystko załatwiłam. Pracuje u Maude i Timothy'ego.

George wyglądał na zaskoczonego.

— Susan... czy to mądre posunięcie?

— Nic lepszego nie mogłam na poczekaniu wymyślić.

— Jesteś bardzo pewna siebie, prawda? Wiesz, co robisz, i nie żałujesz tego.

— Żal to strata czasu — powiedziała Susan lekko.

Rozdział siedemnasty

Michael rzucił list przez stół swojej żonie.

— I co?

— Chyba pojedziemy. A ty jak myślisz?

— Lepiej pojechać — zgodził się Michael.

— Może będzie jakaś biżuteria... Oczywiście wszystkie te przedmioty w domu są okropne... wypchane ptaki i woskowe kwiaty. Paskudztwo!

— Mauzoleum. Prawdę mówiąc, chciałbym naszkicować kilka rzeczy, szczególnie z salonu. Na przykład kominek i tę kanapę o dziwnym kształcie. Pasowałyby do *The Baronet's Progress*, jeśli będziemy to kiedyś wznawiać.

Michael podniósł się i spojrzał na zegarek.

— Dobrze, że sobie przypomniałem. Muszę iść na spotkanie z Rosenheimem. Wrócę późno. Idę na kolację z Oscarem. Będziemy rozmawiać o wzięciu tej opcji i rozważymy ofertę amerykańską.

— Kochany Oscar. Na pewno ucieszy się, kiedy wreszcie się spotkacie. Pozdrów go ode mnie.

Michael spojrzał na nią uważnie. Już się nie uśmiechał. Jego twarz przybrała drażniący wygląd.

— Co masz na myśli mówiąc „wreszcie”? Można by pomyśleć, że nie widziałem go co najmniej kilka miesięcy.

— Bo go przecież nie widziałeś — mruknęła Rosamund.

— Owszem, widziałem. Tydzień temu byliśmy na obiedzie.

— Zabawne. Musiał o tym zapomnieć. Dzwonił wczoraj i powiedział, że nie widział cię od premiery *Tilly Looks West*.

— Chyba zwariował.

Michael zaśmiał się. Rosamund przyglądała się mu nieporuszona.

— Myślisz, że jestem głupia, prawda?

— Ależ kochanie, oczywiście, że nie — zaprotestował.

— Tak właśnie myślisz. Nie jestem jednak całkowitą kretynką. Tamtego dnia wcale nie spotkałeś się z Oscarem. Wiem, gdzie poszedłeś.

— Rosamund, kochanie, o czym ty mówisz?

— Wiem, gdzie naprawdę byłeś...

Przez chwilę spoglądali na siebie: Michael — niepewnie, Rosamund — pogodnie i spokojnie.

Jak niepokojące może być spokojne spojrzenie — pomyślał nagle Michael.

— Nie wiem, do czego zmierzasz — powiedział w końcu niepewnie.

— Że okłamując mnie daleko nie zajedziesz.

— Słuchaj, Rosamund...

Miał zamiar potraktować ją z góry, ale gdy usłyszał jej słowa, z zaskoczenia zapomniał języka w gębie.

A Rosamund powiedziała:

— Chcemy dostać tę opcję i wystawić sztukę, prawda?

— Czy chcemy? To rola, o jakiej zawsze marzyłem.

— Właśnie to mam na myśli.

— To znaczy, że co masz na myśli?

— Że jest to dużo warte. Nie wolno jednak zbyt ryzykować.

— To twoje pieniądze — rzekł powoli. — Wiem o tym. Jeśli nie chcesz zaryzykować...

— Nasze pieniądze, kochanie, pamiętaj o tym — podkreśliła Rosamund.

— Słuchaj, Rosamund, rola Eileen powinna zostać na nowo napisana.

— Myślę, że chętnie bym ją zagrała — uśmiechnęła się.

— Moje drogie dziecko, co ci się stało? — Michael przeraził się nie na żarty.

— Nic.

— Ależ tak. Ostatnio jesteś jakaś inna... nerwowa, markotna... co się stało?

— Nic. Chciałabym tylko, żebyś był... ostrożny.

— W jakiej sprawie? Zawsze jestem ostrożny.

— Nieprawda. Zawsze myślisz, że wszystko ci się upiecze i każdy będzie wierzył w to, co mówisz. Nie powinienesz być mówić wtedy o Oscarze.

Michael poczerwieniał z gniewu.

— A ty co? Powiedziałaś, że byłaś na zakupach z Jane. A Jane już od kilku tygodni była w Ameryce.

— Masz rację, to też było niemądre. Poszłam wtedy na spacer do Regent's Park.

— Regent's Park? — Michael popatrzył zdziwiony na żonę. — W życiu nie byłaś tam na spacerze. O co chodzi? Masz kogoś? Mów co chcesz, ostatnio jesteś inna. Dlaczego?

— Rozmyślałam... o różnych rzeczach. O tym, co mam zrobić...

Michael obszedł stół i stanął przy Rosamund obejmując ją ramieniem.

— Najdroższa, wiesz, że kocham cię szalenie! — zawołał namiętnie.

Rosamund również go objęła, ale gdy się rozłączyli, Michaela nieprzyjemnie uderzyło chłodne wyrachowanie widoczne w jej pięknych oczach.

— Przebaczyłabyś mi wszystko, cokolwiek bym uczynił? — spytał.

— Chyba tak — odparła niepewnie Rosamund. — Nie o to chodzi. Widzisz, teraz wszystko inaczej wygląda. Musimy pomyśleć i zaplanować, co robimy.

— Zaplanować? Co?

Rosamund, marszcząc brwi odparła:

— Nasze uczynki żyją, nawet jeśli nic o tym nie wiemy. My dajemy tylko początek wypadkom. Dlatego musimy zaplanować, co należy robić, zastanowić się, co jest ważne, a co nie.

— Rosamund...

Rosamund siedziała wpatrzona w przestrzeń przed sobą i nie słyszała słów męża. Ocknęła się, dopiero gdy po raz trzeci powtórzył jej imię.

— Co powiedziałaś?

— Pytałem, o czym myślisz.

— Zastanawiałam się, czy pojechać do... jak to się nazywa... Lytchett St. Mary do tej kobiety, która mieszkała z ciotką Corą.

— Po co?

— Ona na pewno wkrótce wyjedzie. Do krewnych lub do pracy. Pomyślałam, że nie powinniśmy pozwolić jej zniknąć, zanim jej nie zapytamy.

— O co?

— Kto zabił ciotkę Corę.

Michael wytrzeszczył oczy.

— To znaczy... myślisz, że ona wie?

— Tak sędzę. W końcu razem mieszkały.

— Policji nic nie powiedziała.

— Och, pewnie wie, ale inaczej. Nie w sensie dowodów, tylko przekonania. Wie, co mówił wuj Richard, kiedy złożył im wizytę. Był tam rzeczywiście, Susan mi mówiła.

— Przecież nie mogła tego słyszeć.

— Na pewno słyszała, kochanie. — Głos Rosamund brzmiał tak, jakby coś tłumaczyła małemu dziecku.

— Bzdura. Richard z pewnością nie dzielił się podejrzeniami dotyczącymi rodziny w obecności osoby obcej.

— Masz rację. Ona na pewno wszystko słyszała przez drzwi.

— Podśluchiwała?

— Tak myślę. Właściwie jestem pewna. Dwie kobiety mieszkające razem muszą się strasznie nudzić, kiedy jedyną rozrywkę stanowi mycie zlewu, wypuszczanie kota i tym podobne rzeczy. Bez wątplenia umiała sobie życie podśluchując i czytając cudze listy. Każdy by tak robił.

W spojrzeniu, które Michael jej posłał, kryło się niemal obrzydzenie.

— A ty? — spytał bez ogródek.

— Nigdy nie podjęłabym się takiej pracy. I do tego jeszcze na wsi. — Rosamund wstrząsnęła się. — Wolałabym umrzeć.

— Pytałem, czy... czytałabyś listy i w ogóle...

— Tak, gdybym chciała czegoś się dowiedzieć — odparła spokojnie. — Każdy tak robi, prawda?

Ich spojrzenia spotkały się.

— Pragnie się wiedzieć — rzekła Rosamund — nawet jeśli nic się z tą wiedzą nie zrobi. Tak chyba ona to odczuwa... mam na myśli pannę Gilchrist. Jestem przekonana, że wie.

— Rosamund, jak myślisz, kto zabił Corę? — spytał Richard stłumionym głosem. — I Richarda?

Jeszcze raz ich spojrzenia spotkały się.

— Kochanie, nie bądź głupi. Wiesz równie dobrze jak ja, ale lepiej, o wiele lepiej nigdy o tym nie mówić.

Rozdział osiemnasty

Ze swojego miejsca przy kominku Poirot przyglądał się zebranemu towarzystwu.

Susan, wyraźnie ożywiona, siedziała wyprostowana na krześle koło swojego męża. Greg patrzył bezmyślnie przed siebie i miętosił w rękach kawałek sznurka. George Crossfield, jowialny i zdecydowanie z siebie zadowolony, opowiadał Rosamund o oszustach ogrywających w karty pasażerów statków atlantyckich. Jego kuzynka, całkowicie tym nie zainteresowana, od czasu do czasu mechanicznie wtrącała jakieś słowo. Michael jak zwykle czarował swą charakterystyczną, nieco dziką urodą. Helen zachowywała opanowanie i rezerwę. Timothy spoczywał w fotelu wygodnie oparty o poduszki. Maude, silna i krępa, siedziała przy nim gotowa do usług. Nieco poza kółkiem rodzinnym, jakby przepaszając za swoją obecność, przysiadła jeszcze jedna osoba — panna Gilchrist, w dość dziwnej, odświętnej bluzce. Wkrótce, pomyślał Poirot, wstanie, wybąka jakieś przeprosiny i pójdzie do swojego pokoju. Panna Gilchrist zna swoje miejsce. Życie ją wiele nauczyło.

Herkules Poirot ze smakiem popijał popołudniową kawę.

Chciał mieć ich wszystkich razem i oto są. Co teraz ma z nimi zrobić? Nagle poczuł dziwną niechęć do zajmowania się tą sprawą. Ciekawe dlaczego, pomyślał. Czy to wpływ Helen Abernethie? Jej bierny opór okazał się bardzo silny. Czy zdołała w jakiś sposób przekazać mu własną niechęć? Była przeciwna odgrzebywaniu szczegółów śmierci Richarda. Chciała, by zostawiono to w spokoju, by o wszystkim zapomniano. Poirot nie dziwił się jej. Dziwił się sobie, że także tego pragnął.

Detektyw pomyślał, że pan Entwistle doskonale opisał rodzinę. Chciał, mając jako wskazówkę opinię starego prawnika, poznać tych ludzi osobiście. Wydawało mu się, że spotkanie twarzą w twarz podpowie mu nie jak i kiedy popełniono morderstwo (wszak było ono prawdopodobne), ale kto je popełnił. Herkules Poirot miał za sobą lata praktyki i wierzył, że tak jak krytyk sztuki potrafi rozpoznać artystę, tak on potrafi rozpoznać typ człowieka, który w pewnych okolicznościach jest gotów zabić.

Tymczasem tak nie było.

Ponieważ każdą ze zgromadzonych osób mógł wyobrazić sobie jako potencjalnego mordercę. George mógł zabić tak, jak zabija osaczony szczur. Susan — spokojnie, sprawnie, aby osiągnąć zamierzony cel. Gregory — gdyż było w nim dziwne, niemal chorobliwe pragnienie kary. Rosamund — ponieważ była tak przeraźliwie nieskomplikowana. Ambitny, pewny siebie i próżny Michael posiadał cechy charakteryzujące wielu morderców. Timothy nienawidził brata i pożył siły, którą dawały jego pieniądze. Maude mogłaby zabić, ponieważ Timothy był jej dzieckiem, a tam gdzie chodzi o dziecko, byłaby bezwzględna. Nawet panna Gilchrist, pomyślał, byłaby zdolna do zbrodni, gdyby zdołało to przywrócić jej ukochaną herbaciarnię. A Helen? Nie wyobrażał jej sobie jako morderczyni. Była zbyt cywilizowana, zbyt łagodna. Poza tym ona i jej mąż naprawdę kochali Richarda.

Poirot westchnął. Nie dojdzie do prawdy na skrót. Musi pójść dłuższą, ale z to dosyć pewną drogą. Musi z nimi rozmawiać. Dużo rozmawiać. Na dłuższą metę, kłamstwem lub prawdą, każdy się zdradzi...

Helen przedstawiła go zebrany i od tej chwili Poirot musiał się wysilać, by zwalczyć niemal jednomyślną niechęć wywołaną przez jego, obcokrajowca, obecność w kółku rodzinnym. Miał uszy i oczy szeroko otwarte. Obserwował i słuchał, co mówią — otwarcie i przez dziurkę od klucza. Zauważył pokrewieństwa, antagonizmy, niebaczne słowa, które zawsze padają przy podziale własności. Starał się o spotkania w cztery oczy, towarzyszył w przechadzkach po tarasie i wyciągał wnioski. Z panną Gilchrist rozmawiał o dawnej chwale jej herbaciarni, o właściwym składzie ciasta na bułeczki drożdżowe i ekleri z czekoladą i poszedł z nią do ogrodu kuchennego, by przedyskutować zastosowanie ziół w przyrządzaniu potraw. Spędził też długie godziny z Timothyem słuchając opowieści o jego zdrowiu i fatalnym wpływie zapachu farb na samopoczucie.

Farby? — Poirot zmarszczył brwi. — Kto jeszcze mówił coś o farbach? Pan Entwistle?

Rozmawiał też o malarstwie. O malarstwie Pierre'a Lansqueneta. O malarstwie Cory Lansquenet, nad którym rozplywała się panna Gilchrist, a które Susan określiła pogardliwie jako „malowanki z pocztówek”.

Panna Gilchrist poczuła się tą oceną bardzo urażona i rzekła, że pani Lansquenet zawsze malowała z natury.

— Oszukiwała — powiedziała Susan do Poirota, gdy panna Gilchrist wyszła z pokoju. — Wiem to na pewno, ale nie chcę jej rozczarować.

— Skąd pani wie?

Poirot spoglądał na świadczącą o pewności siebie linię brody Susan.

Ona zawsze będzie pewna siebie — pomyślał — a czasami może zbyt pewna...

— Powiem panu, ale niech pan nie powtarza tej Gilchrist. Jeden z obrazów przedstawia Polflexan, grotę, latarnię morską i molo — to, co zawsze malują amatorzy. Ale

molo zostało zniszczone w czasie wojny, tymczasem ciotka Cora namalowała obraz kilka lat temu, nie mogła więc malować z natury. Pocztówki jednak pochodzą sprzed wojny. Znalazłam taką w szufladzie w sypialni. Ciotka pewnie na miejscu zrobiła tylko szkic z grubsza, a potem skończyła malując ukradkiem z pocztówki. To dziwne, w jaki sposób wszystko się wydaje, prawda?

— Tak, to rzeczywiście dziwne — przyznał Poirot.

— Pani mnie nie pamięta, *madame* — powiedział po krótkiej chwili — ale ja pamiętam panią. Kiedyś już panią widziałem.

Susan popatrzyła na niego zdziwiona. Poirot z zapalem pokiwał głową.

— Tak, tak. Siedziałem w samochodzie, opatulony szalami i widziałem panią przez okno. Rozmawiała pani z mechanikiem na stacji obsługi. Nie zauważyła mnie pani, to zrozumiałe, dlaczego miałyby pani zwracać uwagę na starszego obcokrajowca w samochodzie. Ale ja panią zauważyłem. Jest pani młoda i ładna i stała pani w słońcu. Przyjeżdżam tutaj, widzę panią i mówię do siebie: — *Tiens*, co za zbieg okoliczności!

— Na stacji obsługi? Gdzie? I kiedy?

— Niedawno, jakiś tydzień temu... nie, więcej. Chwilkę — powiedział Poirot fałszywie, doskonale pamiętając czas i miejsce. — Nie pamiętam, gdzie to było. Tyle podróżuję...

— Szukał pan odpowiedniego domu dla uchodźców?

— Tak. Przy takim zakupie trzeba rozważyć cenę, okolicę, możliwość przebudowy.

— Chyba trzeba będzie ten dom remontować? Wstawić te okropne ścianki działowe.

— Tak, w sypialniach. Ale większość pokoi na parterze zostanie w nienaruszonym stanie. — Poirot zawahał się, zanim odezwał się ponownie. — Czy jest pani smutno, *madame*, że ten dom rodzinny pójdzie w obce ręce?

— Ależ skąd! — Susan wydawała się ubawiona. — Myślę, że to doskonały pomysł. I tak nikt nie mógłby tu mieszkać. Nie bądźmy sentymentalni. Poza tym to nie jest mój dom. Moi rodzice mieszkali w Londynie. Czasami przyjeżdżaliśmy tu na święta Bożego Narodzenia. Ten dom zawsze wydawał mi się okropny, niemal jak pogańska świątynia wzniesiona na część bogactwa.

— Bogactwo nadal ma swoje świątynie, tylko teraz inaczej wyglądają jego ołtarze, *madame* — powiedział Poirot. — Ukryte światła, kosztowna prostota... Z tego co słyszałem — mam nadzieję, że nie jestem niedyskretny — sama pani planuje taką świątynkę. Wszystko *de luxe*, bez oglądania się na koszty.

Susan roześmiała się.

— Nie ma to być świątynka tylko miejsce pracy.

— Może nazwa nie jest ważna... ale będzie to kosztowne przedsięwzięcie, prawda?

— Teraz wszystko jest ogromnie kosztowne. Ale myślę, że wydatek się opłaci.

— Niech mi pani opowie o swoich planach. Jestem zdumiony, że tak piękna młoda kobieta potrafi być tak praktyczna, tak znać się na rzeczy. W mojej młodości — przyznaję, że było to dawno temu — piękne kobiety myślały tylko o przyjemnościach, o kosmetykach, o *la toilette*.

— Kobiety nadal myślą wiele o swoich twarzach, na tym się opierają moje plany.

— Niech mi pani o nich opowie.

I Susan opowiedziała mu wszystko szczegółowo, nieświadomie odkrywając przy tym wiele o sobie. Poirot docenił jej zmysł do interesów, szerokość spojrzenia i zrozumienie szczegółów. Potrafiła tworzyć śmiałe plany, skoncentrować się na tym, co najważniejsze. Była może nieco bezwzględna, jak wszyscy, którzy robią śmiałe plany.

Przyglądając się jej Poirot rzekł:

— Uda się pani. Odniesie pani sukces. Na szczęście nie jest pani ograniczona brakiem pieniędzy. Bez kapitału trudno coś przedsięwziąć. Mieć takie wspaniałe pomysły i nie mieć pieniędzy na ich realizację — to byłby prawdziwy pech.

— Nie zniosłabym tego! Zdobyłabym jakoś pieniądze... skłoniłabym kogoś, by mnie wsparł.

— Oczywiście! Pani wuj, do którego należał ten dom, był bogaty. Gdyby nie zmarł, na pewno, jak to pani mówi, wsparłby panią.

— Nie, nie wsparłby mnie. Nie dowierzał kobietom. Natomiast gdybym była mężczyzną... — Jej twarz przybrała gniewny wygląd. — Zdenerwowałam się.

— Widzę to, widzę.

— Starzy nie powinni stać młodym na drodze. Ja... och, przepraszam.

Herkules Poirot zaśmiał się i podkreślił wąsa.

— Tak, jestem stary, ale nie zawadzam młodym. Nie ma nikogo, kto by musiał czekać na moją śmierć.

— Co za okropny pomysł.

— Jest pani realistką, *madame*. Niech pani przyzna, że świat jest pełen ludzi młodych... a nawet w średnim wieku, którzy czekają, mniej lub bardziej cierpliwie, aż czyjaś śmierć da im bogactwo... lub stworzy nowe szanse.

— Szansę! — powiedziała Susan biorąc głęboki oddech. — Tego właśnie potrzeba.

Przyglądający się czemuś za jej plecami Poirot rzekł wesoło:

— A oto zaraz przyłączy się do nas pani mąż! Rozmawiamy, panie Banks, o szansach, o sposobnościach, które należy uchwycić obiema rękami. Na ile pozwala nam sumienie. A pan co o tym myśli?

Nie dane mu jednak było usłyszeć zdania Gregory'ego Banksa na ten temat ani na żaden inny. Okazało się, że rozmowa z nim jest prawie niemożliwa. Gregory Banks nie lubił rozmów *tete-à-tete* ani dyskusji.

Poirot rozmawiał też z Maude Abernethie. O malowaniu i o tym, jak to szczęśliwie się złożyło, że Timothy mógł przyjechać do „Enderby” i że mogli zabrać pannę Gilchrist.

— Ona jest naprawdę bardzo użyteczna. Timothy często ma chęć coś przekąsić między posiłkami, a od cudzej służby nie można za wiele wymagać. Tutaj w pokoiku za spiżarką jest kuchenka gazowa i panna Gilchrist może tam urzędować nikomu nie przeszkadzając. Poza tym chętnie chodzi po różne rzeczy, ciągle biega po schodach i nie narzeka. Opatrzność ją nam zesłała. Dobrze, że bała się zostać sama w domu i musieliśmy ją wziąć, choć przyznam, że zmartwiłam się, gdy odmówiła pozostania.

— Była przestraszona? — zainteresował się Poirot.

Maude opowiedziała detektywowi o nagłym załamaniu nerwowym panny Gilchrist.

— Mówi pani, że się bała? I nie wiedziała, dlaczego? Interesujące, bardzo interesujące.

— Myślę, że to opóźniona reakcja.

— Całkiem możliwe.

— Pamiętam, że w czasie wojny spadła koło nas bomba i Timothy...

Poirot nie chciał słuchać o Timothym.

— Czy tego dnia zdarzyło się coś szczególnego? — spytał.

— Którego dnia?

— Tego, kiedy panna Gilchrist miała załamanie.

— Nie, nie sądzę. Chyba zanosiło się na to odkąd wyjechała z Lytchett St. Mary, przynajmniej tak powiedziała. Tam podobno się nie bała.

I mieliśmy tego efekty — pomyślał Poirot. — Zjadła zatrute ciasto weselne. Nic dziwnego, że potem się bała... Strach nie ustąpił, nawet gdy przeniosła się do tej spokojnej miejscowości, gdzie znajdowało się „Stansfield Grange”. Mało, że nie ustąpił. Nasilił się. Dlaczego? Obsługiwanie wymagającego hipochondryka jest z pewnością tak wyczerpujące, że nie powinno zostać miejsca na strach. Coś jednak panią Gilchrist przestraszyło. Co? Czy sama wiedziała?

Gdy tylko zdybał ją samą przed kolacją, poruszył ten temat, okazując przesadną, niebrytyjską ciekawość.

— Rozumie pani, że przy członkach rodziny nie mogę mówić na temat morderstwa. Bardzo mnie ono jednak intryguje. Chyba nic dziwnego, każdy byłby zainteresowany. Brutalna zbrodnia, napaść na wrażliwą artystkę mieszkającą w domu na uboczu. Wstrząs dla rodziny. Wstrząs dla pani. Żona pana Timothy’ego dała mi do zrozumienia, że była tam pani w tym czasie?

— To prawda. Ale niech mi pan wybaczy, panie Pontarlier, że nie chcę o tym opowiadać.

— Och tak, całkiem panią rozumiem.

Powiedziawszy to, Poirot zamilkł. I, tak jak myślał, panna Gilchrist sama zaczęła mówić.

Nie powiedziała nic nowego, ale Poirot grał swoją rolę doskonale, wydając od czasu do czasu pełne współczucia okrzyki i słuchając z zainteresowaniem, które najwyraźniej pochlebiało pannie Gilchrist.

Dopiero gdy wyczerpała temat własnych odczuć i dobrego serca pana Entwistle'a, Poirot ostrożnie poruszył następny temat.

— Mądrze pani zrobiła, że nie została pani sama w domu.

— Nie mogłam, panie Pontarlier, po prostu nie mogłam tego zrobić.

— Całkowicie panią rozumiem. Słyszałem też, że bała się pani zostać sama w domu pana Timothy'ego.

Panna Gilchrist zaczerwieniła się.

— Bardzo się tego wstydzę. Jestem niemądra. Ogarnęła mnie wtedy panika, nie wiem dlaczego.

— Na pewno pani wie. W końcu dopiero co udało się pani uciec śmierci...

Panna Gilchrist westchnęła i powiedziała, że nie rozumie, dlaczego ktoś chciał ją otruć.

— Naturalnie dlatego, droga pani, że ten kryminalista przypuszczał, że wie pani coś, co mogłoby doprowadzić do ujęcia go przez policję.

— Co ja mogę wiedzieć? To był jakiś kloszard lub szaleniec.

— Może, choć wydaje mi się to raczej mało prawdopodobne.

— Proszę, panie Pontarlier — panna Gilchrist straciła nagle humor. — Proszę nawet nie sugerować takich rzeczy. Nie chcę w to wierzyć.

— W co nie chce pani wierzyć?

— W to, że nie było to... to znaczy, że było... — urwała zmieszana.

— A jednak — rzekł sprytnie Poirot — wierzy w to pani.

— Nie! Nie wierzę!

— A ja myślę, że tak. Właśnie dlatego boi się pani... Bo pani nadal się boi, prawda?

— Nie, odkąd tu przyjechałam. Tu jest tylu ludzi. I taka miła rodzinna atmosfera. Tu wszystko wydaje się w porządku.

— Wydaje mi się jednak... Proszę wybaczyć moje zainteresowanie. Jestem starym, schorowanym człowiekiem i dużo czasu spędzam rozmyślając o sprawach, które mnie interesują. Więc wydaje mi się, że w „Stansfield Grange” musiało zdarzyć się coś konkretnego, co wydobycie pani strach za wierzch. Lekarze uważają, że bardzo dużo dzieje się w naszej podświadomości.

— Wiem, że tak mówią.

— Myślę, że pani podświadomy strach musiał zostać wydobyty na jaw przez jakieś wydarzenie, coś, co samo w sobie jest, być może, całkiem niewinne, a co uzmysłowiło pani ten strach.

Panna Gilchrist uczepliła się tej sugestii.

— Chyba ma pan rację.

— A co to było za zdarzenie?

Panna Gilchrist chwilę się zastanawiała, po czym nieoczekiwanie rzekła:

— Myślę, że to ta zakonnica.

Zanim Poirot zdążył ją dokładnie wypytać, podeszła do nich najpierw Susan z mężem, a za moment — Helen.

Zakonnica — zastanawiał się Poirot — gdzie ja już słyszałem o zakonnicy?

Postanowił jeszcze tego samego dnia wieczorem sprowadzić rozmowę na zakonnice.

Rozdział dziewiętnasty

Cała rodzina była bardzo uprzejma dla pan Pontarliera, reprezentanta MKDPU. Zastosowanie skrótu to było mądre posunięcie, pomyślał Poirot. Wszyscy przyjęli istnienie MKDPU jako coś naturalnego i nawet udawali, że wszystko o nim wiedzą. Jak bardzo ludzie nie lubią przyznawać się do ignorancji! Wyjątek stanowiła tylko Rosamund, która zapytała: „Co to jest? Nigdy nie słyszałam o takiej organizacji.” Na szczęście nikogo więcej wówczas nie było. Poirot przedstawił organizację w taki sposób, że każdy z wyjątkiem Rosamund czułby się zawstydzony wykazując niewiedzę w sprawie istnienia tak znanej, międzynarodowej instytucji. Rosamund jednak rzekła tylko: „Och, znowu ci uchodźcy. Jestem już tym zmęczona”. Wyraziła opinię wielu osób, które jednak zachowywały się zbyt konwencjonalnie, by okazać taką szczerość.

Zaakceptowano zatem pana Pontarliera, choć uważano go za coś w rodzaju kłopotliwej dekoracji. Ogólnie stwierdzono, że Helen nie powinna była zgodzić się na jego przyjazd w ten akurat weekend, ale w stosunku do Poirota starano się zachowywać jak najlepiej. Na szczęście ten dziwny obcokrajowiec nie znał za dobrze angielskiego. Często nie rozumiał, co do niego mówiono, a gdy mówili wszyscy naraz, czuł się kompletnie zagubiony. Interesowały go, jak się wydaje, tylko powojenne warunki życia i uchodźcy, a jego słownictwo ograniczało się niemal wyłącznie do tych tematów. Nie radził sobie ze zwykłą rozmową towarzyską. Herkules Poirot, mniej lub więcej przez wszystkich ignorowany, siedział rozparty w fotelu, popijał kawę i obserwował resztę towarzystwa mniej więcej tak, jak kot gotujący się do skoku obserwuje stado ptaków.

Po dwudziestu czterech godzinach myszkowania po domu, spadkobiercy Richarda Abernethie'ego wiedzieli, co pragną dostać i gotowi byli do stoczenia o to walki.

Najpierw tematem konwersacji był serwis deserowy Spode'a, na którym właśnie podano im podwieczorek.

— Długo już nie pożyję — powiedział Timothy znękany głosem — i Maude i ja nie mamy dzieci, więc nie ma sensu obarczać się niepotrzebnymi przedmiotami. Chciałbym mieć jednak ten stary serwis deserowy. To pamiątka. Pamiętam go z daw-

nych czasów. Oczywiście jest teraz niemożliwy, poza tym serwisy deserowe nie są dziś w cenie, mimo to chciałbym go mieć. Zadowolilibym się nim, i być może jeszcze inkrurowanym sekretarzykiem z białego salonu.

— Spóźniłeś się, wuju — rzekł jowialnie George. — Dziś rano zamówiłem u Helen ten serwis dla siebie.

Timothy spurpurowiał.

— Zamówiłeś? Co to znaczy? Jeszcze nic nie zostało ustalone! A poza tym po co ci serwis deserowy? Nie jesteś żonaty.

— Zbieram wyroby Spode'a, a ten serwis jest naprawdę piękny. Możesz jednak, wuju, wziąć sekretarzyk. Nie chciałbym go nawet za dopłatą.

Timothy nie dał się udobruchać sekretarzykiem.

— Słuchaj, George, nie możesz w ten sposób postępować. Jestem starszy niż ty, a poza tym jestem jedynym żyjącym bratem Richarda. Serwis należy do mnie.

— Dlaczego nie chcesz serwisu dreźnieńskiego? Piękny i również pamiątkowy. A Spode jest mój. Pierwszy zamówiłem.

— Bzdura! Nie zgadzam się! — bełkotał w podnieceniu Timothy.

— Nie denerwuj wuja, George — wtrąciła się Maude. — Miej wzgląd na jego zdrowie. Jeśli zechce, weźmie ten serwis. Najpierw on dokona wyboru, a wy, młodzi, możecie poczekać. Jak już powiedział, był bratem Richarda, a ty jesteś tylko siostrzeńcem.

— Powiem tylko tyle, młody człowieku: gdyby Richard sporządził sprawiedliwy testament, ode mnie zależałoby, co się stanie z tym domem. — Timothy kipiał złością. — W ten właśnie sposób powinien był rozporządzić majątkiem, a nie zrobił tego, ponieważ wywarło na niego wpływ.

Timothy obrzucił siostrzeńca nieprzyjemnym spojrzeniem.

— Skandaliczny testament — powiedział. — Po prostu skandaliczny! — Odchylił się do tyłu i przyłożył rękę do serca. — Źle się czuję — wyjęczał — czy mogę dostać... trochę brandy?

Panna Gilchrist pospiesznie wyszła i wróciła ze środkiem pokrzepiającym w małej szklaneczce.

— Proszę, panie Abernethie. Niech się pan nie ekscytuje. Czy nie powinien pan się położyć?

— Niech pani nie mówi głupot! — zagrzmiał Timothy i opróżnił szklaneczkę. — Położyć się? Muszę bronić swoich interesów.

— Doprawdy, George, dziwię się tobie — rzekła Maude. — Wuj ma rację. Najpierw powinniście spełnić jego życzenia. Jeśli chce ten serwis, powinien go dostać!

— On jest i tak okropny — rzekła Susan.

— Trzymaj język za zębami, Susan — zwrócił się do niej Timothy.

Szczupły młody mężczyzna siedzący obok Susan podniósł głowę. Ostrzejszym niż zwykle głosem powiedział:

— Proszę nie mówić tak do mojej żony!

— Nic się nie stało, Greg. To nieważne — uspokajała go Susan.

— Ale dla mnie to jest ważne.

Helen rzekła:

— Byłoby bardzo uprzejmie z twojej strony, George, gdybyś ustąpił wujowi.

— Co to znaczy „ustąpił”?! — oburzał się Timothy.

George, lekko skłaniając się Helen, powiedział:

— Twoja wola jest prawem, ciociu Helen. Ustępuję.

— Wcale go nie chciałeś, przyznaj się — rzekła Helen.

Rzucił jej ostre spojrzenie i nagle szeroko się uśmiechnął.

— Kłopot z tobą, ciociu Helen, polega na tym, że jesteś zbyt domyślna. Widzisz więcej, niż bym chciał. Nie martw się, wuju, Spode należy do ciebie. To miał być żart.

— Żart! — oburzyła się Maude. — Twój wuj mógł dostać ataku serca!

— Nie wierz w to, ciociu — rzekł wesoło George. — Wuj Timothy prawdopodobnie nas wszystkich przeżyje.

Timothy nachylił się ku niemu i z gniewem zawołał:

— Nie dziwię się, że Richard był tobą zawiedziony!

— Co wuj mówi? — spytał George.

Nagle cały jego humor się gdzieś ulotnił.

— Przyjechałeś tu po śmierci Mortimera z nadzieją, że zajmiesz jego miejsce, że Richard uczyni cię spadkobiercą. Ale mój brat poznał się na tobie. Zorientował się, co się stanie z pieniędzmi, jeśli ty je dostaniesz. Dziwię się, że dał ci cokolwiek. Wiadomo, na co to wydasz. Konie, hazard, Monte Carlo, zagraniczne kasyna. Może jeszcze gorzej. Podejrzewał, że nie jesteś uczciwy, czyż nie tak?

George pobladł i, by nie stracić panowania nad sobą, napiął wszystkie mięśnie twarzy.

— Lepiej by było, wuju, gdybyś uważał na to, co mówisz.

— Nie czułem się na tyle dobrze, by przyjechać na pogrzeb — powiedział powoli Timothy — ale Maude przekazała mi słowa Cory. Cora zawsze była głupia, ale w tym, co powiedziała, coś może być. Wiem, kogo ja bym podejrzewał...

— Timothy! — zawołała podnosząc się Maude. — To był bardzo męczący wieczór. Musisz uważać na zdrowie. Nie możesz znów się rozchorować. Chodź ze mną. Weźmiesz środek uspokajający i położysz się do łóżka. Helen, Timothy i ja chcielibyśmy ten serwis Spode'a i sekretarzyk. Mam nadzieję, że nikt się nie sprzeciwi?

Obrzuciła wszystkich spojrzeniem. Nikt się nie odezwał, więc wyszła z pokoju podtrzymując męża pod ramię i usuwając gestem z drogi pannę Gilchrist, która niepewnie stała przy drzwiach.

Gdy wyszli, ciszę przerwał George.

— *Femme formidable!** — powiedział. — To dobrze opisuje ciotkę Maude. Nie chciałbym stanąć jej na drodze.

Panna Gilchrist ponownie usiadła i mruknęła:

— Pani Abernethie jest bardzo dobra.

Uwaga nie wypadła przekonująco.

Michael Shane zaśmiał się i rzekł:

— Wiecie, podoba mi się to. Zupełnie jak w teatrze. A propos, Rosamund i ja chcielibyśmy ten zielony malachitowy stół z salonu.

— Och nie — zawołała Susan. — Ja go chcę.

— No proszę, znowu — oznajmił George podnosząc oczy.

— Nie kłóćmy się. Ten stół chciałabym do salonu kosmetycznego. Będzie stanowił akcent kolorystyczny. Postawię na nim bukiet woskowych kwiatów. Będzie to cudownie wyglądało. Kwiaty woskowe dostanę bez trudu, ale malachitowych stolików nie spotyka się tak często.

— Ależ kochanie — rzekła Rosamund — my też dlatego go chcemy. Potrzebujemy nowych dekoracji. Tak jak mówisz, będzie to akcent kolorystyczny... i poza tym to autentyk! I koniecznie woskowe kwiaty lub wypchane kolibry.

— Rozumiem cię, Rosamund, ale myślę, że ja mam mocniejsze argumenty. Na scenie możesz mieć równie dobrze stół pomalowany na zielono, efekt będzie taki sam. Ja do salonu potrzebuję czegoś autentycznego.

— Miłe panie — wtrącił się George — proponuję uczciwe rozwiązanie. Rzut monetą albo ciągnięcie kart. Rozwiązanie akurat pasujące do wieku stołu.

Susan uśmiechnęła się uprzejmie.

— Przedyskutujemy to jeszcze z Rosamund do jutra.

Wydawała się, jak zwykle, pewna siebie. George z ciekawością przeniósł spojrzenie z jej twarzy na twarz Rosamund, która wydawała się jakby nieobecna.

— Na kogo stawiasz, ciociu Helen? — spytał. — Równe szanse. Susan jest uparta, a Rosamund jest skupiona tylko na jednym.

— Chyba jednak nie kolibry — powiedziała Rosamund. — Z jednej z tych waz chińskich można by zrobić piękną lampę ze złotym kloszem.

— Tu jest mnóstwo pięknych przedmiotów — pospieszyła z pojednawczą mową panna Gilchrist. — Zielony stolik pięknie wyglądałby w pani salonie, pani Banks. Nigdy takiego nie widziałam. Musi być wart mnóstwo pieniędzy.

— Zostanie to oczywiście odjęte od mojego udziału — powiedziała Susan.

— Przepraszam... nie chciałam powiedzieć... — Panna Gilchrist wyraźnie się zmieszła.

— Wartość stołu zostanie odjęta od naszego udziału, razem z ceną woskowych kwiatów — zauważył Michael.

*fr. straszna kobieta

— Wspaniale wyglądają na tym stole — mruknęła panna Gilchrist. — Dają efekt artystyczny.

Nikt nie słuchał czynionych w najlepszych intencjach uwag panny Gilchrist.

Greg rzekł:

— Susan chce dostać ten stół.

Przez chwilę czuło się pewne skrępowanie, jak gdyby słowa Grega poruszyły inną strunę.

— A co ty chcesz, George? Pomijając serwis Spode'a.

George uśmiechnął się i napięcie zelżało.

— To wstyd tak podpuścić starego wuja — rzekł — ale on naprawdę jest niemożliwy. Tak się przyzwyczaił stawiać na swoim, że to jest już stan patologiczny.

— Choremu należy ustępować, panie Crossfield — przerwała panna Gilchrist.

— Stary hipochondryk, nic mu nie jest — powiedział George.

— Też tak myślę — zgodziła się Susan. — Nie wierzę, że coś mu naprawdę dolega. A ty, Rosamund, jak uważasz?

— Słucham?

— Czy coś jest wujowi Timothy'emu?

— Nie, nie sędzę — powiedziała niepewnie Rosamund i wyjaśniła: — Nie słuchałam, przepraszam bardzo. Zastanawiałam się, w jakim oświetleniu ten stół będzie najlepiej wyglądał.

— Widzicie? — spytał George. — Kobieta jednej myśli. Twoja żona jest niebezpieczna, Michael. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę.

— Zdaję — odparł ponuro Michael.

George ciągnął, wyraźnie zadowolony:

— Wojna o stół! Jutro toczyć się będzie walka — z uprzejmością, ale bez pardonu. Powinniśmy zrobić zakłady. Ja popieram Rosamund. Wygląda delikatnie i ulegle, ale to tylko pozory. Mężowie przypuszczalnie poprą swoje żony. Panna Gilchrist? Oczywiście jest za Susan.

— Och, panie Crossfield, nie ośmielę się...

— Ciocia Helen? — George nie zwracał uwagi na słabe protesty panny Gilchrist. — Masz głos decydujący, ciociu. Och, przepraszam... pan Pontarlier?

— *Pardon?* — Herkules Poirot wyglądał, jakby nic nie rozumiał.

George zastanawiał się przez moment, czy tłumaczyć, o co chodzi, ale w końcu zrezygnował. Biedny staruszek nie ma pojęcia, co się dzieje. Powiedział więc tylko: — To taki rodzinny żart.

— Tak, tak, rozumiem — rzekł uprzejmie Poirot.

— Zatem masz głos decydujący, ciociu Helen. Po czyjej jesteś stronie?

Helen uśmiechnęła się.

— Może sama mam na niego ochotę?

I zmieniając temat zwróciła się do gościa:

— Obawiam się, że pan się nudzi, panie Pontarlier.

— Wcale nie, *madame*. Uważam za przywilej być w gronie tej rodziny. — Ukłonił się. — Chciałbym powiedzieć... nie wiem, jak to wyrazić... żałuję, że ten dom przeszedł w ręce ludzi obcych. Z pewnością jest to dla was duża przykrość.

— Ależ nie, niczego nie żałujemy — zapewniła Susan.

— Jest pani bardzo uprzejma, *madame*. Będzie to, proszę pozwolić mi powiedzieć, doskonałe miejsce dla moich starszych prześladowanych braci. Boska przystań! Jaki spokój! Proszę pomyśleć o tym, kiedy najdą was nieprzyjemne uczucia, co na pewno nastąpi. Podobno miała być tu szkoła... nie szkoła, tylko klasztor. Prowadzony przez *religieuses*... jak wy to mówicie? Zakonnice? Może wolelibyście takie rozwiązanie?

— Z pewnością nie — rzekł George.

— Na szczęście — ciągnął Poirot — dzięki nieznanemu ofiarodawcy nasza oferta była wyższa. Pani zdaje się nie lubi zakonnice? — Detektyw zwrócił się do panny Gilchrist.

Panna Gilchrist zaczerwieniła się i zmieszała.

— Och, doprawdy, panie Pontarlier, nie wolno tak... To znaczy, nic przeciw nim nie mam. Nie widzę tylko potrzeby takiego odgradzania się od świata. Jest to niekonieczne, może nawet samolubne... Nie mam na myśli zakonnice uczących, ani tych, które pracują wśród biednych... jestem pewna, że są bezinteresowne i robią dużo dobrego.

— Nie wyobrażam sobie, jak można chcieć zostać zakonnice — powiedziała Susan.

— Habity są bardzo twarzowe — rzekła Rosamund. — Pamiętasz tę sztukę w zeszłym roku? Sonia Wells wyglądała po prostu bosko!

— Nie rozumiem — wtrącił George — dlaczego miałyby być miłe Bogu ubieranie się w średniowieczne suknie. Bo habity to w gruncie rzeczy nic innego. Wyjątkowo niewygodne, niehigieniczne i niepraktyczne.

— I wszystkie wyglądają tak samo, prawda? — dorzuciła panna Gilchrist. — Wiem, że to niemądre, ale wtedy w domu pani Abernethie wystraszyłam się, kiedy przyszła zakonnica zbierająca datki. Pomyślałam, że to ta sama, która przyszła w dzień przesłuchania w Lytchett St. Mary. Miałam wrażenie, jakby przyjechała specjalnie za mną.

— Sądziłem, że zakonnice zawsze chodzą parami — zauważył George. — Był kiedyś taki kryminal.

— Tym razem przyszła tylko jedna — powiedziała panna Gilchrist. — Może muszą oszczędzać? Poza tym to nie mogła być ta sama zakonnica, ponieważ jedna zbierała na organy do kościoła... chyba świętego Barnaby, a druga na jakieś dzieci.

— Ale obie miały podobne rysy? — spytał Herkules Poirot. Wyglądał na zainteresowanego. Panna Gilchrist odwróciła się do niego.

— Chyba tak. Podobna wargą górna. Niemal jakby miała wąsy. To właśnie mnie musiało wystraszyć... Miałam trochę nadszarpnięte nerwy i do tego przypomniały mi się te wszystkie historie opowiadane w czasie wojny o zakonnicach, które naprawdę były żołnierzami z piątej kolumny i zrzucono ich na spadochronach. Wiem, że to głupie, ale wtedy tak właśnie myślałam.

— Zakonnica to dobre przebranie — powiedziała z namysłem Susan. — Kryje stopy.

— Tak naprawdę to nikt się nikomu dokładnie nie przygląda — rzekł George. — Stąd tak bardzo różnią się opisy dawane przez różnych świadków w sądzie. Zdziwilibyście się. Jednego mężczyznę opisuje się jako wysokiego i niskiego, szczupłego i tęgiego, jasnowłosego i ciemnowłosego, ubranego w garnitur ciemny i jasny. Zazwyczaj znajduje się jakiś wiarygodny świadek, ale trzeba wykryć, kto to jest.

— Czy doświadczyliście takiego dziwnego uczucia — spytała Susan — że widząc się niespodziewanie w lustrze nie rozpoznajecie się? Postać w lustrze wydaje się wam znajoma i mówicie sobie: „To ktoś, kogo dobrze znam” — i nagle zdajecie sobie sprawę, że to wy!

— Jeszcze trudniej byłoby — powiedział George — gdybyśmy mogli zobaczyć naprawdę siebie, a nie odbicie.

— Dlaczego? — spytała zdziwiona Rosamund.

— Ponieważ nikt nigdy nie widzi się tak, jak ukazuje się oczom innych ludzi. Zawsze się widzimy w lustrze, a to jest obraz odwrócony!

— A czy to robi jakąś różnicę?

— Oczywiście — poparła George'a Susan. — Ponieważ twarze nie są symetryczne. Brwi są inne, usta podnoszą się z jednej strony, nos nie jest naprawdę prosty. Pokażę wam, tylko potrzebny mi jest ołówek. Kto ma ołówek?

Ktoś wyciągnął ołówek i zaczęli bawić się, odrysowując kontur nosa z każdej strony i śmiejąc się z różnic.

Atmosfera znacznie się poprawiła. Wszyscy mieli dobry humor. Nie byli już spadkobiercami Richarda Abernethie'ego spotykającymi się w celu dokonania podziału majątku. Stanowił wesołą grupę spędzającą weekend na wsi.

Tylko Helen Abernethie pozostała milcząca.

Herkules Poirot podniósł się z westchnieniem i życzył gospodyni dobrej nocy.

— Może lepiej się pożegnaj — powiedział. — Mój pociąg odchodzi o dziewiątej rano. Chcę podziękować za uprzejmość i gościnność. Termin przekazania posiadłości zostanie uzgodniony z panem Entwhistle'em. Tak, żeby było jak najwygodniej dla pani.

— Może to nastąpić w każdej chwili, panie Pontarlier. Już nic nie mam tu do roboty.

— Wróci zatem pani do willi na Cyprze?

— Tak. — Pani Abernethie uśmiechnęła się.
— Jest pani zadowolona. Czy nie żałuje pani?
— Że wyjeżdżam z Anglii? Czy że opuszczam ten dom?
— Że opuszcza pani ten dom.
— Nie. Nie powinno się żyć przeszłością, prawda? Trzeba się od tego oderwać.
— Jeśli się potrafi. — Mrużąc oczy Poirot uśmiechnął się przepraszająco do zgromadzonych w pokoju.
— Czasami przeszłość nie chce odejść. Stoi przy nas i mówi: „Jeszcze tu jestem”.
Susan zaśmiała się niepewnie. Poirot powiedział:
— Mówię poważnie.
— Ma pan na myśli, że uchodźcy nie będą w stanie zostawić za sobą swoich cierpień? — spytał Michael.
— Nie myślałem o uchodźcach.
— Myślał o nas, kochanie — rzekła Rosamund. — O wuju Richardzie i ciotce Corze, i siekierze.
Odwróciła się do Poirota.
— Nie mam racji?
Poirot spojrzał na nią obojętnie.
— Dlaczego tak pani uważa? — spytał.
— Ponieważ jest pan detektywem, prawda? Waśnie dlatego pan tu jest. KDPU, czy jak to pan zwie, to bzdura, prawda?

Rozdział dwudziesty

I

Nastąpiła chwila wielkiego napięcia. Poirot czuł je, choć nie odrywał oczu od twarzy pięknej Rosamund.

— Jest pani kobietą niezwykle przenikliwą, *madame* — powiedział z ukłonem

— Och, nie — zaprzeczyła Rosamund. — Kiedyś ktoś pokazał mi pana w restauracji. Zapamiętałam pana.

— Ale nie wspomniała pani o tym aż do teraz?

— Pomyślałam, że tak będzie zabawniej.

— Moja droga — powiedział Michael nie całkiem panując nad głosem.

Poirot przeniósł na niego spojrzenie.

Michael był zły. Zły, ale nie tylko. Jeszcze... przestraszony?

Wzrok Poirota przesunął się powoli po wszystkich obecnych. Na twarzy Susan odbijały się gniew i czujność, twarz George'a wyrażała ostrożność, a Gregory'ego — pustkę. Panna Gilchrist z zaskoczenia zapomniała zamknąć usta. Helen była skonsternowana i nerwowa.

Wszystkie te uczucia były w tych okolicznościach najzupełniej zrozumiałe. Herkules Poirot pożałował, że nie widział wyrazu ich twarzy o pół sekundy wcześniej, kiedy z ust Rosamund padło słowo „detektyw”. Teraz, oczywiście, zdołali się już opanować.

Wyprostował się i złożył im ukłon.

— Tak — przyznał. — Jestem detektywem. — Jego język i akcent były już znacznie mniej obce.

— Kto pana tu przysłał? — spytał George Crossfield starając się opanować nerwy.

— Otrzymałem zadanie zbadania okoliczności śmierci Richarda Abernethie'ego.

— Od kogo?

— Nie mogę teraz tego zdradzić. Sądzę jednak, że dla was wszystkich byłoby bardzo korzystne, gdyby dało się ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, iż Richard Abernethie zmarł śmiercią naturalną.

— Oczywiście, że zmarł śmiercią naturalną. Kto twierdzi inaczej?

— Cora Lansquenet tak powiedziała. I już nie żyje.

W pokoju dało się odczuć falę zażenowania.

— Powiedziała to tu, w tym pokoju — rzekła Susan — ale nie sądziłam...

— Naprawdę, Susan? — George Crossfield zmierzył ją ironicznym spojrzeniem.

— Dlaczego mamy ciągle udawać? I tak nie nabierzemy pana Pontarliera.

— Naprawdę tak myśleliśmy — zaprotestowała Rosamund. — A on nie nazywa się Pontarlier tylko Herkules coś-tam.

— Herkules Poirot, do waszych usług.

Poirot skłonił się.

Ta rewelacja przeszła bez echa. Najwyraźniej nikt z nich nie słyszał o słynnym detektywie.

Nie wystraszyli się tak, jak po informacji, że jest wśród nich detektyw.

— Czy mogę zapytać, do jakich wniosków pan doszedł? — zaciekał się George.

— I tak ci nie powie, kochanie — odparła Rosamund. — A jeśli powie, nie będzie to prawda.

Z całego towarzystwa tylko ona się bawiła.

Herkules Poirot popatrzył na nią z namysłem.

II

Herkules Poirot nie spał dobrze tej nocy. Był zaniepokojony, choć nie wiedział, dlaczego. Kawałki rozmów, różne spojrzenia, ruchy — nocą nabrały zwodniczego znaczenia. Poirot był u progu snu, ale sen nie nadchodził. Nagle, w chwili gdy zapadał już w sen, wpadła mu do głowy pewna myśl i natychmiast go otrzeźwiła. Farba — Timothy i farba. Farby olejne, zapach farby olejnej kojarzący się dla czegoś z panem Entwistle'em. Farby i Cora. Malarstwo Cory, pocztówki... Cora zwodziła innych, jeśli chodzi o swoje obrazy... Nie, to chodziło o Entwistle'a, o coś, co on powiedział... a może Lanscombe? Zakonnica, która przyszła tu w dzień śmierci Richarda Abernethie'ego. Zakonnica z wąsami. Zakonnica w „Stansfield Grange” i w Lytchett St. Mary. Za dużo tych zakonnice! Rosamund jako piękna zakonnica na scenie. Rosamund mówiąca, że on jest detektywem... i ci ludzie gapiący się na niego. Tak właśnie musieli patrzeć na Corę, gdy wyskoczyła z tym morderstwem. Coś wtedy było nie tak, jak powiedziała Helen. O co mogło jej chodzić? Helen Abernethie odcinająca się od przeszłości... jedzie na Cypr... Upuściła woskowe kwiaty, kiedy powiedział... co właściwie takiego powiedział? Nie bardzo pamięta...

Poirot zapadł w sen.

Śnił mu się malachitowy stół, na którym pod kloszem stały woskowe kwiaty. Tylko że całość pomalowana była czerwoną farbą olejną. Farbą koloru krwi. Czuł zapach

farby i słyszał jęki Timothy'ego: „umieram, umieram... to już koniec”. Maude stała koło niego z dużym nożem w ręku i powtarzała: „Tak, to już koniec”. Koniec — mary, świece, modląca się zakonnica. Gdyby tylko mógł zobaczyć jej twarz, wiedziałby...

Herkules Poirot obudził się... i rzeczywiście wiedział!

Tak, to naprawdę był koniec, choć wiele jeszcze zostało do zrobienia.

Poirot dopasowywał do siebie różne kawałki mozaiki.

Pan Entwhistle, zapach farby, dom Timothy'ego i to coś, co w nim było... lub mogło być, woskowe kwiaty, Helen, stłuczony klosz...

III

Po powrocie do swojego pokoju Helen Abernethie nie poszła od razu spać. Rozmyślała.

Siedząc przed lustrem toaletki patrzyła na swoje odbicie nic nie widząc.

Zmuszono ją do przyjęcia Herkulesa Poirota do domu. Nie chciała tego zrobić, ale pan Entwhistle tak przedstawił sprawę, że trudno było odmówić. A teraz wszystko się wydało. Nie pozwoli Richardowi spokojnie leżeć w grobie. Wszystko przez Corę...

Dzień po pogrzebie... Jak oni wszyscy wyglądali? Co myślała o nich Cora? Jak ona sama wyglądała?

I ten cytat skądś... „widzieć nas samych jak inni nas widzą”... Jak inni nas widzą.

Do oczu bezmyślnie spoglądających w lustro nagle dotarł obraz. Helen zobaczyła siebie, choć tak naprawdę nie siebie, nie taką, jaką inni ją widzą, nie taką, jaką widziała ją tamtego dnia Cora.

Jej prawa... nie, lewa brew uniesiona nieco wyżej niż prawa. Usta? Usta były symetryczne. Gdyby się zobaczyła naprawdę, nie byłoby większej różnicy. Nie tak jak u Cory.

Przed jej oczyma stanął wyraźny obraz Cory w dzień pogrzebu. Z lekko przechyloną na bok głową, patrząc na Helen, zadawała pytania.

Nagle Helen ukryła twarz w dłoniach i szepnęła do siebie: — To nie ma sensu... to nie może nic znaczyć...

IV

Panna Entwhistle akurat grała w pikietę z królową Marią, kiedy zbudził ją ze snu dzwonek telefonu.

Próbowała nie reagować, ale telefon uparcie dzwonił. Sennie podniosła głowę z poduszki i spojrzała na zegarek. Za pięć siódma. Kto, na Boga, może dzwonić o tej porze? Pewnie pomyłka.

Panna Entwhistle westchnęła, włożyła szlafrok i poszła do salonu.

— Kensington 675498 — rzuciła szorstko w słuchawkę.

— Tu Helen Abernethie. Czy mogłabym mówić z panem Entwhistle'em?

— Dzień dobry pani. — Ton głosu nie był szczególnie ciepły. — Mówi panna Entwhistle. Brat jeszcze śpi. Sama również spałam.

— Przepraszam bardzo, ale sprawa jest bardzo ważna i chciałabym bezzwłocznie rozmawiać z pani bratem.

— Nie można później?

— Niestety nie.

— No cóż, zaraz go poproszę — powiedziała cierpko panna Entwhistle.

Zapukała do drzwi pokoju brata i weszła.

— Znów ci Abernethie'owie — poinformowała go.

— Abernethie'owie? Wszyscy?

— Helen Abernethie. Dzwoni przed siódmą rano!

— Helen? Mój Boże, dziwne. Gdzie mój szlafrok? Dziękuję.

Pan Entwhistle podszedł do telefonu.

— Tu Entwhistle. Czy to ty, Helen?

— Tak. Bardzo przepraszam, że cię ściagam z łóżka, ale powiedziałeś mi kiedyś, że jak sobie przypomnę, co mnie wtedy uderzyło po pogrzebie, kiedy Cora powiedziała, że Richard został zamordowany, mam od razu zadzwonić.

— Ach, więc przypomniłaś sobie?

— Tak, ale to nie ma sensu.

— Pozwól, że ja to ocenię. Czy to coś dotyczyło kogoś z zebranych osób?

— Tak.

— Więc co to było?

— To wydaje się absurdalne. — Głos Helen brzmiał przepraszająco. — Jednak jestem całkiem pewna. Przypomniało mi się, jak spoglądałam wczoraj w lustro. Och...

Pan Entwhistle usłyszał cichy okrzyk Helen, a potem dziwny głuchy dźwięk, którego nie mógł rozpoznać.

— Halo, halo — wołał nagłoco — Helen, jesteś tam? Helen...

Rozdział dwudziesty pierwszy

I

Dopiero godzinę później pan Entwhistle z trudnością zdołał się dodzwonić do Herkulesa Poirota.

— Dzięki Bogu! — zawołał z rozdrażnieniem. — Centrala miała straszne kłopoty z połączeniem.

— Nic dziwnego. Słuchawka nie była na widełkach. — odrzekł Poirot ponurym głosem.

— Coś się stało? — spytał pan Entwhistle.

— Tak. Dwadzieścia minut temu pokojówka znalazła panią Helen Abernethie leżącą przy telefonie w gabinecie. Jest nieprzytomna. Poważny wstrząs mózgu.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś uderzył ją w głowę?

— Tak sędzę. Możliwe, że upadła i uderzyła głową o marmurowy próg, ale ja tak nie uważam i doktor się ze mną zgadza..

— Stało się to, akurat kiedy do mnie dzwoniła. Zastanawiałem się, co tak nagle przerwało naszą rozmowę.

— Zatem to do ciebie dzwoniła? Co powiedziała?

— Jakiś czas temu wspomniała, że kiedy Cora Lansquet podzieliła się podejrzeniami, że jej brat został zamordowany, czuła, że coś było nie w porządku. Nie wiedziała, jak to określić, i nie pamiętała, co wywołało to wrażenie.

— I nagle sobie przypomniała?

— Tak.

— I zadzwoniła, żeby ci o tym powiedzieć?

— Tak.

— *Eh bien.*

— Zaczęła mówić, ale jej przerwano.

— Co powiedziała?

— Nic istotnego.

— Wybacz mi, *mon ami*, ale ja to osądzę. Co więc powiedziała?

— Przypomniała, że prosiłem ją o natychmiastowe powiadomienie mnie, jeśli sobie przypomni, co ją wtedy zdziwiło. Powiedziała, że przypomniała sobie, ale że to nie ma sensu. Spytałem ją, czy chodziło o którąś z osób zebranych tego dnia w domu, a ona powiedziała, że tak. Podobno uświadomiła sobie to, gdy przeglądała się w lustrze...

— I co?

— To wszystko.

— Żadnej wskazówki, o kim myślała?

— Na pewno powiedziałbym ci, gdyby coś takiego mi zdradziła — rzekł kwaśno pan Entwhistle.

— Przepraszam, *mon ami*, oczywiście, że byś mi powiedział.

— Będziemy musieli poczekać z tym, dopóki nie odzyska świadomości.

— Może długo potrwać, zanim odzyska świadomość. Jeśli to kiedykolwiek nastąpi — rzekł poważnie Poirot.

— Jest aż tak źle? — spytał drżącym głosem pan Entwhistle.

— Tak, jest aż tak źle.

— Ale... to okropne, Poirot.

— Zgadzam się z tobą. Dlatego właśnie nie możemy czekać. Mamy bowiem do czynienia z kimś, kto jest albo całkowicie bezwzględny, albo tak przestraszony, że właściwie nie ma różnicy.

— Słuchaj Poirot, gdzie jest Helen? Martwię się o nią. Jesteś pewien, że będzie bezpieczna w „Enderby”?

— W „Enderby” nie mogła pozostać ani chwili. Już jej tu nie ma. Karetka zabrała ją do szpitala, gdzie będzie miała specjalne pielęgniarki i gdzie nikt absolutnie, nawet rodzina, nie będzie się mógł z nią widzieć.

Pan Entwhistle westchnął.

— Ulżyło mi. Bałem się o nią. — Prawnik wydawał się głęboko poruszony. — Dla Helen Abernethie zawsze miałem głęboki szacunek. To kobieta wyjątkowego charakteru. Sądzę, że w jej życiu były pewne... jak by to powiedzieć... niedomówienia.

— Ach, więc niedomówienia?

— Tak mi się zawsze wydawało.

— Stąd willa na Cyprze. Tak, to wiele wyjaśnia...

— Nie chcę, żebyś zaczął myśleć, że...

— Nie możesz mnie przed tym powstrzymać. Aha, mam dla ciebie małe zlecenie. Chwileczkę.

Po krótkiej pauzie Poirot wyjaśnił:

— Musiałem się upewnić, że nikt nie podsłuchuje. Wszystko w porządku. A więc chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. Musisz się przygotować do podróży.

— Do podróży? — powtórzył ze zdecydowaną niechęcią pan Entwhistle. — A, rozumiem, mam przyjechać do „Enderby”.

— Nie, tutaj ja mam na wszystko oko. Nie będziesz musiał jechać aż tak daleko. To blisko Londynu, Bury St. Edmunds. Tam wynajmiesz samochód i udasz się do „Forsdyke House”. To szpital dla nerwowo chorych. Odszukasz doktora Pemitha i zapytasz go o chorego, który niedawno opuścił ich zakład.

— Co to za pacjent? Tak czy owak, na pewno...

— Pacjent nazywa się Gregory Banks — przerwał mu Poirot. — Dowiedz się, na jaką chorobę psychiczną go leczono.

— Chcesz powiedzieć, że Gregory Banks jest chory psychicznie?

— Pst! Nie mów tego głośno. A teraz czas na śniadanie. Ja nic jeszcze nie jadłem, ty zapewne też nie.

— Nie, nie jadłem. Martwiłem się...

— No właśnie. Zatem proszę zjeść śniadanie i odpocząć. O dwunastej jest dogodne połączenie z Bury St. Edmunds. Jeśli będę miał jeszcze jakieś wieści, zadzwonię, zanim wyruszysz.

— Uważaj na siebie — rzekł pan Entwistle z troską w głosie.

— Oczywiście. Nie chciałbym zostać uderzony w głowę płytą marmurową. Możesz być pewny, że będę ostrożny. Do usłyszenia!

Pan Entwistle rozłączył się. Poirot odczekał jeszcze chwilę i usłyszał dźwięk ostrożnie odkładanej słuchawki. Ktoś podsłuchiwał z hallu. Poirot wyrwał, ale nikogo już nie było. Cichutko na palcach zbliżył się do kredensu pod schodami i zajrzał tam. Gdy się oddalał, natknął się na Lanscombe'a z tacą, na której stał srebrny czajniczek z kawą i grzanka. Kamerdyner zdziwił się widząc tutaj Poirota.

— Śniadanie już czeka w jadalni, sir — powiedział.

Poirot przyjrzał mu się uważnie. Lanscombe był blady i wyraźnie wstrząśnięty.

— Odwagi — rzekł Poirot klepiąc go po ramieniu. — Wszystko będzie dobrze. Czy nie będzie to za duży kłopot, gdybym prosił o podanie mi kawy w sypialni?

— Nie, sir. Podesłę panu Janet z tacą.

Lanscombe patrzył z wyrzutem na plecy Poirota wspinającego się po schodach. Detektyw ubrany był w egzotyczny szlafrok z jedwabiu w trójkąty i kwadraty!

Cudzoziemcy! — pomyślał z goryczą Lanscombe. — Cudzoziemcy w domu! A pani Helen w szpitalu ze wstrząsem mózgu! Nie wiem, jak to się skończy. Nic się nie układa od śmierci pana Richarda.

Gdy Janet przyniosła kawę, Herkules Poirot był już ubrany. Spojrzała na niego przychylnym okiem, ponieważ zaczął rozmowę od współczucia z powodu szoku, jakiego niewątpliwie doznała znalazłszy panią Helen.

— To prawda, sir. Nigdy nie zapomnę tego uczucia, gdy otworzyłam drzwi, weszłam z odkurzaczem i zobaczyłam panią Abernethie leżącą na podłodze. Myślałam, że nie żyje! Musiała zemdleć, kiedy rozmawiała przez telefon. Dziwne, że dzwoniła tak rano! Nigdy przedtem tego nie robiła.

— Racja, to dziwne — zgodził się Poirot i dodał od niechcienia: — Nikt inny jeszcze nie wstał, prawda?

— Pani Maude już wstała. Zawsze wcześniej jest na nogach i często przed śniadaniem idzie na spacer.

— Wszyscy z jej pokolenia wstają wcześniej — zgodził się Poirot kiwając głową. — Młódzież śpi znacznie dłużej?

— Tak, sir, wszyscy jeszcze spali, kiedy przyniosłam im herbatę. Choć i tak zrobiłam to później niż zwykle, bo po tym szoku i wizycie doktora musiałam wypić filiżankę, żeby się uspokoić.

Janet wyszła, a Poirot zamyślił się nad tym, co powiedziała.

Maude Abernethie już wstała i kręciła się po domu, a młodzi jeszcze spali. Choć to, pomyślał Poirot, o niczym nie świadczy. Każdy mógł podsłuchać, jak Helen otwiera drzwi od sypialni, pójść za nią, podsłuchać rozmowę, a potem udawać, że cały czas spał.

Jeśli mam rację — pomyślał Poirot — a zazwyczaj ją mam, nie ma potrzeby zastanawiać się nad tym. Najpierw muszę poszukać dowodu tam, gdzie, jak sądzę, dowód się znajduje. A potem... zaproszę wszystkich na mały wykład. I zobaczymy, co się stanie.

Poirot szybko opróżnił filiżankę, włożył płaszcz i kapelusz, zbiegł żwawo po schodach i wyszedłszy z domu bocznymi drzwiami udał się na pocztę oddaloną o ćwierć mili. Tam zamówił rozmowę międzymiastową i po chwili rozmawiał z panem Entwhistle'em.

— Tak, to jeszcze raz ja — powiedział. — Proszę zapomnieć o mojej poprzedniej prośbie. *C'était une blague!** Ktoś podsłuchiwał. Teraz, *mon vieux*, prawdziwa prośba. Wsiądź w pociąg i udaj się nie do Bury St. Edmunds, lecz do domu pani Maude Abernethie.

— Ale Timothy i Maude są w „Enderby”.

— Właśnie. W domu nie ma nikogo oprócz kobiety nazwiskiem Jones, która skuła się popilnować domu w trakcie ich nieobecności w zamian za znaczną zapłatę. Chciałbym, abyś zabrał coś z domu.

— Mój drogi Poirot! Przecież nie zniżę się do włamania!

— Nie będzie to wyglądało jak włamanie. Powiesz tej Jones że pan czy pani Abernethie prosili cię o przywiezienie pewnej rzeczy do Londynu. Niczego nie będzie podejrzewała.

— Może i nie. Ale mi się to nie podoba. Dlaczego nie możesz sam tego wziąć?

— Ponieważ, przyjacielu, byłbym dla niej obcy, w dodatku nie-Anglik, a więc tym samym osoba podejrzana. Od razu wyłoniłyby się trudności. W twoim wypadku będzie inaczej.

*fr. to był żart

— No tak, całkiem możliwe. Ale co pomyślą sobie Timothy i Maude, kiedy o tym usłyszą? Znam ich od czterdziestu lat.

— Tak samo długo znałeś Richarda Abernethie'ego. A Corę Lansquenet znałeś od dzieciństwa!

— Jesteś pewien, że to wszystko jest konieczne? — spytał umęczonym głosem prawnik.

— Odwieczne pytanie umieszczane na wojennych plakatach. Zapewniam cię, że jest konieczne. Absolutnie konieczne.

— A co mam zabrać?

Poirot poinformował go, o czym myślał.

— Nie rozumiem, po co...

— Nie musisz tego rozumieć. To moje zadanie.

— A co chcesz, żebym z tym zrobił?

— Weźmiesz to do Londynu i wręczysz osobie mieszkającej w Elm Park. Zapisz adres, jeśli masz ołówek.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Poirot — powiedział pan Entwistle znękanym głosem, gdy schował do kieszeni kartkę z adresem.

— Oczywiście, że wiem. Zbliżamy się do końca.

— Gdybyśmy tylko mogli zgadnąć, co Helen chciała mi powiedzieć — westchnął prawnik.

— Nie musimy zgadywać, ja to wiem — rzekł Poirot.

— Wiesz? Ależ Poirot...

— Wyjaśnienia muszą poczekać. Zapewniam cię jednak, że wiem, co zobaczyła Helen Abernethie, gdy spojrzała do lustra.

II

Śniadanie minęło w kiepskim nastroju. Nie pojawiła się Rosamund ani Timothy, a pozostali rozmawiali przyciszonymi głosami i jedli mniej niż zwykle.

Dobry humor najpierw powrócił George'owi. Był on zresztą z zasady optymistą.

— Mam nadzieję, że ciotka Helen wydobrzeje — powiedział. — Doktorzy zawsze trochę straszą. W końcu wstrząs to nic strasznego. Często ustępuje po kilku dniach.

— Znałam kobietę, która miała wstrząs mózgu w czasie wojny — wtrąciła panna Gilchrist lekkim tonem. — Szła akurat Tottenham Court Road, kiedy spadła jej cegła na głowę. To było w czasie bombardowania. Mówiła, że nic nie czuła. Zemdląła dopiero dwanaście godzin później w pociągu do Liverpoolu. Nie uwierzą państwo, ale nie pamiętała, jak doszła na stację i jak wsiadła do pociągu. Kompletnie nic. Nie mogła tego zrozumieć, kiedy obudziła się w szpitalu. Była tam niemal trzy tygodnie.

— Nie pojmuję — powiedziała Susan — po co i do kogo Helen dzwoniła o tak wczesnej godzinie.

— Źle się poczuła — podsunęła zdecydowanym tonem Maude. — Prawdopodobnie obudziła się, gdyż było jej niedobrze i dzwoniła do lekarza. Nagle zakręciło się jej w głowie i upadła. Inne wyjaśnienie nie ma sensu.

— Pechowo uderzyła głową — rzekł Michael. — Gdyby upadła na gruby dywan, nic by jej się nie stało.

Otworzyły się drzwi i weszła Rosamund.

— Nie mogę znaleźć tych woskowych kwiatów — powiedziała. — Tych, które w dzień pogrzebu wuja Richarda stały na malachitowym stoliku. — Spojrzała oskarżycielsko na Susan. — Nie brałaś ich?

— Oczywiście, że nie! Doprawdy, Rosamund, Helen w szpitalu ze wstrząsem mózgu, a ty myślisz o malachitowych stołach.

— Dlaczego nie miałabym o tym myśleć? Gdy ktoś ma wstrząs, nie wie, co się z nim dzieje, i na niczym mu nie zależy. Dla ciotki Helen i tak nic nie możemy zrobić, a jutro przed obiadem musimy z Michaeliem wracać do Londynu, ponieważ mamy spotkanie z Jackiem Lygo w sprawie premiery *The Baronet's Progress*. Chciałabym więc ustalić coś w związku ze stołem i jeszcze raz przyjrzeć się tym kwiatom. Tu na stole jest całkiem ładna waza chińska, ale to nie tak stylowe. Zastanawiam się, gdzie się podziały. Może Lanscombe będzie wiedział?

Lanscombe właśnie zajrzał, by sprawdzić, czy wszyscy zjedli śniadanie.

— Już skończyliśmy — powiedział George wstając. — Co się stało z naszym obcokrajowcem?

— Dostał kawę i grzankę do pokoju, sir.

— *Petit déjeuner* dla przedstawiciela MKDPU.

— Lanscombe, czy wiesz, gdzie są te woskowe kwiaty, które stały zawsze na zielonym stole w salonie? — spytała Rosamund.

— O ile wiem, upuściła je pani Helen. Miała zamówić nowy klosz, ale nie zdążyła.

— Gdzie to jest?

— Prawdopodobnie w kredensie za schodami. Tam się zazwyczaj chowa rzeczy do naprawy. Czy mam sprawdzić?

— Sama sprawdzę. Chodź ze mną, Michael, kochanie. Tam jest ciemno. Boję się chodzić po ciemnych kątach po tym, co stało się ciotce Helen.

Jej słowa spowodowały gwałtowną reakcję wszystkich zebranych w pokoju.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Rosamund? — spytała Maude.

— Ktoś ją przecież załatwił.

— Zemdlała i upadła — zaprotestował ostro Gregory Banks.

— Tak ci powiedziała? — zadrwiła Rosamund. — Nie bądź głupi, Greg. Oczywiście, że to czyjaś robota.

— Niech cię nie ponosi wyobraźnia!

— Bzdury. Tak właśnie musiało być. Wszystko do siebie pasuje. Detektyw w domu, otrucie wuja Richarda, zabicie ciotki Cory, weselne ciasto panny Gilchrist, a teraz ciotka Helen uderzona w głowę tępym narzędziem. Zobaczycie, że to nie koniec. Będziemy ginąć jeden po drugim i na końcu zostanie tylko morderca. Ale ja nie chcę dać się zabić.

— A dlaczego ktoś miałby chcieć cię zabić, piękna Rosamund? — spytał lekko George.

Rosamund szeroko otworzyła oczy.

— Oczywiście dlatego, że za dużo wiem — powiedziała.

— Co wiesz? — zapytali jednocześnie Maude i Gregory.

Rosamund posłała im swój nic nie mówiący anielski uśmiech.

— Wszyscy chcielibyście wiedzieć. Chodź, Michael.

Rozdział dwudziesty drugi

I

O godzinie jedenastej Poirot zwołał nieformalne zebranie w bibliotece. Przyszli wszyscy. Poirot spojrział na półkole otaczających go twarzą.

— Wczoraj wieczorem — zaczął — pani Shane zdradziła państwu, że jestem prywatnym detektywem. Ja wolałbym nieco dłużej zachować... okreśmy to mianem kamuflażu. Nieważne. Dziś lub jutro i tak odkryłbym prawdę. Proszę uważnie posłuchać tego, co chciałbym państwu powiedzieć.

Jestem w swojej specjalności osobą znaną, powiedziałbym nawet, że najbardziej znaną. Nikt mi nie dorównuje.

George Crossfield uśmiechnął się od ucha do ucha i zauważył:

— O to chodzi, panie Pont... nie, panie Poirot. Dziwne, że nigdy o panu nie słyszałem, prawda?

— To nie dziwne, to godne pożałowania — odpowiedział Poirot. — Brak dziś odpowiedniego wykształcenia. Najwyraźniej wszyscy uczą się wyłącznie ekonomii i sposobu zdawania testu na inteligencję. Ale wróćmy do tematu. Od wielu lat przyjaźnię się z panem Entwhistle'em...

— A, to jego robota!

— Można to i tak określić, panie Crossfield. Pan Entwhistle był przygnębiony śmiercią przyjaciela, pana Richarda Abernethie'ego i słowa pani Lansquet nie dawały mu spokoju. Słowa wypowiedziane w tym właśnie pokoju.

— Cora zawsze była głupia. Pan Entwhistle powinien mieć więcej oleju w głowie i nie zwracać na nią uwagi — powiedziała Maude.

— Jego niepokój wzrósł jeszcze po tragicznym... jak by to określić?... zbiegu okoliczności, który spowodował śmierć pani Lansquet. Pragnął tylko jednego: upewnić się, że jej śmierć była naprawdę przypadkowa. Innymi słowy, chciał mieć pewność, że Richard Abernethie umarł śmiercią naturalną. I mając to właśnie na celu zaangażował mnie do przeprowadzenia koniecznego dochodzenia.

Chwila ciszy.

— Przeprowadziłem je...

Znowu żadnej reakcji.

Poirot odrzucił głowę do tyłu.

— *Eh bien*, będą państwo zapewne zadowoleni z wyniku. Doszedłem do wniosku, że nie ma absolutnie żadnej przyczyny, by przypuszczać, że śmierć pana Richarda Abernethie'ego nie miała przyczyn naturalnych. — Uśmiechnął się. — To dobre wieści, nieprawdaż?

Rodzina nie wydawała się podzielać radości Poirota. Przyglądali się mu bez słowa i w oczach tylko jednej osoby nie wyczytał wątpliwości i niewiary.

Tym wyjątkiem był Timothy Abernethie. Gwałtownie pokiwał głową i rzekł:

— Oczywiście, że Richard nie został zamordowany. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego w ogóle przyszło wam to do głowy. To wszystko były głupie żarty Cory. Chciała was przestraszyć. Miała takie poczucie humoru. Może nie powinienem tego mówić o swojej siostrze, ale prawda jest taka, że zawsze była trochę nienormalna. Panie... nie pamiętam, jak się pan nazywa... cieszę się, że miał pan na tyle rozsądku, by dojść do prawidłowych wniosków, choć przyznam, że zatrudnienie pana było bezczelnością ze strony Entwhistle'a. Jeśli myśli, że zapłaci panu z naszych pieniędzy, to się grubo myli. Bezczelność, na którą nie zasłużyliśmy. Jakie miał prawo? Jeśli rodzina była usatysfakcjonowana...

— Ale rodzina nie była usatysfakcjonowana, wuju Timothy — przerwała mu Rosamund.

— Co mówisz?

Timothy spojrzął na nią nieprzyjemnie spod krzaczastych brwi.

— Nie byliśmy usatysfakcjonowani. A co się stało z ciotką Helen dziś rano?

— W jej wieku zdarzają się ataki — odparła ostro Maude.

— Rozumiem. Uważacie, że to następny zbieg okoliczności. — Rosamund spojrzała na Poirot — Czy nie za dużo tego?

— W końcu zbiegi okoliczności się zdarzają — odrzekł Herkules Poirot.

— Helen źle się poczuła, zeszła na dół, zadzwoniła do lekarza, a potem...

— Nie zadzwoniła do lekarza — zaprotestowała Rosamund. — Pytałam go o to...

— Do kogo w takim razie dzwoniła? — spytała ostro Susan.

— Nie wiem, ale się dowiem — powiedziała Rosamund.

II

Herkules Poirot siedział w wiktoriańskiej altanie. Z kieszeni wyciągnął duży zegarek i położył go przed sobą na stole.

Zapowiedział, że wyjeżdża pociągiem o dwunastej. Miał jeszcze pół godziny. Pół godziny, żeby ktoś mógł się namyślić i przyjść z nim porozmawiać. Może przyjdzie więcej niż jedna osoba. Altana była dobrze widoczna z okien domu. Z pewnością ktoś przyjdzie?

Jeśli nie, będzie to oznaczać, że nie zna dobrze natury ludzkiej i że główne założenie jest nieprawidłowe.

Poirot czekał, a nad jego głową, w pajęczynie siedział czyhający na muchę pajak.

Pierwsza przyszła panna Gilchrist. Była wzburzona, przygnębiona i mówiła bezładnie.

— Och, panie Pontalier... nie pamiętam tego drugiego nazwiska — zaczęła. — Przyszłam wyznać prawdę, chociaż nie jest to miłe, ale uważam to za swój obowiązek. To znaczy po tym, co stało się z panią Helen, i całkiem zgadzam się z panią Shane, że to nie był zbieg okoliczności i na pewno nie atak, jak sugerowała pani Maude, ponieważ mój ojciec miał atak i całkiem inaczej wyglądał, a poza tym doktor wyraźnie powiedział — wstrząs mózgu!

Urwała i spojrzała błagalnie na Poirota.

— Tak? — zachęcił ją detektyw. — Chce mi pani coś powiedzieć?

— Jak już mówiłam, robię to niechętnie, ponieważ ona była taka dla mnie dobra. Znalazła mi pracę u pani Maude i w ogóle. Naprawdę bardzo miła. Dlatego czuję się jak niewdzięcznica. Dała mi nawet futerko z piżmoszczurów pani Lansquet, takie ładne i tak dobrze leży, a w końcu lepiej, jeśli futro jest trochę za duże niż odwrotnie. A kiedy postanowiłam jej oddać broszkę z ametystami, nawet nie chciała o tym słyszeć...

— Mówi pani — wtrącił Poirot — o pani Banks?

— Tak, widzi pan — panna Gilchrist spuściła oczy i nerwowo wykręcała sobie palce. Nagle podniosła wzrok, przełknęła ślinę i rzekła: — Widzi pan, ja to słyszałam.

— Chce pani powiedzieć, że przypadkowo usłyszała pani rozmowę...

— Nie — panna Gilchrist z heroicznym samozaparciem potrząsnęła głową. — Powiem prawdę. Będzie mi łatwiej, bo nie jest pan Anglikiem.

Herkules Poirot zrozumiał, co miała na myśli, ale się nie obraził.

— Chce pani powiedzieć, że dla obcokrajowca jest zupełnie naturalne, że się podsłuchuje rozmowy i czyta cudze listy?

— Och, nigdy nie przeczytałabym cudzego listu! — zawołała wstrząśnięta panna Gilchrist. Ale podsłuchiwałam pod drzwiami tego dnia, kiedy pan Abernethie przyjechał odwiedzić swoją siostrę. Byłam ciekawa, pojawił się tak niespodziewanie po tylu latach. Zastanawiałam się, dlaczego przyjechał, a poza tym, widzi pan, gdy nie ma się własnego życia ani wielu przyjaciół, zaczyna się interesować tym, z kim się mieszka...

— Całkiem naturalne — powiedział Poirot.

— Tak, to naturalne, chociaż oczywiście mało chwalebne. Ale to właśnie zrobiłam! I słyszałam, co powiedział!

— Słyszała pani, co pan Abernethie powiedział pani Lansquet?

— Tak. Powiedział coś takiego: „Nie ma sensu rozmawiać z Timothyem. Nie zechce słuchać. Pomyślałem, że powiem tobie, Coro. Tylko my zostaliśmy. I choć zawsze lubiłaś udawać, że jesteś głupsza niż w rzeczywistości, masz dużo zdrowego rozsądku. Co byś zatem zrobiła na moim miejscu?”

Nie słyszałam, co odpowiedziała pani Lansquet, ale usłyszałam słowo „policja”. Na to pan Abernethie wybuchnął: „Nie mogę tego zrobić! Przecież chodzi o moją bratanicę!” Tutaj musiałam szybko biec do kuchni, bo coś kipiało, a kiedy wróciłam, pan Abernethie mówił: „Nawet jeśli nie umrę śmiercią naturalną, nie chcę, o ile to możliwe, aby zawiadamiano policję. Rozumiesz to, prawda, moja droga? Nie martw się. Teraz, kiedy wiem, będę się pilnował.” Potem mówił, że zrobi nowy testament i że nie zapomni o Corze. A potem, że była z mężem całkiem szczęśliwa i że musiał się pomylić co do niego.

— A więc to tak — powiedział Poirot, gdy panna Gilchrist skończyła.

— Nigdy nie chciałam tego zdradzić. Pani Lansquet nie życzyłaby sobie... ale teraz, kiedy ktoś zaatakował panią Helen, a pan spokojnie mówi, że to zbieg okoliczności... Panie Pontarlier, to nie był zbieg okoliczności!

Poirot uśmiechnął się.

— Nie, to nie był zbieg okoliczności... Dziękuję bardzo, panno Gilchrist, że przyszła pani do mnie. To było bardzo ważne.

III

Poirot pozbył się panny Gilchrist z niejaką trudnością. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie poszła, gdyż oczekiwał dalszych gości.

Miał rację. Ledwie oddaliła się panna Gilchrist, do altanki wkroczył Gregory Banks. Był blady, na czole perlił mu się pot, a w oczach kryło się dziwne podniecenie.

— Nareszcie! — zawołał. — Myślałem, że ta głupia kobieta nigdy nie pójdzie. Nie ma pan racji w tym, co mówił pan dziś rano. Richard Abernethie został zamordowany. Ja go zabiłem.

Herkules Poirot zmierzył młodego mężczyznę wzrokiem od góry do dołu. Nie okazał zdziwienia.

— Ach, zatem zabił go pan. W jaki sposób?

Gregory Banks uśmiechnął się.

— Nie było to dla mnie trudne, jak z pewnością pan się spodziewał. Jest kilkanaście rodzajów różnych narkotyków, które bez problemu mogę zdobyć. Trochę trudniej było obmyślić metodę zaaplikowania mu lekarstw, ale w końcu wpadłem na doskonały pomysł. Najważniejsze, że wcale nie musiałem znajdować się w pobliżu.

— Mądrze to pan wykombinował — rzekł Poirot.

— Tak — przyznał Gregory Banks skromnie spuszczać wzrok. — To było naprawdę pomysłowe.

— Dlaczego pan go zabił? — spytał Poirot. — Dla pieniędzy, które miała odziedziczyć pana żona?

— Nie, naturalnie że nie! — zaprzeczył Greg z oburzeniem — Nie jestem chciwy. Nie ożeniłem się z Susan dla pieniędzy!

— Naprawdę?

— On tak właśnie myślał! — wyrzucił z siebie Greg z nagłą złością. — Richard Abernethie! Lubił Susan, podziwiał ją, był z niej dumny, uważał ją za chlubę rodziny! Ale uważał też, że popełniła megalomanię. Pogardzał mną! Nie miałem odpowiedniego akcentu i nie potrafiłem nosić ubrań jak trzeba. Był snobem, paskudnym snobem! Taki właśnie był! — Głos Grega podniósł się histerycznie. — Miał mnie za nic! Drwił ze mnie! Oczywiście był grzeczny, ale wiedziałem, że naprawdę wcale mnie nie lubi.

— To możliwe.

— Nikomu nie wolno bezkarnie traktować mnie w ten sposób. Już parę osób próbowało! Kobieta, która przychodziła do apteki. Była dla mnie niegrzeczna. Wie pan, co zrobiłem?

— Tak — odparł Poirot.

Gregory zdziwił się.

— A więc pan wie?

— Tak.

— O mało nie umarła. — Greg wydawał się zadowolony. — Sam pan widzi, że nie warto mnie lekceważyć. Richard Abernethie pogardzał mną — i jak skończył? Nie żyje.

— Udane morderstwo — przyznał Poirot poważnie. — Dlaczego jednak pan ujawnia się przede mną?

— Ponieważ powiedział pan, że skończył pan dochodzenie i doszedł do wniosku, że on nie został zamordowany. Chciałem panu wykazać, że nie jest pan tak mądry, jak pan myśli, a poza tym... poza tym...

— Co poza tym?

Greg opadł nagle na ławkę. Jego twarz przeobraziła się. Wydawało się, że wpadł w ekstazę.

— To, co zrobiłem, jest niegodziwe, muszę zostać ukarany... muszę tam wrócić, na miejsce kary... odpokutować. Tak, muszę odpokutować! Żałować za grzechy! Zadośćuczynić!

Twarc Grega promieniała. Poirot przez chwilę przyglądał się mu ciekawie.

— Bardzo chce pan uciec od żony? — spytał w końcu.

Twarz Grega znowu się zmieniła.

— Od Susan? Susan jest cudowna, naprawdę cudowna!

— Tak, jest cudowna. To bywa ciężkie do zniesienia. I bardzo pana kocha. Czy to też ciężko znieść?

Gregory spoglądał przez chwilę na Poirota, po czym powiedział, zupełnie jak nadąsane dziecko:

— Dlaczego ona nie chce zostawić mnie w spokoju?

Poderwał się na równe nogi.

— Idzie tutaj trawnikiem. Już sobie pójdę. Pan jej powie to, co panu zdradziłem? Proszę jej powiedzieć, że poszedłem na policję przyznać się do wszystkiego.

IV

Susan wpadła bez tchu do altanki.

— Gdzie jest Greg? Był tu, widziałam go!

Poirot chwilę milczał, po czym rzekł:

— Przyszedł mi powiedzieć, że otruł Richarda Abernethie'ego...

— Co za bzdury! Mam nadzieję, że mu pan nie uwierzył.

— Dlaczego miałem mu nie uwierzyć?

— Nie było go tu, kiedy umarł wuj Richard!

— Być może ma pani rację. A gdzie był, kiedy zginęła Cora Lansquenet?

— W Londynie. Razem ze mną.

Poirot potrząsnął głową.

— Nie, nie, proszę mówić prawdę. Pani na przykład wyjechała tego dnia samochodem na całe popołudnie. Myślę, że wiem, gdzie pani była. W Lytchett St. Mary.

— Nieprawda!

Poirot uśmiechnął się.

— Gdy tu panią spotkałem, widziałem panią, tak jak to pani powiedziałem, po raz drugi. Pierwszy raz widziałem panią po przesłuchaniu na stacji obsługi obok „King's Arms”. Rozmawiała pani z mechanikiem koło samochodu, w którym siedział starszy mężczyzna, obcokrajowiec. Nie zauważyła go pani, ale on panią zauważył.

— Nie rozumiem pana. To przecież był dzień przesłuchania.

— Proszę sobie przypomnieć, co powiedział mechanik. Zapytał, czy jest pani krewną ofiary, a pani powiedziała, że była pani jej bratanicą.

— Gapił się na mnie. Jak zresztą wszyscy.

— A potem powiedział: „Zastanawiałem się, gdzie już panią widziałem”. Gdzie wcześniej mógł panią zobaczyć? Musiało to być w Lytchett St. Mary, ponieważ fakt,

że panią widział, kojarzył mu się z pani pokrewieństwem z panią Lansquet. Czy widział panią koło jej domu? Kiedy? Trzeba było zbadać tę sprawę. Z jakim skutkiem? Oto okazuje się, że w dzień morderstwa, po południu, była pani w Lytchett St. Mary. Zaparkowała pani samochód przy tym samym kamieniołomie co w dzień przesłuchania. Samochód tam widziano i numer się zgadza. Od tej pory inspektor Morton wie już, czyj był to samochód.

Susan utkwiała wzrok w Poirocie. Oddychała szybko, ale nie wydawała się zaniepokojona.

— Mówi pan bzdury, panie Poirot. Przez pana zapomniałam, po co tu przyszedłam. Chciałam zastać pana samego...

— Żeby wyznać, że to pani popełniła zbrodnię, a nie mąż?

— Nie, oczywiście, że nie. Ma mnie pan za głupią? Już mówiłam, że Gregory tego dnia nie wyjeżdżał z Londynu.

— Nie może pani tego wiedzieć na pewno, skoro tego dnia pani wyjechała. Po co udała się pani do Lytchett St. Mary?

Susan wzięła głęboki oddech.

— W porządku, powiem panu, skoro pan nalega. Martwiłam się tym, co powiedziała Cora podczas pogrzebu. Cały czas o tym myślałam. W końcu postanowiłam pojechać do niej i spytać, dlaczego to powiedziała. Greg uważał, że to głupi pomysł, więc mu nawet nie mówiłam, że jadę. Przyjechałam tam o trzeciej, pukałam i dzwoniłam do drzwi, ale nikt nie odpowiadał, więc pomyślałam, że nie ma jej w domu. To wszystko. Nie obeszłam domu dookoła. Gdybym to zrobiła, zapewne dostrzegłabym wybite okno. Wróciłam do Londynu nie mając pojęcia, co się tam wydarzyło.

— Dlaczego pani mąż oskarża siebie o zbrodnię?

— Ponieważ jest... — Susan wahała się chwile, ale nie dokończyła zdania.

— Chciała pani powiedzieć: „Ponieważ jest szalony”, ale ten żart jest zbyt podobny do prawdy.

— Z Gregiem jest wszystko w porządku. Absolutnie w porządku.

— Znam trochę jego przeszłość. Zanim panią spotkał, spędził siedem miesięcy w szpitalu dla chorych nerwowo.

— Poszedł tam dobrowolnie. Nie ma papierów.

— To prawda. Zgadza się z panią, że nie jest obłąkany. Z całą pewnością jednak jest niezrównoważony. Cierpi na kompleks winy. Sądzę, że to pozostałość z dzieciństwa.

— Nic pan nie rozumie, panie Poirot. Greg nigdy nie miał szansy w życiu. Właśnie dlatego tak bardzo potrzebowałam pieniędzy wuja Richarda. Wuj był taki konkretny, też nie mógł zrozumieć. Greg musi mieć jakąś pozycję, nie może bez końca być pomocnikiem w aptece, musi czuć, że jest kimś. Teraz wszystko się zmieni. Będzie miał własne laboratorium. Będzie mógł sam opracowywać nowe przepisy.

— Tak, tak, nieba mu pani przychyli, bo go pani kocha. Kocha go pani za bardzo, by zapewnić sobie bezpieczeństwo czy szczęście. Nie można ludziom dać tego, czego nie są w stanie przyjąć. A on cały czas będzie tym, kim nie chce być...

— To znaczy?

— Mężem Susan.

— Jest pan okrutny! I gada pan bzdury!

— Gdy chodzi o Grega nie ma pani skrupułów. Pragnęła pani pieniędzy wuja. Nie dla siebie, dla męża. Jak bardzo ich pani pragnęła?

Susan odwróciła się ze złością i czym prędzej się oddaliła.

V

— Pomyślałem — powiedział lekko Michael Shane — że przyjdę się pożegnać.

Uśmiechnął się swoim szczególnie ujmującym uśmiechem.

Poirot chwilę przypatrywał mu się w milczeniu. Wydawało mu się, że ze wszystkich ludzi zgromadzonych w domu jego poznał najmniej, gdyż Michael Shane potrafił pokazywać tylko tę stronę swojej osobowości, którą chciał pokazać.

— Pana żona — zaczął gawędziarsko Poirot — jest niezwykłą kobietą.

Michael uniósł brwi.

— Naprawdę tak pan myśli? Jest śliczna, to przyznaję. Ale nie odznacza się zbytnim rozumem.

— Nigdy nie będzie próbowała udawać inteligentniejszej, niż jest w istocie. Ale zawsze dostanie to, czego zapagnie. — Westchnął. — Niewielu to osiąga.

— Myśli pan o malachitowym stoliku? — Uśmiechnął się znowu.

— Może. — Po chwili dodał: — I o tym, co na nim stało.

— O woskowych kwiatach?

— O woskowych kwiatach.

Michael zmarszczył brwi.

— Nie zawsze pana rozumiem, panie Poirot. Jednak cieszę się, że dzięki panu sytuacja się wyjaśniła. Bez przesady mogę powiedzieć, że nie jest miło podejrzewać, że ktoś z rodziny zabił biednego wuja Richarda.

— Tak go pan odebrał, kiedy się spotkaliście? Biedny wuj Richard?

— Oczywiście, że dobrze się trzymał i w ogóle...

— Był zdrowy na ciele i umyśle...

— No właśnie.

— Prawdę mówiąc, całkiem sprytny?

— Tak mi się wydawało.

— Znał się na ludziach.

Z twarzy Michaela nie schodził uśmiech.

— Nie oczekuje pan chyba, że się z tym zgodzę? Mnie nie lubił.

— Może uważał, że nie jest pan wiernym mężem?

Michael zaśmiał się.

— Co za przestarzałe poglądy!

— Ale to prawda?

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Przeprowadzono dochodzenie — mruknął.

— Kto? Pan?

— Nie tylko ja.

Michael Shane omiół go szybkim spojrzeniem. Jak Poirot zauważył, miał refleks. I nie był głupcem.

— Policja też?

— Nigdy nie pogodzili się z myślą, że morderstwo Cory Lansquenet było przypadkową zbrodnią.

— I wzięli mnie na tapetę?

— Interesowali się tym, co w dniu śmierci pani Lansquenet robili jej wszyscy krewni — odparł Poirot

— To stawia mnie w niezwykle kłopotliwej sytuacji.

— Naprawdę, panie Shane?

— Bardziej niż pan sobie wyobraża! Powiedziałem Rosamund, że byłem na obiedzie z jakimś Oscarem Lewisem.

— Tymczasem wcale pan tam nie był?

— Nie. Pojechałem spotkać się z Sorrel Dainton. To bardzo znana aktorka. Razem graliśmy w ostatniej sztuce. Sam pan widzi, że sytuacja jest trudna. Może policję to zadowolą, ale nie Rosamund.

— Rozumiem. — Poirot wyglądał jak wcielenie dyskrecji. — Wasza przyjaźń napotkała jakieś kłopoty?

— Tak... Rosamund zmusiła mnie, bym przyrzekł, że się z nią więcej nie będę widywał.

— To rzeczywiście nieprzyjemna sytuacja... A tak *entre nous*, miał pan romans z tą panią?

— Przelotny. Nigdy mi na niej szczególnie nie zależało.

— Ale jej zależy na panu?

— Jest trochę męcząca... Kobiety tak się przyzwyczajają. Jednak mówi pan, że policja będzie usatysfakcjonowana.

— Tak pan myśli?

— Nie mogłem przecież latać z siekierą po domu Cory, jeśli w tym samym czasie byłem z Sorrel w zupełnie innej miejscowości. Ona ma dom w Kencie.

— Rozumiem, rozumiem... Panna Dainton potwierdzi pańskie słowa?

— Niechętnie, ale w końcu chodzi o morderstwo, więc będzie chyba musiała to zrobić.

— Może nawet potwierdzi, mimo że pana u niej nie było?

— Co to znaczy? — Michael stracił humor. Wyglądał jak chmura gradowa.

— Zależy jej na panu. Kochające kobiety potwierdzą wszystko, co mówią ich mężczyźni, nawet jeśli to nie jest prawdą.

— Daje mi pan do zrozumienia, że mi pan nie wierzy?

— Nieważne, czy ja panu wierzę. To nie mnie musi pan przekonać.

— A kogo?

Poirot uśmiechnął się.

— Inspektora Mortona... który właśnie wchodzi na taras.

Michael Shane odwrócił się gwałtownie.

Rozdział dwudziesty trzeci

I

Inspektor Morton i Herkules Poirot przechadzali się po tarasie.

— Słyszałem, że pan tu jest, panie Poirot — powiedział inspektor Morton. — Przyjechałem z nadinspektorem Parwellem z Matchfield. Doktor Larraby zadzwonił do niego w sprawie pani Helen Abernethie i nadinspektor postanowił przeprowadzić na miejscu dochodzenie. Lekarz miał jakieś wątpliwości.

— A pan, przyjacielu, co robi tak daleko od rodzinnego Berkshire?

— Chciałem zadać kilka pytań osobom, które — jak się szczęśliwie dla mnie składa — akurat tutaj się zebrały. — Urwał, a po chwili dodał: — To pańska robota?

— Tak, moja.

— I w efekcie pani Helen Abernethie dostaje po głowie.

— Nie można mnie o to winić. Gdyby przysłała do mnie... Ale nie przysłała. Zamiast tego zadzwoniła do Londynu do swego prawnika.

— I podczas dzielenia się tajemnicą... dostała po głowie.

— Właśnie.

— I co mu powiedziała?

— Niewiele. Dotarła do momentu, kiedy przyglądała się sobie w lustrze.

— No cóż — powiedział filozoficznie inspektor — kobiety to właśnie robią.

— Spojrzał uważnie na Poirota. — Coś panu to mówi?

— Myślę, że wiem, co miała zamiar powiedzieć.

— Zagadki to pańska specjalność, nieprawdaż? O co zatem chodziło?

— Proszę wybaczyć moje pytanie, ale czy prowadzi pan dochodzenie w sprawie śmierci Richarda Abernethiego?

— Oficjalnie nie. Nieoficjalnie przyznam, że tak, o ile ma to wpływ na morderstwo Cory Lansquenet.

— Owszem, ma wpływ. Proszę jednak, przyjacielu, dać mi jeszcze kilka godzin. Do tej pory powinienem już wiedzieć, czy to, co sobie wyobraziłem — wyobraziłem powtarzam — jest prawdą. Jeśli jest...

— To co?

— Będę w stanie dostarczyć konkretnych dowodów.

— Przydałyby się — powiedział inspektor z uczuciem i spojrzął spod oka na Poirota. — Co tak pieczołowicie pan ukrywa?

— Nic, absolutnie nic. Dowód, o którym myślę, może wcale nie istnieć. Wydedukowałem jego istnienie ze strzępów rozmów. Może się zdarzyć — powiedział Poirot mało przekonującym tonem — że się mylę.

Morton uśmiechnął się.

— Nieczęsto panu się to zdarza?

— Nie. Aczkolwiek jestem zmuszony przyznać, że się zdarzyło.

— Z radością to słyszę! Musi być trochę nudne mieć zawsze rację.

— Nie zgadzam się z tym — sprzeciwił się Poirot.

Inspektor Morton roześmiał się.

— Prosi mnie pan, bym wstrzymał się na razie z przeprowadzeniem przesłuchania?

— Ależ nie! Proszę robić to, co zaplanowano. Sądzę, że nie miał pan jeszcze zamiaru nikogo aresztować?

Morton potrząsnął głową.

— Za mało dowodów. Najpierw musimy uzyskać zgodę prokuratora, a do tego jeszcze daleko. Na razie chcę tylko zapytać niektóre osoby, co robiły pewnego dnia. W jednym wypadku muszę być bardzo ostrożny.

— Susan Banks?

— Owszem. Była tam tego dnia. Samochód zaparkowała przy kamieniołomie.

— Nikt nie widział jej w środku?

— Nie. Nie przyznała się, że była tam tego dnia. Musi to wyjaśnić.

— Nietrudno jej to przyjdzie — zauważył sucho Poirot.

— Tak. Sprytna dziewczyna. Może trochę zbyt sprytna.

— Niemądrze jest być zbyt sprytnym. Dzięki temu łapie się zbrodniarzy. A coś nowego o George'u Crossfieldzie?

— Nic konkretnego. Nie rzuca się w oczy. Tysiące takich jak on podróżuje pociągami, autobusami i na rowerach. Po upływie tygodnia ludziom trudno sobie przypomnieć, czy daną osobę widzieli we wtorek czy w środę.

Zamilkł na moment, po czym podjął na nowo:

— Dokopaliśmy się za to do czegoś bardzo dziwnego. Matka przełożona z któregoś zakonu mówi, że wysłała siostrzyczki, żeby chodziły od domu do domu i zbierały pieniądze na jakiś cel. Podobno poszły do domu pani Lansquenet, było to dzień przed tym, jak została zamordowana. Dzwoniły i pukały, ale nikt nie otworzył. Nic dziwnego: ona była na północy kraju, a Gilchrist dostała wychodne i pojechała na wycieczkę

do Bournemouth. Tymczasem one mówią, że w domu ktoś był. Słyszały jęki. Pytałem, czy to przypadkiem nie było dzień później, ale matka przełożona jest pewna swego. Ma to gdzieś zapisane. Kto to mógł być? Może ktoś przeszukiwał mieszkanie korzystając z okazji, że obu kobiet nic było w domu? I wrócił następnego dnia, bo nic nie znalazł? Nic z tych jęków nie mogę wydedukować. Nawet zakonnice mają wyobraźnię, a dom, w którym popełniono morderstwo, aż się prosi o jęki! Pytanie, czy w środku był ktoś niepowołany? A jeśli był, to kto? Wszyscy Abernethie'owie byli na pogrzebie.

— Czy zakonnice, które kwestowały w tej okolicy — spytał niewinnie Poirot — wróciły później, żeby jeszcze raz spróbować szczęścia?

— Tak, po około tygodniu. Zdaje się że w sam dzień przesłuchania.

— Zatem wszystko się zgadza — powiedział Poirot.

Morton spojrział na niego niedowierzająco.

— Skąd to zainteresowanie zakonnicami?

— Musiałem się nimi zainteresować. Czy zapomniał pan, przyjacielu, że zakonnice przysły tego samego dnia, kiedy do domku dostarczono zatrute ciasto weselne?

— Czyżby... ależ to śmieszne!

— Moje pomysły nigdy nie są śmieszne — powiedział Herkules Poirot. — A teraz, *mon cher*, muszę zostawić pana jego obowiązkom. Sam udam się na poszukiwanie spadkobierczyni Richarda Abernethie'ego.

— Proszę uważać, co mówi pan do Susan Banks.

— Nie ją miałem na myśli.

II

Poirot znalazł Rosamund na ławce nad strumieniem. W tym miejscu tworzył wodospad i ginął w gąszczu rododendronów. Rosamund siedziała wpatrzona w wodę.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam Ofelii — rzekł Poirot siadając koło niej. — Uczy się pani roli?

— Tylko raz grałam Szekspira. Byłam Jessiką w *Kupcu weneckim*. Paskudna rola.

— Ale nie bez patosu: „Kiedy słucham muzyki, choćbym była najweselsza, cichnę”*. Cóż za los musiała dźwigać na swoich barkach biedna Jessica, córka znienawidzonego i pogardzanego Żyda. Co musiała przeżywać, gdy uciekając do kochanka zabrała ojcowskie dukaty. Jessica ze złotem to jedno, Jessica bez złota to mogłoby być coś całkiem innego.

Rosamund odwróciła głowę i spojrzała na Poirota.

— Myślałam, że pan już pojechał — powiedziała z wyrzutem. Spojrzała na zegarek. — Jest już po dwunastej.

*William Shakespeare, *Kupiec wenecki*, tłum. Stanisław Barańczak

— Spóźniłem się na pociąg.

— Dlaczego?

— Myśli pani, że zrobiłem to celowo?

— Tak sądzę. Jest pan punktualny. Gdyby chciał pan zdążyć na pociąg, zdążyłby pan.

— Potrafi pani bezbłędnie oceniać ludzi, *madame*. Czy pani wie, że siedziałem w al-tance mając nadzieję, że pani przyjdzie?

Rosamund spojrzała na niego zdziwiona.

— Dlaczego miałabym przyjść? Pożegnaliśmy się wszyscy w bibliotece.

— Właśnie. Czy nic więcej nie chciała mi pani powiedzieć?

— Nie. — Rosamund potrząsnęła głową. — Mam wiele do przemyślenia.

— Rozumiem.

— Nieczęsto myślę. Wydaje mi się to stratą czasu. Ale to jest ważne. Myślę, że powinno się zaplanować życie tak, jak się chce, żeby się układało.

— I to właśnie pani robi?

— Tak... próbuję podjąć pewną decyzję.

— Dotyczącą męża?

— W pewnym stopniu.

Poirot umilkł. Po chwili rzekł:

— Inspektor Morton przyjechał. To ten policjant, który zajmuje się sprawą śmierci pani Lansquet. Chce od was wszystkich zeznania na temat tego, co robiliście w dniu, kiedy została zamordowana.

— Aha, alibi — rzekła wesołym tonem Rosamund.

Jej piękna twarz rozjaśniła się diabelskim uśmiechem.

— Michael ciężko to przeżyje. Myśli że nie wiem, że tego dnia był z tą kobietą.

— Skąd pani wie?

— Z tonu, jakim wspomniał, że idzie na obiad z Oscarem. To było oczywiste. Powiedział to tak zdawkowo i nos mu lekko drgał, jak zawsze, kiedy kłamie.

— Jestem wdzięczny niebiosom, że nie jest pani moją żoną, *madame*.

— Potem się oczywiście upewniłam dzwoniąc do Oscara. Mężczyźni zawsze wymyślają takie głupie kłamstwa!

— Pani mąż nie jest zbyt wierny? — zaryzykował pytanie Poirot.

Rosamund nie obraziła się.

— Nie jest — przyznała.

— A pani nie ma nic przeciwko temu?

— To jest nawet zabawne, kiedy ma się męża, którego wszystkie inne kobiety pragną dla siebie. Nie chciałabym mieć takiego, za którym nikt się nawet nie obejrzy, tak jak Susan. Greg jest całkiem do niczego!

Poirot przyglądał się jej.

— A gdyby komuś się udało... zabrać go pani?

— Nie uda się. Nie teraz. — dodała.

— To znaczy...?

— Teraz, kiedy mam pieniądze wuja Richarda. Michael łatwo się zakochuje... ta Sorrel Dainton niemal go złowiła, ale dla niego teatr zawsze będzie miał pierwszeństwo. Teraz może naprawdę zrobić własne przedstawienie. Być producentem i aktorem. Jest ambitny i naprawdę dobry. Nie tak jak ja. Uwielbiam grać, ale nie mam wielkiego talentu, choć dobrze wyglądam. Nie, o Michaela się nie martwię. Bo to ja mam pieniądze.

Spojrzała Poirotowi prosto w oczy. Pomyślał, jakie to dziwne, że obydwie młode kobiety zakochały się głęboko w mężczyznach niezdolnych odwzajemnić ich miłość. A przecież Rosamund była piękna, Susan też była atrakcyjna i miała w sobie *sex appeal*. Susan potrzebowała złudzenia, że Gregory ją kocha. Bystra Rosamund nie miała tego złudzenia, ale wiedziała, czego chce.

— Chodzi o to — powiedziała Rosamund — że muszę podjąć ważną decyzję dotyczącą przyszłości. Michael jeszcze nie wie. — Uśmiechnęła się. — Dowiedział się, że tego dnia nie robiłam zakupów i podejrzliwie na mnie patrzył, kiedy powiedziałam mu, że byłam w Regent's Park.

— O co chodzi z Regent's Park? — spytał zdeorientowany Poirot.

— Poszłam tam po wizycie na Harley Street. Chciałam się przejść i pomyśleć. Oczywiście Michael myśli, że jeśli tam poszłam, to tylko po to, by spotkać się z mężczyzną.

Rosamund uśmiechnęła się pięknie i dodała:

— Nie podobało mu się to.

— Dlaczego nie miałyby pani pójść do parku? — spytał Poirot.

— Tylko się przejść, to pan ma na myśli?

— Tak. Nigdy pani tego nie robi?

— Nie. Po co? Po co miałabym iść do Regent's Park?

Poirot spojrzał na nią i odparł:

— Pani — po nic. — I dodał: — myślę, *madame*, że powinna pani odstąpić malachitowy stół kuzynce.

— Dlaczego? Ja go też chcę!

— Wiem, wiem. Ale pani zostanie z mężem, a ona — nie.

— Uważa pan, że Greg ją opuści dla jakiejś kobiety? Nie wygląda na to.

— Niewierność nie jest jedynym sposobem utraty męża, *madame*.

— Nie chce pan powiedzieć... — Rosamund wpatrywała się w Poirota szeroko otwartymi oczyma — nie myśli pan, że Greg otruł wuja Richarda, zabił ciotkę Corę i uderzył w głowę ciotkę Helen? To śmieszne. Nawet ja wiem, że to nieprawda.

— Kto to zatem zrobił?

— Oczywiście, że George. George zawsze był śliski, a teraz jest jeszcze zamieszany w jakiś finansowy szwindel. Słyszałam to od kogoś, kto był w Monte Carlo. Myślę, że wuj Richard dowiedział się o tym i chciał go wydziedziczyć.

— Zawsze wiedziałam, że to George — powtórzyła Rosamund z zadowoleniem.

Rozdział dwudziesty czwarty

I

Telegram przyszedł o szóstej wieczorem.

Jak sobie tego zażyczył nadawca, treści nie podano telefonicznie, lecz doręczył go specjalny posłaniec. Herkules Poirot cały czas czatował niecierpliwie koło drzwi i był pod ręką, ledwie Lanscombe odebrał telegram.

Bez zwyczajnej u siebie powściągliwości rozerwał druk. Telegram zawierał trzy słowa i podpis.

Poirot westchnął z ulgą. Wyjął z kieszeni banknot jednofuntowy i wręczył go zdumionemu chłopcu.

— Są takie chwile — rzekł do Lanscombe'a — kiedy należy być hojnym.

— Możliwe, sir — przyznał grzecznie kamerdyner.

— Gdzie jest inspektor Morton?

— Jeden z policjantów — powiedział z niesmakiem Lanscombe tonem sugerującym, że nie sposób pamiętać ich nazwisk — wyszedł. Drugi jest, jak mi się wydaje, w gabinecie.

— Doskonale — rzekł Poirot. — Idę do niego.

Poklepał Lanscombe'a po ramieniu i dorzucił: — Odwagi, zaraz będziemy w domu.

Stary służący popatrzył na niego nieco zdezorientowany, gdyż nikt nie zapowiadał tak szybkiego wyjazdu.

— To jednak chce pan wyjechać pociągiem o wpół do dziesiątej? — zapytał.

— Taką mam nadzieję.

Poirot już odchodził, ale nagle odwrócił się na pięcie i rzekł:

— Ciekaw jestem, czy pamięta pan, jakie były pierwsze słowa, które pani Lansquenet skierowała do pana po przyjeździe do domu w dzień pogrzebu?

— Bardzo dobrze pamiętam, sir — odparł Lanscombe z rozjaśnioną twarzą. — Panna Cora... przepraszam, pani Lansquenet — nie wiem, czemu zawsze myślę o niej jako o panience Corze...

— To naturalne.

— Powiedziała do mnie: „Dzień dobry, Lanscombe. Już dużo czasu minęło, odkąd przynosiłeś nam bezy do chatki”. Dzieci miały własną chatkę w parku, koło ogrodzenia. W lecie, kiedy wydawano przyjęcie, wynosiłem panienom i paniczom — tym młodszym, oczywiście — bezy. Panienska Cora bardzo je lubiła.

Poirot skinął głową.

— Tak jak myślałem. To bardzo typowe — rzekł.

W gabinecie bez słowa podał telegram inspektorowi Mortonowi.

Morton przeczytał go i rzekł:

— Nie rozumiem z tego ani słowa.

— Nadszedł czas, by panu wszystko powiedzieć.

Inspektor Morton wyszczerzył zęby.

— Powiedział to pan jak młoda panienska w sztuce wiktoriańskiej. Najwyższy czas, żeby coś wyjaśnić. Nie mogę już dłużej. Ten Banks upiera się, że to on otrął Richarda Abernethie'ego i chwali się, że nie dojdziemy do tego, jak to zrobił. Nie pojmuję, dlaczego zawsze znajdzie się jakaś osoba, która twierdzi, że to ona zamordowała ofiarę. Co taki ktoś sobie myśli? Nie jestem w stanie tego zrozumieć.

— W tym wypadku może chce uniknąć odpowiedzialności za siebie.

— Czy on to naprawdę zrobił, Poirot? Ta Gilchrist wyskoczyła z tą historią o bratanicy, a to dobrze pasuje do tego, co o niej myślał Richard Abernethie. Jeśli zrobił to mąż, i tak byłaby w to zamieszana. Jakoś jednak nie mogę sobie wyobrazić, by ta dziewczyna popełniła tyle zbrodni. Ale oczywiście zrobiłaby wiele, by go ochronić.

— Powiem wszystko...

— Niech pan mówi, i na litość boską, szybko!

II

Tym razem Poirot zebrał wszystkich w dużym salonie. W skierowanych ku niemu twarzach malowało się raczej rozbawienie niż napięcie. Zagrożenie stanowiła policja reprezentowana tu przez inspektora Mortona i nadinspektora Parwella i w porównaniu z nimi Herkules Poirot, detektyw prywatny, wydawał się mało poważny.

Timothy wyraził opinię wszystkich na ten temat, kiedy scenicznym szeptem powiedział do swojej żony:

— Przeklęty hochsztapler! Entwhistle musi być naprawdę zramolały, skoro go tu przysłał.

Herkules Poirot pomyślał, że będzie musiał się mocno wysilić, żeby wyrzucić na zebranych odpowiednie wrażenie.

— Po raz drugi ogłaszam swój odjazd — zaczął pompatycznie. — Dziś rano powiedziałem, że jadę pociągiem o dwunastej. Teraz mówię, że wyjeżdżam o wpół do dziesiątej, to znaczy zaraz po kolacji. Jadę, ponieważ nie ma tu już nic dla mnie do roboty.

— Mogłem mu to powiedzieć na samym początku — znów wtrącił szeptem Timothy. — Nigdy nie miał tu nic do roboty. Niektórzy są doprawdy bezczelni!

— Przyjechałem tu rozwiązać zagadkę. Rozwiązałem ją. Proszę mi pozwolić przedstawić państwu to, co zwróciło moją uwagę w opowiadaniu pana Entwhistle'a.

Po pierwsze, nagła śmierć Richarda Abernethie'ego. Po drugie, po pogrzebie jego siostra, Cora, mówi: „Został zamordowany, czyż nie?” Po trzecie, pani Lansquet zostaje zamordowana. Pytanie brzmi: czy te trzy wydarzenia są ze sobą związane? Zobaczmy, co dzieje się dalej. Panna Gilchrist, towarzyska zmarłej, ciężko się rozchorowała po zjedzeniu kawałka weselnego ciasta zawierającego arszenik. To następne wydarzenie.

Tymczasem, jak państwu rano powiedziałem, w trakcie dochodzenia nie natknąłem się absolutnie na nic, co mogłoby sugerować, że pan Abernethie został otruty. Z drugiej strony nic tego nie wykluczało. Idźmy dalej. Cora Lansquet zadała to swoje pytanie po pogrzebie, prawda? I niewątpliwie następnego dnia pani Lansquet zostaje zamordowana, narzędziem mordu jest siekiera. Zbadajmy czwarte zdarzenie. Kierowca ciężarówki pocztowej i listonosz w jednej osobie jest przekonany, choć nie może przysiąc — że nie dostarczył paczuski z ciastem weselnym. Zatem musiała zostać ona doręczona przez kogoś osobiście. Wprawdzie nie możemy wykluczyć działania osoby nikomu nie znanej, ale musimy szczególnie dokładnie przyjrzeć się osobom będącym na miejscu i mającym możliwość dostarczenia paczki. Tymi osobami były: panna Gilchrist, Susan Banks, która przyjechała tego dnia na publiczne przesłuchanie, pan Entwhistle (jego też musimy rozpatrywać! Był przecież obecny, gdy Cora uczyniła tę uwagę). I jeszcze dwie inne osoby: starszy mężczyzna przedstawiający się jako pan Guthrie, krytyk sztuki, i zakonnica czy też zakonnice, które z samego rana zbierały pieniądze.

Postanowiłem przyjąć, że listonosz się nie omylił. Oznaczało to, że należy dokładnie przyjrzeć się tej małej grupce osób. Panna Gilchrist w żaden sposób nie korzystała na śmierci pana Abernethie'ego i w niewielkim stopniu na śmierci pani Lansquet. Prawdę mówiąc, śmierć pani Lansquet pozbawiała ją pracy i na pewno miałyby problemy z dostaniem następnej. Ponadto panna Gilchrist znalazła się w szpitalu z objawami zatrucia arszenikiem.

Susan Banks skorzystała na śmierci Richarda Abernethie'ego i również, choć znacznie mniej — na śmierci pani Lansquet. Choć w tym drugim wypadku motywem byłoby raczej pragnienie bezpieczeństwa. Mogła wierzyć, iż panna Gilchrist podsłuchiwała dotyczącą jej rozmowę pomiędzy Corą Lansquet i bratem i w rezultacie postanowić, iż pannę Gilchrist należy zlikwidować. Proszę pamiętać, że odmówiła zjedzenia ciasta weselnego, a kiedy w nocy panna Gilchrist poczuła się chora, z wezwaniem lekarza chciała czekać aż do rana.

Pan Entwistle nic nie zyskał na niczyjej śmierci, ale sprawował kontrolę nad sprawami pana Abernethie'ego, w tym nad kapitałem, i mógł mieć powód, by nie życzyć sobie jego długiego życia. Lecz jeśli winny byłby pan Entwistle, dlaczego sam do mnie przyszedł?

Na to pytanie można odpowiedzieć, że bardzo często morderca jest zbyt pewien siebie.

Teraz zajmijmy się dwójką obcych. Pan Guthrie i zakonnica. Jeśli pan Guthrie jest naprawdę panem Guthrie, krytykiem sztuki, to jest niewinny. To samo dotyczy zakonnicy. Naturalnie jeśli była to prawdziwa zakonnica. Pytanie zatem brzmi, czy byli oni tymi, za go się podawali, czy kimś innym.

Powiedziałbym, że przez tę sprawę przewija się dziwny, nazwijmy to, motyw zakonnicy. Do drzwi domu pana Timothy'ego przychodzi zakonnica i pannie Gilchrist wydaje się, że jest to ta sama zakonnica, którą widziała w Lytchett St. Mary. Również zakonnica czy zakonnice przysły do „Enderby” dzień przed śmiercią pana Abernethie'ego.

— Założę się, że to zakonnica — mruknął George Crossfield.

— To są fragmenty naszej układanki — ciągnął Poirot. — Śmierć pana Abernethie'ego, morderstwo Cory Lansquenet, zatrute ciasto weselne, motyw zakonnicy. Moją uwagę przyciągnęły jeszcze inne aspekty sprawy. Wizyta krytyka sztuki, zapach farby, pocztówka z przystanią w Polflexan i w końcu bukiet woskowych kwiatów stojących na malachitowym stoliku, na którym teraz znajduje się chińska waza.

Rozmyślając nad tymi właśnie sprawami odkryłem prawdę, i tą prawdą chcę się teraz z państwem podzielić.

Pierwszą część zdradziłem rano. Richard Abernethie umarł nagle, ale nikt nie podejrzewałby, że ktoś skrócił jego żywot, gdyby nie słowa Cory. Cała sprawa zamordowania Richarda Abernethie'ego opiera się na jej słowach. Wszyscy uwierzyliście, że naprawdę popełniono morderstwo, nie z powodu samych słów, lecz z powodu charakteru Cory Lansquenet. Ponieważ Cora znana była z tego, że mówiła kłopotliwą prawdę. Zatem w tej całej sprawie chodzi nie o to, co Cora powiedziała, lecz o samą Corę.

Doszedłszy do tego wniosku, postawiłem sobie następujące pytanie: Jak dobrze znali państwo Corę Lansquenet?

Poirot zamilkł.

— Co pan ma na myśli? — spytała ostro Susan.

— Wcale jej dobrze państwo nie znali — odpowiedział sam sobie Poirot. — Młodsze pokolenie nigdy jej nie widziało, w każdym razie nie w młodości. Były tylko trzy osoby, które naprawdę znały Corę. Lanscombe, kamerdyner, stary i niemal ślepy, pani Maude Abemethie, która widziała ją tylko kilka razy tuż przed i po swoim ślubie, i pani Helen Abernethie, znająca ją dobrze, ale przed dwudziestu laty.

Powiedziałem więc do siebie: „A jeśli to nie Cora Lansquenet, tylko ktoś inny przyjechał na pogrzeb?”

— Chce pan powiedzieć, że ciotka Cora... nie była ciotką Corą? — spytała niedowierzająco Susan. — I że nie ją zamordowano?

— Nie nie, zamordowano Corę Lansquenet. Ale to nie ona przyjechała na pogrzeb brata. Kobieta, która przyjechała, miała jeden cel: chciała wykorzystać fakt, że Richard zmarł nagle i wytworzyć w rodzinie przekonanie, że został zamordowany. I udało się jej!

— Bzdura! Po co? Jaki byłby w tym cel? — zaprotestowała Maude.

— Jak to jaki? Chciała odciągnąć uwagę od drugiego morderstwa! Od morderstwa Cory Lansquenet. Ponieważ jeśli Cora twierdzi, że Richard został zamordowany, a następnego dnia sama ginie, te dwie śmierci muszą zostać potraktowane jako przyczyna i skutek. Jeśli Cora zostanie zamordowana, a policja nie da się przekonać pozornym włamaniami, gdzie będą szukali motywu? Czyż nie wśród najbliższych z nią związanych osób? Podejrzenie na pewno padnie na kobietę, która z nią mieszkała.

Panna Gilchrist zaprotestowała niemal pogodnie:

— Och, panie Pontarlier, nie chce pan powiedzieć, że popełniłam morderstwo dla broszki z ametystem i kilku bezwartościowych obrazów?

— Nie, dla czegoś więcej. Jeden z tych obrazów przedstawiał przystań w Polflexan i, jak zauważyła pani Banks, został namalowany z pocztówki. Sama pani powiedziała, że pani Lansquenet zawsze malowała z natury. Pamiętam, że pan Entwhistle wspomniał, że gdy odwiedził panią, czuł wyraźny zapach farby. A pani potrafi malować, prawda? Pani ojciec był artystą i pani zna się na obrazach. Przypuśćmy, że jeden z obrazów tanio kupionych przez Corę był naprawdę wartościowy. I przypuśćmy, że ona sama nie zdała sobie z tego sprawy, ale pani — tak. Wiedziała pani, że wkrótce miał przyjść jej stary przyjaciel, znany krytyk sztuki. Nagle umiera jej brat — i w pani głowie powstaje pewien plan. W herbacie, którą pije w łóżku, Cora Lansquenet dostaje środek usypiający, po którym będzie cały dzień spała. Pani zaś odegra jej rolę w „Enderby”. Dom znała pani nieźle z opowiadań. Jak wszyscy starsi ludzie, Cora Lansquenet dużo opowiadała o dniach młodości. Wspominając staremu kamerdynerowi o chatce i bezach, przekonała go pani całkowicie o tym, że jest istotnie Corą. Dobrze pani wykorzystała swą wiedzę o „Enderby”, robiąc aluzje do przeszłości, wspominając to czy tamto. Nikt nie podejrzewał, że nie jest pani Corą. Nosiła pani jej suknię, gdzieś wypchaną, i fałszywą grzywkę, tę samą co pani Lansquenet. Nikt nie widział jej od dwudziestu lat, a przez tak długi czas ludzie się zmieniają. Często mówi się: „Nie poznałbym jej”. Pozostają jednak pewne zachowania, które pani starannie przećwiczyła przed lustrem.

I to tu popełniła pani pierwszy błąd. Zapomniała pani, że obraz lustrzany jest odwrócony. Kiedy ćwiczyła pani charakterystyczne, wyzywające pochylenie głowy, nie zauważyła pani, że w rzeczywistości Cora przechylała głowę w drugą stronę. Widziała pani, jak Cora przechylała głowę powiedzmy w prawo, ale zapomniała pani, że aby uzyskać ten efekt w lustrze, musiała pani naprawdę przechylać swą głowę w lewo.

To właśnie zauważyła Helen Abernethie, w momencie kiedy pani wygłosiła to słynne stwierdzenie. Coś wydawało jej się nie w porządku. Miałem okazję przekonać się, co się dzieje w takich chwilach, kiedy Rosamund Shane nieoczekiwanie wczoraj uczyniła inną uwagę. Otóż wszyscy patrzą na tego, kto mówi. Zatem jeśli pani Helen poczuła, że coś jest nie tak, musiało to dotyczyć Cory Lansquenet. Wieczorem, po tej rozmowie o lustrach i odbiciach, pani Helen musiała eksperymentować przed lustrem. Jej twarz nie jest widocznie asymetryczna. Prawdopodobnie więc pomyślała o Corze, przypomniała sobie, jak to Cora zawsze nachylała głowę w prawo, zrobiła to i odkryła, że jej odbicie przechyliło głowę w drugą stronę. Natychmiast przypomniała sobie, co nie zagrało jej w dniu pogrzebu. Pomyślała, że albo Cora zaczęła przechylać głowę w inną stronę, albo że nie była to wcale Cora. Ani jedno, ani drugie nie miało według niej sensu. Postanowiła jednak od razu powiadomić o swoim odkryciu pana Entwhistle'a. Ktoś, kto miał zwyczaj wstawać rano, zobaczył ją, poszedł za nią na dół i bojąc się, że mogła odgadnąć prawdę — zadał jej cios w głowę.

Poirot urwał, spojrzął na pannę Gilchrist i rzekł:

— Mogę teraz pani powiedzieć, że pani Helen Abernethie nie jest ciężko chora. Wkrótce będzie mogła sama powiedzieć nam, co się zdarzyło.

— Nic takiego nie zrobiłam — zaparła się panna Gilchrist. — To wszystko są kłamstwa.

— To rzeczywiście była pani! — zawołał nagle Michael Shane, przyglądając się twarzy panny Gilchrist. — Powinienem wcześniej się zorientować. Czuję, że kiedyś już musiałem panią spotkać, ale oczywiście nikt nie przygląda się uważnie... — zawahał się.

— Rzeczywiście nikt nie patrzy na płatną towarzyszkę — powiedziała panna Gilchrist. Jej głos trząsł się trochę. — To prawie służąca! Ale proszę sobie nie przerywać, panie Poirot. Jakie jeszcze fantastyczne historie ma nam pan do opowiedzenia?

— Wspomnienie o morderstwie na pogrzebie to był oczywiście tylko pierwszy krok. Miała pani też inne atuty. W każdej chwili była pani przygotowana do tego, by się przyznać, że podsłuchiwała pani rozmowę między Richardem i siostrą. Pan Abernethie niewątpliwie powiedział siostrze, że nie zostało mu dużo życia, i to tłumaczy tę tajemniczą uwagę w liście, który napisał do niej po powrocie do domu. „Zakonnica” to następny pani pomysł. Zakonnica, a właściwie zakonnice, które zapukały do domu w dzień publicznego przesłuchania, poddały pani myśl o zakonnicy, która jeździ za panią po kraju. Wykorzystała to pani, gdy chciała pani posłuchać, o czym rozmawiają pani Maude i szwagierka. I to pomogło pani towarzyszyć jej tutaj, by przekonać się na własne oczy, jak postępuje śledztwo i kto jest podejrzany. Otrucie siebie arsenikiem, jednak nie śmiertelne, to stary pomysł. Wtedy zaczął panią podejrzewać inspektor Morton.

— A co z obrazem? Co to było?

Poirot powoli rozwinął telegram.

— Dziś rano zadzwoniłem do pana Entwistle'a z prośbą, by pojechał do „Stansfield Grange” i powołując się na prośbę samego pana Abernethie'ego — tu Poirot rzucił spojrzenie na Timothy'ego — rozejrzał się wśród obrazów w pokoju panny Gilchrist, wybrał ten przedstawiający przystań w Polflexan i zabrał mówiąc, że chcą państwo sprawić panie Gilchrist przyjemną niespodziankę i oprawić go w nowe ramy. Miał go wziąć do Londynu do pana Guthrie, którego uprzedziłem o jego wizycie telegramem. Po zmyciu pejzazu przystani w Polflexan, ukazał się obraz oryginalny.

Poirot podniósł do oczu telegram i odczytał:

— „Bez wątpienia Vermeer. Guthrie.”

I wtedy panna Gilchrist wybuchnęła:

— Wiedziałam, że to Vermeer. Wiedziałam! Gadała o Rembrandtach i włoskich prymitywizmach, a nie była w stanie rozpoznać Vermeera, którego miała pod nosem! Zawsze gadała o sztuce, choć nic o tym nie wiedziała! To była absolutnie głupia kobieta. Cały czas opowiadała o „Enderby”, o tym co robili, jak byli dziećmi, o Richardzie i Timothy, i Laurze, i całej reszcie. Wszyscy tarzali się w pieniądzech! Zawsze mieli wszystko co najlepsze. Nie macie pojęcia, jakie to nudne słuchać tego samego dzień po dniu, godzina po godzinie. I trzeba jeszcze odpowiadać: „Naprawdę, pani Lansquet?”, „Coś takiego, pani Lansquet”. I udawać, że to interesujące, kiedy naprawdę jest się śmiertelnie znudzonym. I nic, czego można by oczekiwać w przyszłości... Tymczasem nagle — Vermeer! Widziałam w gazecie, że niedawno sprzedano jego obraz za pięć tysięcy funtów!

— Zabiła ją pani... tak brutalnie... za pięć tysięcy funtów? — W głosie Susan było niedowierzenie.

— Pięć tysięcy funtów — wtrącił Poirot — starczyłoby na wyposażenie herbaciarni...

Panna Gilchrist zwróciła się w jego kierunku.

— Przynajmniej pan rozumie. To była jedyna szansa. Musiałam zdobyć kapitał. — Jej głos drżał ze wzruszenia, gdy opowiadała o swym obsesyjnym marzeniu. — Chciałam nazwać moją herbaciarnię „Palma”. Na kartach byłyby małe wielbłądy. Czasem można dostać całkiem ładną porcelanę. Odrzut z eksportu. Chciałam otworzyć interes w jakiejś miłej okolicy, aby przychodzili sympatyczni ludzie. Myślałam o Rye... albo Chichester... Jestem pewna, że powiodło by mi się. — Zamyśliła się na chwilę, po czym dodała rozmarzonym głosem: — Dębowe stoły, krzeselka wiklinowe z poduszkami w czerwone i białe paski...

Przez chwilę wymarzona herbaciarnia wydawała się bardziej realna niż solidny, wiktoriański salon w „Enderby”...

Czar zburzył inspektor Morton.

Panna Gilchrist uprzejmie odwróciła się w jego kierunku.

— Naturalnie — powiedziała. — Natychmiast. Nie chcę sprawiać kłopotu. Jeśli nie mogę mieć „Palmy”, to reszta nie ma znaczenia.

Gdy wyszła z inspektorem Mortonem z pokoju, Susan powiedziała lekko trzęsącym się głosem:

— Nigdy nie przypuszczałam, że może istnieć dystyngowany morderca. To okropne...

Rozdział dwudziesty piąty

— Nie rozumiem, co było z tymi woskowymi kwiatami — rzekła Rosamund i spojrzała z wyrzutem wielkimi, błękitnymi oczyma na Poirota.

Byli w londyńskim mieszkaniu Helen. Gospodyni spoczywała na sofie i przyjmowała herbatą Rosamund i Poirota.

— Nie wiem, co mają do tego woskowe kwiaty czy malachitowy stół — powtórzyła Rosamund.

— Malachitowy stół nic. Natomiast woskowe kwiaty to był drugi błąd panny Gilchrist. Powiedziała, że tak ładnie wyglądają na malachitowym stole. Tymczasem, proszę pani, nie mogła ich tam widzieć, ponieważ zanim przyjechała z Timothy i jego żoną, klosz stłukł się i kwiaty zostały schowane. Zatem mogła je widzieć tylko wtedy, gdy była w tym domu jako Cora Lansquenet.

— Głupia pomyłka, prawda? — spytała Rosamund. Poirot wycelował w nią swój palec.

— Ukazuje, *madame*, niebezpieczeństwa konwersacji. Głęboko wierzę, iż jeżeli uda się skłonić kogoś do dłuższej pogawędki na jakikolwiek temat, wcześniej czy później ta osoba sama się zdradzi. Panna Gilchrist właśnie to zrobiła.

— Muszę być ostrożna — powiedziała Rosamund w zamyśleniu.

Po chwili jednak ożywiła się na nowo.

— Czy pan wie, że będę miała dziecko?

— Ach tak! Tu się kryje tajemnica Harley Street i parku?

— Tak. Widzi pan, byłam tak przygnębiona i zaskoczona, że musiałam pójść gdzieś i pomyśleć.

— Powiedziała pani, że to nieczęsto się pani zdarza.

— Łatwiej jest nie myśleć. Wtedy jednak musiałam podjąć decyzję o przyszłości. Postanowiłam porzucić scenę i poświęcić się dziecku.

— Rola ta będzie bardzo pani odpowiadać. Już widzę wspaniałe fotografie w „Sketchu” i „Tatlerze”.

Rosamund uśmiechnęła się szczęśliwa.

— Tak, to cudowne. Michael jest zachwycony! Nie podejrzewałam, że się tak ucieszy. — Umilkła na moment, po czym zmieniła temat. — Susan dostała ten stół z malachitu. Pomyślałam, że skoro będę mieć dziecko...

Nie skończyła myśli.

— Salon kosmetyczny Susan dobrze się zapowiada. Myślę, że odniesie sukces — powiedziała Helen.

— Nie może jej się nie udać — zgodził się Poirot. — Jest jak jej wuj.

— Ma pan na myśli Richarda, jak sądzę — rzekła Rosamund — nie Timothy'ego?

— Naturalnie — przyznał detektyw.

Zaśmiali się.

— Greg gdzieś wyjechał — Rosamund zwróciła się do Helen. — Susan mówi, że wyjechał wypocząć i podleczyć nerwy. Czy to prawda?

Spojrzała ciekawie na Poirota, ten jednak nie zareagował.

— Nie mam pojęcia, dlaczego upierał się, że zabił wuja Richarda. Myśli pan, że to rodzaj ekshibicjonizmu?

— Otrzymałem bardzo miły list od pana Abernethie'ego — nawiązał do poprzedniego tematu Poirot. — Píše, że jest usatysfakcjonowany tym, co uczyniłem dla rodziny.

— Myślę, że wuj Timothy jest okropny — powiedziała Rosamund.

— Jadę do nich w przyszłym tygodniu — rzekła Helen. — Zabierają się za ogród, ale podobno nadal są trudności ze znalezieniem służby.

— Brak im tej okropnej Gilchrist — wyraziła opinię Rosamund. — Gdyby to dłużej potrwało, zabiłaby wuja Timothy'ego. Wyobrażacie sobie, jakie to byłoby zabawne?

— Wydaje się, że morderstwa bawią panią, *madame*.

— Nie naprawdę. Byłam przekonana, że zrobił to George. — Jakaś myśl wyraźnie ją ożywiła. — Niewykluczone, że jeszcze tego doczekamy.

— To dopiero będzie zabawne — rzucił sarkastycznie Poirot.

— Pewnie! — zgodziła się Rosamund i zjadła eklerek ze stojącego przed nią talerza.

Poirot popatrzył na Helen.

— A pani, *madame*, jedzie na Cypr?

— Za dwa tygodnie.

— Życzę szczęśliwej podróży — rzekł z ukłonem.

Helen odprowadziła go do drzwi, zostawiając w pokoju Rosamund opychającą się ciastkami z kremem.

— Chciałabym, żeby pan wiedział — powiedziała nagle Helen — że pieniądze, które zostawił mi Richard, znaczyły dla mnie więcej niż dla kogokolwiek innego.

— Aż tak, *madame*?

— Tak. Widzi pan... Na Cyprze zostawiłam dziecko... Bardzo się z mężem kochaliśmy i martwiło nas ogromnie, że nie mamy dzieci. Gdy umarł, byłam strasznie samotna. Pod koniec wojny pracowałam jako sanitariuszka i spotkałam wtedy pewnego mężczyznę... Był młodszy ode mnie i żonaty, choć jego małżeństwo nie zaliczało się do najszczęśliwszych. Byliśmy jakiś czas ze sobą. To wszystko. On wrócił do Kanady, do żony i dzieci. Nigdy nie dowiedział się o naszym dziecku. Nie chciałby go. A ja pragnęłam tego dziecka. Wydawało mi się to niemal cudem, byłam już w końcu nie najmłodsza i myślałam, że całe życie jest już za mną. Za pieniądze Richarda będę mogła zapewnić mojemu tak zwanemu siostrzeńcowi wykształcenie i pomóc mu rozpocząć własne życie. — Helen spojrzała na Poirota i dodała: — Nie powiedziałam o tym Richardowi. Lubiliśmy się, ale nie zrozumiałby mnie. A pan wie o nas tyle, że pomyślałam, iż o tym też może pan wiedzieć.

Poirot raz jeszcze się skłonił.

— Witaj, Poirot — usłyszeli nagle głos pana Entwistle'a. — Właśnie wracam z sądu. Oczywiście uznali ją winną. Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby trafiła do szpitala wariatów w Broadmoor. Odkąd jest w więzieniu, wydaje się całkiem szczęśliwa. I wdzięczna. Większość czasu spędza na robieniu planów sieci herbaciarni. Najnowszy lokal ma być w Cromer i będzie nazywać się „Krzew Bzu”.

— Ciekaw jestem, czy ona zawsze była trochę szalona. Ale chyba nie.

— Dobry Boże, na pewno nie! Gdy planowała morderstwo, była zdrowa na ciele i umyśle. Przeprowadziła swój plan z zimną krwią. Ma łeb ta kobieta, nie daj się zwieść wrażeniu kruchości.

Poirot wzdrygnął się.

— Przypomniałem sobie, co powiedziała Susan Banks. Że nigdy nie wyobrażała sobie, że może istnieć dystyngowany morderca.

— Dlaczego nie? — rzekł Entwistle. — Na świecie żyją różni dziwacy.

Zamilkli, a Poirot uświadomił sobie jak bardzo różnych morderców spotykał w swoim życiu.

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy	4
Rozdział drugi	10
Rozdział trzeci	13
Rozdział czwarty	19
Rozdział piąty	31
Rozdział szósty	42
Rozdział siódmy	49
Rozdział ósmy	56
Rozdział dziewiąty	64
Rozdział dziesiąty	73
Rozdział jedenasty	79
Rozdział dwunasty	87
Rozdział trzynasty	93
Rozdział czternasty	97
Rozdział piętnasty	105
Rozdział szesnasty	111
Rozdział siedemnasty	116
Rozdział osiemnasty	120
Rozdział dziewiętnasty	127
Rozdział dwudziesty	135
Rozdział dwudziesty pierwszy	139
Rozdział dwudziesty drugi	146
Rozdział dwudziesty trzeci	156
Rozdział dwudziesty czwarty	162
Rozdział dwudziesty piąty	170